LAUREACI NAGRODY im. św. Grzegorza I Wielkiego

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

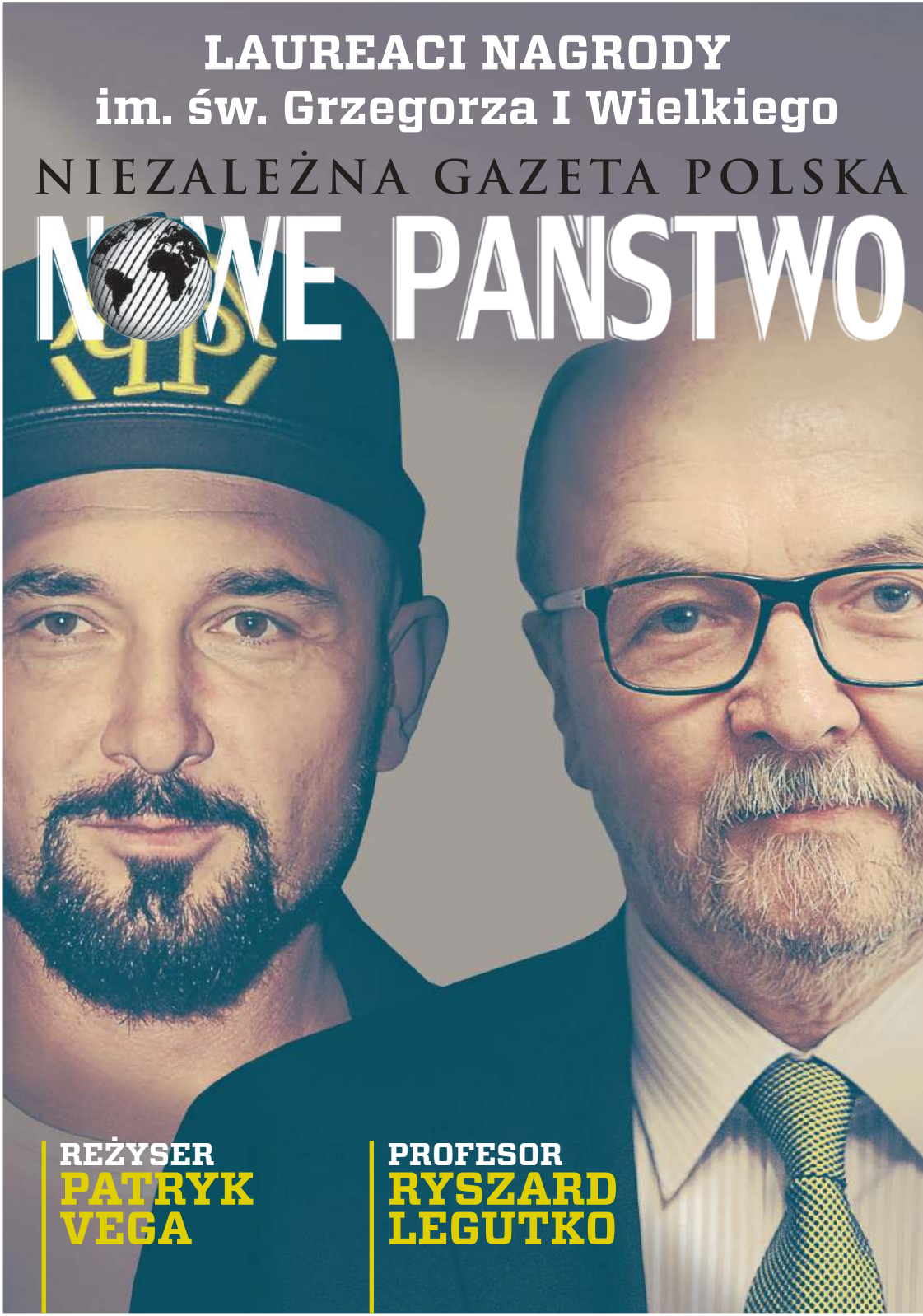

REŻYSER **PATRYK VEGA**

PROFESOR **RYSZARD LEGUTKO**

fot. Radosław Nawrocki/FORUM, Jacek Bednarczyk/PAP

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 14 320 indeks 211060 #154 1/2019

#154 1/2019 NOWE PAŃSTWO

ISSN 1895-4960

9 771895 496902 01

eprasa.pl 475b32102c

NASI LAUREACI ▼ 4–12

fot. Radosław Nowocki/FORUM, Jacek Bednarczyk/PAP

Prof. Ryszard Legutko i reżyser Patryk Vega / 4

IDEE ▼ 14–31

fot. Arch.

Krzyżowanie człowieka z szympansem... / 14

HISTORIA ▼ 32–58

fot. Arch.

Żywa torpeda na wózku / 32

KULTURA ▼ 60–66

fot. Krzysztof Wiktor/Netflix

PRL po rebrandingu / 60

ŚWIAT ▼ 68–98

fot. Grzegorz Michałowski/PAP

Sen o Carogrodzie / 68

Spis treści

NASI LAUREACI

Piotr Lisiewicz
Z wyżyn filozofii do barbarzyńskiej polityki 4

Jakub Augustyn Maciejewski
Reżyser nieobojętny 8

Ryszard Czarnecki
Nagroda za „mecze na wyjeździe” 12

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Krzyżowanie człowieka z szympansem, czyli manowce lewicowej nauki 14

Małgorzata Matuszak
Urodzeni „przez pomyłkę” 20

Ewa Polak-Pałkiewicz
O człowieku, który polemizował z Wolterem 22

Grzegorz Wszołek
Gortat team 28

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Żywa torpeda na wózku 32

Magdalena Złotnicka
Protezy dla Wenus i psychiatria polityczna 38

Dariusz Jarosiński
Nie korzyli się przed bolszewikami w togach 44

Agnieszka Kowalczyk
Leśni ludzie z Podkarpacia 50

Zygmunt Nowakowski
O drugie „nie!” 56

KULTURA

Krzysztof Karnkowski
PRL po rebrandingu 60

Sylwia Krasnodębska
Zgwałcona dziecięca wrażliwość 64

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Sen o Carogrodzie 68

Olga Doleśniak-Harczuk
Rewolucji nie będzie. CDU w oparach stagnacji 74

Hanna Shen
Amerykańsko-chińskie potyczki 80

Stefan Czerniecki
Gdy robi się zbyt idealnie... 84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 94

Aleksandr Goltz
Dlaczego Rosja przegrywa po kerczeńskiej „bitwie” 96

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Legutko i Vega
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... imperatyw kategoryczny
KATECHIZM INTELIGENTA 13

Natalia Ostrowska
Nie chcemy taniego państwa
SŁOWEM O GOSPODARCE 59

Marek Kalinowski
Podróż w czasie
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 66

Marcin Wolski
Patroni naszych ulic
PAPKULTURA 67

Ryszard Czarnecki
Kolacja w Wantzenau
CZARNECKO TO WIDZĘ 79

Olga Doleśniak-Harczuk
Czy Joe Black też tak lubi motyle?
Z GLOBALNEGO TYGLA 92

Tomasz Sakiewicz
Europa w zadyszce
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
47124010531111001019991772

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 475b32102c

Katarzyna Gójska

Legutko i Vega

Zrobiliśmy to po raz pierwszy. Okładka najnowszego numeru naszego miesięcznika nie pozostawia wątpliwości – mamy nie jednego laureata, a dwóch.

Przypominam, bo warto to zawsze podkreślać – Nagroda im. św. Grzegorza I Wielkiego to wyróżnienie dla tych, którzy mężnie stawali w obronie prawdy w życiu publicznym w mijającym roku. Na kolejnych stronach „Nowego Państwa" Czytelnicy odnajdą sylwetki naszych Laureatów.

Teraz kilka zdań o tym, dlaczego wybraliśmy właśnie ich. Debaty na temat praworządności w Polsce stały się – niestety – smutną tradycją Parlamentu Europejskiego. Ale podczas tych spektakli niekompetencji, zacietrzewienia, otępienia na jakiekolwiek merytoryczne argumenty czy w końcu zwyczajnego szkalowania swojej ojczyzny (to ze strony europosłów PO) jest zawsze głos, który rozprawia się z całym tym szaleństwem i hipokryzją – to głos pana profesora Ryszarda Legutki. Kwintesencja najpiękniejszych polskich tradycji – dumy, odwagi, przenikliwości – i do tego jeszcze rozbrajające poczucie humoru. Nagrodę im. św. Grzegorza I Wielkiego składamy na ręce Pana Profesora właśnie za wystąpienia w obronie dobrego imienia Rzeczypospolitej na forum Parlamentu Europejskiego. A drugi „Grzegorz"? Równorzędny, tak samo cenny i ważny trafi do reżysera Patryka Vegi. W dobie poprawności politycznej, niekiedy wręcz terroru jednej wykładni „właściwych poglądów," naszemu Laureatowi udało się pójść własną drogą i odnieść spektakularny sukces! U Vegi zło jest złem, dobro jest dobrem. Nie ma propagandowej matrycy. Jest prawda. Jego filmy ściągają do kin miliony widzów i potrafią wywoływać histerię u strzegących poprawności przekazu krytyków. A On i tak pozostaje sobą. Mówi o Bogu. I mówi o prawdzie. Gdy kilka tygodni temu słuchałam jego opowieści o nowym projekcie filmowym, który ma rozprawić się z pedofilią – nie miałam wątpliwości: musi dostać naszego „Grzegorza".

Jesteśmy dumni, iż grono naszych Laureatów powiększy się o dwie zupełnie niezwykłe postaci. A fakt, iż w 2018 roku nie mogliśmy zdecydować się tylko na jedną osobę, świadczy o tym, że z obroną prawdy w życiu publicznym nie jest najgorzej – niech rozpoczynający się właśnie nowy 2019 rok będzie pod tym względem jeszcze lepszy.

fot. Igor Smirnow/Gazeta Polska

NAGRODĘ IM. ŚW. GRZEGORZA I WIELKIEGO SKŁADAMY NA RĘCE PROFESORA RYSZARDA LEGUTKI ZA WYSTĄPIENIA W OBRONIE DOBREGO IMIENIA RZECZYPOSPOLITEJ NA FORUM PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO. DRUGI – RÓWNORZĘDNY – „GRZEGORZ" TRAFIA DO REŻYSERA PATRYKA VEGI.

eprasa.pl 475b32102c

Piotr Lisiewicz

„Dawno nie czytałem czegoś tak jednocześnie oczywistego oraz odkrywczego, a przy tym napisanego równie zwięźle i zarazem wyczerpująco" – ten komentarz jednego z internautów pod tekstem profesora Ryszarda Legutki oddaje jego wyjątkowość wśród polskich i europejskich polityków. Jej istotą jest umiejętne posługiwanie się prawdą. A to wymaga zarówno głębokiej wiedzy, jak i zwykłej zręczności. Dzięki tym nie zawsze idącym w parze przymiotom profesor Legutko niejako awansuje prawdę, zwiększa jej znaczenie w życiu publicznym.

Z wyżyn filozofii do barbarzyńskiej polityki

eprasa.pl 475b32102c

fot. Wiktor Dabkowski/PAP

Do pewnego mojego znajomego napisał kolega ze Szwecji. Pogratulował mu wystąpienia w Parlamencie Europejskim nieznanego mu dotąd eurodeputowanego Ryszarda Legutki. Powiadomił go też, że przemówienie to rozesłał do wszystkich swoich znajomych. Bo u nich w Szwecji nikt nie potrafi tak celnie opisać problemów, z którymi Szwedzi mają do czynienia we własnym kraju.

Profesor zostaje fighterem

Ta prawdziwa anegdota nie jest z pewnością opisem odosobnionego przypadku. Profesor Legutko zstępując z filozoficznych wyżyn tłumacza i komentatora dzieł Platona do barbarzyńskiego świata polityki, potrafił wymyślić w nim miejsce dla siebie. Nie jest to wcale regułą, odwrotnie – większość naukowców schodząc z piedestału i uczestnicząc w politycznych połajankach, gubi się i nie potrafi znaleźć dla siebie roli, w której miałaby poczucie spełnienia.

Legutko przeszedł bezkolizyjnie swoją długą drogę od filozofa, profesora z Krakowa, do politycznego fightera z Parlamentu Europejskiego, z którego ironii potrafi śmiać się siedzący koło niego Nigel Farage. Z tego pierwszego świata do drugiego zabrał dokładnie to co wartościowe i przydatne, jak erudycja czy inteligentna ironia, a zgubił wszystkie stereotypowe cechy przypisywane czy to profesorskim niepraktycznym niezgułom, czy odwrotnie – uniwersyteckim cynikom, którzy swoją erudycję wykorzystują tylko do własnych celów. W tym drugim przypadku chodzi o cechy takie jak autocenzura, czyli „niewychylanie się", gdy to niebezpieczne. Legutko wychyla się zawsze akurat wtedy, gdy ma to sens z punktu widzenia obrony polskich interesów czy fundamentalnych wartości.

Budowie pozycji polityka, który awansuje prawdę, sprzyja fakt, że zarówno w Polsce, jak i w Europie odczuwamy mocno jej deficyt. W niedawnym wywiadzie dla włoskiej gazety „La Verità" Legutko tak opisał paraliż psychiczny, który spowodował porzucenie prawdy: „W większości zachodnich społeczeństw w Europie i na innych kontynentach wyłoniła się ideologiczna ortodoksja, która odrzuciła wszelkie inne punkty widzenia poza granice szacunku i legalności. Ta ortodoksja przejęła takie pojęcia jak wolność, pluralizm, tolerancja itd. i zamieniła je w ich przeciwieństwa. Zgodnie z tą ortodoksją, im bardziej jesteśmy homogeniczni i im bardziej bezlitośnie narzucamy ortodoksję innym, tym bardziej uważamy siebie za wojowników wolności, pluralizmu, tolerancji". Jak stwierdził, wy-

5b32102c

znawcy tej ortodoksji „z biegiem lat stali się organicznie niezdolni do tolerowania jakiegokolwiek sprzeciwu, będąc jednocześnie szczerze przekonanymi, że reprezentują pluralizm. Ten paraliż psychiczny był zaraźliwy i o ile nie stawi mu się zdecydowanego oporu, może nadal się rozprzestrzeniać".

W tej sytuacji profesor Legutko może jawić się Szwedowi, ale również obywatelom wielu innych państw, jako współczesny bojownik o „Wolność Naszą i Waszą". A to – jak niegdyś – wzmacnia wagę polskich argumentów.

▶ „The Wall Street Journal" o myśli politycznej Legutki

Gdyby w latach 90. ktoś ogłosił, że za dwa dziesięciolecia profesor z Krakowa stanie się kimś, kogo przemówienia oglądać będą setki tysięcy internautów, zostałby wyśmiany. Zapewne międzynarodowemu zaistnieniu Profesora sprzyjał fakt, o którym sam mówi w polskim kontekście: „Jesteśmy dziś jednym z niewielu krajów, gdzie jest prawdziwa wolność słowa i wolność mediów".

Mówi on rzeczy, których na Zachodzie wypowiadać nie wypada, a przynajmniej nie artykułują ich ludzie z pozycją i ogładą profesora Legutko. Mają być spychane do niszy dla partii uznawanych za skrajne i finansowane przez Rosję. Nie wypowiadają ich też elity w Polsce z przyczyn, o których Profesor mówił we wrześniowym wywiadzie dla „Nowego Państwa": „Kiedy weszliśmy do Unii Europejskiej, odczytano to jako rzecz wspaniałą. Skoro jest coś tak wspaniałego, co nam się przytrafiło, to strażnicy tego stanu są z urzędu naszymi największymi przyjaciółmi. Dla polskiej targowicy są nimi z urzędu instytucje europejskie, niezależnie od tego, co by robiły i jak bardzo by Polsce szkodziły, a także najmocniejsi gracze europejscy, czyli Niemcy i Francja. Ilekroć dochodzi do konfliktu między rządem polskim a Komisją czy między rządem polskim a rządami niemieckim czy francuskim, to polska targowica zawsze – powtarzam: zawsze – będzie popierać tę drugą stronę i nigdy nie stanie w obronie rządu polskiego".

W lipcu 2018 roku amerykański „The Wall Street Journal" dostrzegł w profesorze Legutkce liczącego się politycznego ideologa. Publicysta Tunku Varadarajan zacytował wypowiedzi Profesora, które mogły dobrze brzmieć w uszach amerykańskiego czytelnika. Podkreślił, że tym, co „doprowadza UE do szału", jest „nieugięty proamerykanizm Warszawy". Odnotował, że w jednej ze swych książek Legutko uznał, iż Unia Europejska odzwierciedla porządek i ducha liberalnej demokracji w jej najbardziej zdegenerowanej wersji. Według Profesora „liberał to ktoś, kto przyjdzie do ciebie

i powie: Zorganizuję ci twoje życie. Powiem ci, jakiego rodzaju wolność będziesz miał. A potem możesz robić, co tylko chcesz". Wspomniał też o jego sprzeciwie wobec protekcjonalnego traktowania Europy Środkowo-Wschodniej przez Niemcy i Francję oraz twierdzeniu, że „wielcy gracze wykorzystują instytucje europejskie dla własnych interesów, a architektura polityczna skazuje każdego innego na podrzędny status". Z kolei swój artykuł opublikowany przez amerykański prestiżowy kwartalnik „First Things" Legutko zatytułował „Bitwa o Europę".

Swoją drogą warto odnotować, że to rzadki przypadek, by Polak uznawany był za twórcę jakichś politycznych koncepcji czy idei. Na krajowej scenie powszechnie traktowany tak jest spór Jarosława Kaczyńskiego z Adamem Michnikiem i na tym w zasadzie koniec. Ale polski polityk jako autor idei atrakcyjnych poza własnym krajem? A po co to Polakom, oni są od powtarzania wzorów z krajów bardziej cywilizowanych, zazwyczaj z kilkunastoletnim opóźnieniem!

▶ Platon i „język prawicowej ulicy"

Zapewne profesorowi Legutce trudniej byłoby posługiwać się bronią prawdy, gdyby na przykład stał na czele Ministerstwa Spraw Zagranicznych czy był szefem rządu, niż gdy zasiada w europejskim „sklepie z gadaniną", bo tak tłumaczono pierwotnie słowo „parlamentum".

eprasa.pl 475b32102c

fot. Wiktor Dąbkowski/PAP

Profesor Legutko wykorzystuje jednak efektywnie atuty miejsca, w jakim się znalazł, i bez kompleksów krytykuje także czołowych europejskich polityków, których przewyższa głębszym rozumieniem świata. Gdy skrytykował samą Angelę Merkel, wywołało to oburzenie i zniesmaczenie w mediach III RP. „Profesor filozofii i komentator Platona przemówił językiem prawicowej ulicy. Jeśli tak PiS chce odnawiać Unię, to Bóg zapłać" – oburzał się Adam Szostkiewicz z „Polityki".

Poszło o to, że 15 listopada profesor Legutko pytał niemiecką kanclerz: „Pani Kanclerz Merkel, gdzie jest pani chrześcijańsko-demokratyczna wizja Europy? Co się z nią właściwie stało? Gdzie się ulotniła? Portret Konrada Adenauera w Pani biurze to za mało. Tu w Parlamencie Europejskim gdy chce się zrobić coś w sprawie, która nie podoba się Pani rządowi, np. zatrzymać Nord Stream 2 czy ograniczyć działalność Jugendamtów, przeszkody wyrastają jak grzyby po deszczu. A jeśli już nawet uda się w jakiś sposób interweniować, to te działania są lekceważone przez Pani rząd, gdyż może on sobie na to pozwolić. Gdzie jest solidarność, o którą Pani tak często apeluje?".

Celnie podsumował też PR-owe zagrywki Francji i Niemiec: „Zawsze podnoszony jest ten sam argument, że »my tutaj razem musimy iść wspólnie i trzeba się wspierać«. Tylko że to wszystko robione jest po fakcie, co jest hipokryzją. Bo z nami nikt wcześniej nie konsultował spraw migracyjnych, kwestii otwarcia granic itd. Wtedy nie padał ten argument, że jest to osłabianie jedności europejskiej, gdy wprowadzano jednostronną decyzję czy podejmowano próbę narzucenia głupiego systemu przymusowej relokacji".

Kornik drukarz i wicekról Timmermans

Tym, co złości przeciwników Legutki, są celność ironii i niepozbawione złośliwości parlamentarne oraz medialne polemiki Profesora. „Jak traktować zarzut, że autorom nie podoba się walka z kornikiem drukarzem, który niszczy Puszczę Białowieską? Przecież większość z państwa nie ma pojęcia, gdzie jest ta Puszcza Białowieska, co to jest puszcza, co to jest kornik drukarz" – pytał eurodeputowanych.

12 września broniąc Węgier, mówił: „Mam wrażenie, że debaty tego rodzaju stają się coraz bardziej monotonne. Słyszeliśmy to wszystko już tak wiele razy. Nic nowego, kolejny atak na demokratycznie wybrany rząd. Rząd Fideszu w ciągu ostatnich dziesięciu lat cieszy się gigantycznym poparciem. Powiedziano tutaj, że nie jest to atak na węgierskie społeczeństwo, lecz na węgierski rząd. Cóż, ktoś przecież wybrał ten rząd i nie byli to królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków. Jeżeli ten rząd wam się nie podoba, obalcie go i powołajcie w to miejsce z zewnątrz wicekróla Węgier. Myślę, że Pan Timmermans chętnie by się tego podjął. A gdy już to uczynicie, zróbcie to samo z Polską, to rozwiąże wszystkie problemy".

12 października tak podsumowywał niemiecką politykę: „Irytujące ze strony niemieckiej jest ich poczucie wyższości. Kolega z naszej grupy i przyjaciel Polski Hans-Olaf Henkel powiedział kiedyś, że problem z jego krajem i z jego narodem jest taki, że poczuli się, iż są »moralnym imperium«. Ich pouczanie i krytykowanie staje się coraz bardziej nieznośne. Zamiast mieć poczucie dyskomfortu i niższości w związku z mało chwalebną przeszłością, nasi sąsiedzi w sposób niezwykle perfidny przekuli to na poczucie wyższości".

Gdy PE debatował o homofobii, stwierdzał: „Pod hasłem homofobia kryją się nie ataki na ludzi o skłonnościach do osób tej samej płci, bo takich ataków właściwie nie ma. Pod hasłem homofobii kryje się odmowa zmiany prawa, a właściwie zmiany definicji małżeństwa, która funkcjonowała w świecie od czasów niepamiętnych".

Tezy głoszone przez profesora Ryszarda Legutkę, bliskie wielu Europejczykom, pozwalają im jednocześnie uwolnić się z pułapki wymagającej dokonania wyboru między obozem zwolenników gender i imigrantów a prorosyjskimi nacjonalistami. Wyjściem bowiem jest głos Polski, jawiący się jako ożywczy i zdroworozsądkowy zarazem. ■

eprasa.pl 475b32102c

Reżyser nieobojętny

Jakub Augustyn Maciejewski

W zamkniętym, zdawałoby się, salonie filmowych celebrytów, wymieniających się uprzejmościami po każdej premierze, przekonanych o własnej wielkości, Patryk Vega jest jak kij wbity w mrowisko. Bezkompromisowy tytan pracy, który nie ogląda się na recenzje i presje środowiska – robi to, co lubi, i przyciąga miliony widzów.

fot. Radosław Nawrocki/FORUM

Zdjęcia do „Plag Breslau" (2018) trwały 18 dni, a do pierwszego kinowego dzieła Vegi – „Pitbulla" (2005) – trzydzieści. Te reżyserskie rekordy bulwersują krytyków i kolegów z branży, którzy wiecznie wołają o dodatkowe fundusze i czas na nakręcenie swoich filmów.

▶ Mafia i układy z życia wzięte

Ale przeciwników Vegi najbardziej porusza świat odtworzony przez reżysera, w którym widz zaznajamia się z wulgarnym i prostackim złem tego świata: mafią, korupcją w policyjnych realiach, przestępczością, podwójną grą w służbach specjalnych i oszustwami w koncernach farmaceutycznych. Bohaterowie Vegi są cyniczni, bezwzględni, klną na potęgę, potrafią mordować z zimną krwią. Do jego filmów nie wraca się jak do arcydzieł światowej kinematografii, jak choćby do „Ojca chrzestnego". Ale ani Francis Ford Coppola jako reżyser, ani Mario Puzo (włoski pisarz, autor „Ojca chrzestnego") nie odtwarzali świata zorganizowanej przestępczości – oni kreowali własny. To późniejsi mafiosi naśladowali Don Corleone, gdy tymczasem bohaterowie Vegi naśladują rzeczywistość. Być może dlatego moralne zło u Coppoli budzi podziw i szacunek, a u polskiego reżysera – obrzydzenie. Czy taka wizja nie jest bardziej autentyczna?

Młody twórca (urodzony w 1977 roku) poprzedza kręcenie filmu wędrówką w świat, który chce opisać. O policji wydał dwie książki, rozmawiając z funkcjonariuszami i oficerami, którzy nie ukrywali brudnych stron swojej pracy, a w wywiadzie z Jarosławem Pieczonką, eksfunkcjonariuszem tajnych służb, drążył najbardziej niewygodne tematy i nie wierzył na słowo: pytał o zabójstwa, kulisy działań, prywatę wśród oficerów. Nakręcony w 2014 roku film „Służby specjalne" opisuje przewrotnie działania tajnych funkcjonariuszy; na skinienie swojego szefa okłamują jednych polityków i likwidują innych, upozorowując samobójstwo. Widz do nieomal ostatnich scen jest przekonany tak jak główni bohaterowie, że tajniacy służą dobrej sprawie i działając czasem wbrew oficjalnym władzom RP, w istocie wspierają państwo polskie. Dopiero w ostatnim kwadransie filmu główna bohaterka, odkrywszy drugie dno rozkazów, które wypełniała, pyta retorycznie towarzysza broni: „To ch*j wie, dla kogo właściwie pracowaliśmy?". W filmach, które zdaniem salonowych krytyków skierowane są do prymitywnych widzów, pojawia się więc nie tylko istota patologii wywiadu i kontrwywiadu w państwie postkomunistycznym, lecz także pokazana jest przemiana duchowa bohaterów – jeden z funkcjonariuszy po dekadach nihilistycznego życia na krawędzi odnajduje Boga – i to w rozmowie z duchownym, którego przyszedł szantażować kompromitującymi materiałami.

prasa.pl 4f5b32102c

Kogo prawda doprowadziła do furii?

Swojego katolicyzmu Vega nie ukrywa, nie zamyka go w „Kościele", jak proponowała filozofia III RP. – Dla mnie to jest film misyjny. Robiąc go, miałem poczucie, że poszerza światło w świecie ogarniętym ciemnością – mówił reżyser w programie „Minęła dwudziesta" o filmie „Botoks". – Liczę, że w sposób realny zmieni rzeczywistość. Nawet jeśli pod jego wpływem jedna osoba zmieni zdanie i nie usunie dziecka, warto było go nakręcić – przekonywał. Obraz, w którym lekarze i producenci farmaceutyczni mają los pacjenta za punkt w statystyce lub dodatkowe zero na koncie, służba zdrowia jest degrengoladą, w której potrafią się urządzić różnej maści złodzieje i medyczni hochsztaplerzy, mocno odbiega od szpitalu w Leśnej Górze znanego wszystkim z wyidealizowanego serialu „Na dobre i na złe". Dla Vegi temat tabu nie oznacza poprawnej politycznie nagonki na religijność czy wartości narodowe, lecz właśnie prześwietlenie biznesowych grup interesów, które bogacą się na ludzkim nieszczęściu. Jednym z nich jest aborcja. „Jestem katolikiem i kwestia aborcji jest dla mnie czytelna" – mówił reżyser „Gazecie Polskiej" w październiku 2017 roku. „Nigdy nie chciałem jej w moim życiu. Nigdy bym na nią nie pozwolił. Dlatego nie pojawiłem się na »czarnym marszu«, choć z drugiej strony uważam, że kobiety są naprawdę dyskryminowane w swoich zawodach. Uważam, że aktywność polegająca na artykułowaniu samych tych praw jest w porządku". W „Botoksie" sceny zabicia poczętego dziecka lub poród martwego płodu odarte są z lewicowych eufemizmów w stylu „usunięcie ciąży" i „mój brzuch, mój wybór". Ingerencja w ciało kobiety jest brutalna, cyniczna, a zabieg na najdelikatniejszym i najbardziej złożonym narządzie kobiety jest traktowany jak wyciskanie pryszcza. W Vegowym sosie przekleństw, cynizmu i lekkomyślności cały film ma wymowę mocniejszą niż łagodne i spokojne ruchy pro-life. Czy dlatego „Botoks" spotkał się z taką furią krytyków? „Ordynarny paszkwil na służbę zdrowia" – krzyczały nagłówki „Gazety Wyborczej". „Wątpliwości nie mam, że się władzy Patryk Vega filmem »Botoks« wielce przysłużył, żaden film o »wyklętych« nie zrobił tyle dla rządu, ile Vega swoją radykalną komedią" – alarmował Krzysztof Varga przeciwko polskiemu reżyserowi, jak gdyby jego filmy były w jakikolwiek sposób wspierane przez Prawo i Sprawiedliwość. W pierwszy weekend po premierze „Botoksu" kina odwiedziło 700 tys. widzów, ustanawiając rekord otwarcia i to bez ideologicznego wsparcia prasy i telewizji, jak to miało miejsce w przypadku „Kleru" Smarzowskiego.

VEGA WALI TEMATEM PO OCZACH. KAŻDY FILM REŻYSERA OGLĄDAJĄ MILIONY WIDZÓW.

eprasa.pl 475b32102c

fot. Tomasz Gzell/PAP

Zdemaskować pornobiznes

I teraz Patryk Vega zdradził, że w paśmie jego kolejnych dziesięciu filmów, które zamierza nakręcić w ciągu pięciu lat, następny będzie o „międzynarodówce pedofilskiej". Tak jak Smarzowski problem zamknął w dziejach współczesnego Kościoła katolickiego, fałszywie wiążąc z tym zboczeniem nawet kapelanów „Solidarności" i nieomal wszystkich duchownych, tak Vega chce pokazać szerokie powiązania pornobiznesu. W rozmowie radiowej z Łukaszem Adamskim Vega zaznaczył, że sceny z dziećmi są kręcone „warstwami", to znaczy młodociani aktorzy nie widzą, z kim grają i co dokładnie robią, by nie ucierpiała na tym ich psychika. Tej troski zabrakło Smarzowskiemu, który chłopców –dziesięciolatków – użył jako pełnoprawnych aktorów w normalnych scenach o silnym podtekście erotycznym. Jeśli więc twórca „Botoksu" bierze się za temat, to znaczy, że już rozmawiał z przedstawicielami handlu żywym towarem, z ofiarami nielegalnej prostytucji i przekaże nam – oprócz mocnych obrazów oddziałujących na emocje – także garść faktów o wykorzystywaniu nieletnich. Vega podjął się roli tego artysty, który tworzy dla mas, który bierze temat szeptany z ucha do ucha między zblazowanymi elitami i wali tematem po oczach – każdy film reżysera oglądają miliony widzów – „Botoks" 2 miliony, „Kobiety mafii" z podobnym wynikiem. Reżyserski debiut z 2005 roku („Pitbull") również należał do rekordzistów.

Odrzucenie przez filmowy establishment i uznanie wśród widzów nasuwa analogię z innym reżyserem polskiej kinematografii – Stanisławem Bareją, przeciwko któremu z zapamiętaniem występowali Wajda czy Kutz (ten ostatni ukuł negatywnie wówczas brzmiące określenie „bareizm"), a za którym do kin szły setki tysięcy Polaków. Dla państwowej cenzury filmy były zabawą dla plebsu – czyż nie tak właśnie autocenzura współczesnych krytyków patrzy na Patryka Vegę? Są jeszcze inne podobieństwa – Bareja także budził złość, że jego filmy kręci się szybko, sprawnie i lekkimi metodami – wówczas chodziło o „kręcenie z ręki" i bez powtórek, do czego swoim tempem nawiązuje twórca „Pitbulla". Obaj też, mimo komediowej konwencji, pokazywali patologie współczesności, problemy społeczne, o których nie wypadało głośno mówić. Każdy z nich miał swoich ulubionych aktorów, którzy występowali niemal w każdym filmie. Dobór tematów i ich wymowa jest bezprecedensowa na tle innych reżyserów i próżno szukać ich godnych następców. Jest jeszcze jedna cecha, która może połączyć obu panów, jednak o tym przekonamy się za wiele lat. Od wyśmiewanego Barei do Barei kultowego musiało minąć całe pokolenie, może więc przyjdzie czas, gdy „vegizm" stanie się określeniem charakteryzującym pewną smutno-śmieszną rzeczywistość, skrywaną przez zdemoralizowanych cyników, a którą tak dosadnie obrazuje bezkompromisowy reżyser „Pitbulla", „Botoksu" i „Kobiet mafii". ■

eprasa.pl 475b32102c

Ryszard Czarnecki

Nagroda za „mecze na wyjeździe”

Profesor Ryszard Legutko to intelektualista, który postanowił dać świadectwo w polityce.

Po raz pierwszy bodaj polski europarlamentarzysta zostaje doceniony prestiżową nagrodą przyznawaną w kraju. Na forum międzynarodowym to już się zdarzało: laur dla najlepszego eurodeputowanego, przyznawany przez „European Parliament Magazine”, gdy laureatów wybierają w drodze głosowania sami posłowie do Parlamentu Europejskiego, miałem zaszczyt odebrać równo dziesięć lat temu.

Nagroda ta jest sygnałem, że ważne i wpływowe środowisko medialne w Polsce dostrzega wagę tego, co dla Polski można zrobić na forum zagranicznym – w tym przypadku unijnym. To zachęta dla wszystkich Polaków (to coś więcej niż tylko posiadanie polskiego paszportu) pracujących w organizacjach międzynarodowych. To także przejaw zrozumienia, że choć najważniejsze dla przyszłości państwa polskiego rzeczy dzieją się nad Wisłą, Wartą, Odrą i Bugiem, to polska polityka zewnętrzna realizowana także, co naturalne, poprzez struktury, organizacje i instytucje międzynarodowe jest ważną częścią „polityki polskiej i odbudowania państwa” w jej najnowszej wersji.

Profesor Ryszard Legutko to intelektualista, który postanowił dać świadectwo w polityce. Rodzinnymi korzeniami wywodzi się z Kresów Wschodnich RP – a ściślej mówiąc: z Kresów Południowo-Wschodnich, z Sambora, i zdaje się, że niespecjalnie przepada za obecną nazwą tego miasta – Sambir. Ten wybitny specjalista filozofii starożytnej, profesor najstarszego polskiego uniwersytetu spotyka się na ubitej strasbursko-brukselskiej ziemi z euroentuzjastami z różnych partii czasem wadzących się między sobą, ale zawsze zwalczających i idee Europy Ojczyzn, Europy Narodów, i ludzi oraz formacje je reprezentujących. Dorobek naukowy i wydawniczy Profesora z Krakowa (choć kiedyś europosła z Wrocławia i Opola) kontrastuje z brakiem takowych, generalnie, osiągnięć wielu politycznych szermierzy w Parlamencie Europejskim, skandujących „więcej Europy w Europie” i inne hasła równie głośne co puste. Intelektualnie to zderzenie czołgu (Legutko) z rowerem (reszta), choć gdy chodzi o liczbę „szabel”, to w europarlamencie jest póki co odwrotnie. Ale czasem nawet polityczni przeciwnicy potrafią docenić Profesora – po jego ostatnim wystąpieniu w Parlamencie Europejskim, gdy powiedział, że wystąpienia szefów grup politycznych Manfreda Webera (Niemca z EPL), Udo Bullmanna (Niemca z lewicy) czy Verhofstadta (Belga, Flamanda, liberała) można by zamienić, i tak by tego nikt nie poznał – jeden z niemieckich dziennikarzy napisał „weise Ryszard Legutko”. Fakt, polski przewodniczący EKR jest „mądry” – oby po najbliższych wyborach europejskich pod koniec maja głos tych mądrych był bardziej donośny niż niemądrych.

Przewodniczący frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, trzeciej co do wielkości w Brukseli/Strasburgu, dawno przekroczył granice dzielące naukę i politykę. Ale już jako „homo politicus” – w praktyce, a nie w teorii – napisał kilka ważnych książek. Kosztem polityki? A może politycznej „bieżączki”, nieefektownej, nużącej, ale przecież koniecznej? Sprawia wrażenie człowieka zdystansowanego, ze stoickim spokojem przyjmującego szaleństwa współczesnej Europy czy może raczej Unii Europejskiej. Ale przecież jest „insiderem”, człowiekiem współtworzącym politykę, a nie narzekającym li tylko „outsiderem”. Jego działalność publiczna poza Polską kojarzy mi się – także – z bohaterami Herberta „uparcie powtarzającymi wielkie słowa”. I dodającymi, że to „kwestia smaku”.

Był mającym swoje zdanie ministrem edukacji narodowej w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, a wcześniej wicemarszałkiem Senatu – tym, który w przeciwieństwie do marszałka Senatu Borusewicza dochował lojalności wobec śp. Prezydenta RP i wyborców i nie przeszedł na ciemną stronę mocy.

Ryszard Legutko ma wreszcie bardzo ładne imię. I bardzo duże poczucie humoru – wyróżnia go to na tle bardzo wielu polityków w Brukseli. Hmm – i nie tylko tam... ■

eprasa.pl 475b32102c

Małgorzata Matuszak

Czym jest... imperatyw kategoryczny

Tak zwana złota reguła mająca zapobiegać instrumentalizacji drugiego człowieka, głosząca, by „nie czynić drugiemu, co tobie niemiłe", obecna była już w dialogach Konfucjusza, pismach starożytnych filozofów greckich czy w Ewangelii. Immanuel Kant regułę tę dopracował i sformułował w postaci imperatywu kategorycznego: „Postępuj tylko według takiej maksymy, dzięki której możesz zarazem chcieć, żeby stała się powszechnym prawem".

Ta forma imperatywu kategorycznego to jedna z trzech jego postaci. Druga brzmi: „Postępuj tak, jak gdyby maksyma twojego postępowania przez wolę twą miała się stać ogólnym prawem przyrody"; trzecia zaś: „Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w twej osobie, jak też w osobie każdego innego używał zawsze, zarazem jako celu, nigdy jako środka". Owe trzy sformułowania łączy jedno – nakazują czyny, które same przez się są obiektywnie konieczne, są nakazami moralnymi obowiązującymi w sposób obligatoryjny, bezwarunkowy i nieodwołalny. Imperatyw kategoryczny zmusza człowieka do wypełnienia go bez względu na okoliczności i równocześnie w sposób bezinteresowny, niebiorący pod uwagę – w pierwszym rzędzie, trzeba dodać – korzyści osobistych tego, kto go dokonuje. To odróżnia go od imperatywu hipotetycznego, wyrażającego konieczność warunkową, zależną od wyznaczonego celu i prowadzących do niego środków. Imperatyw hipotetyczny przybiera formę: „jeśli chcesz tego, zrób tamto", dotyczy zatem, w odróżnieniu od kategorycznego, dóbr pozamoralnych, tego, do czego wola ludzka faktycznie dąży, nie zaś tego, do czego dążyć powinna.

Imperatyw kategoryczny stanowi aprioryczne prawo moralne. Jest nakazem rozumu, powinnością przedstawioną wolnej woli w taki sposób, by stała się ona wolą dobrą. Według Kanta bowiem dobra wola jest jedyną rzeczą na świecie, która jest dobra bezwzględnie. By jej działanie podlegało moralnie dobrej ocenie, musi ona działać na mocy samej siebie, nie może jej motywować nic zewnętrznego względem niej samej. Dobra wola o tyle będzie zatem działać zgodnie z imperatywem kategorycznym, o ile działanie będzie się wiązało z zachowaniem autonomii woli, o ile nic heteronomicznego do tego działania jej nie zmusi.

Fundament imperatywu kategorycznego stanowi zatem z jednej strony autonomia woli, z drugiej – podporządkowanie prawu. Za każdym razem musimy pytać, czy konkretna maksyma, która kieruje nami w danym działaniu, jest takiego rodzaju, że bez sprzeczności możemy jej nadać formę prawa powszechnego. Jeśli maksyma pomyślnie przejdzie próby pomyślenia jej i chcenia jako prawa powszechnego, wówczas staje się naszym obowiązkiem. Bez względu na wszystko. Jeśli na którymś z etapów tak się nie stanie, czyn, który miałby z niej wypływać, staje się czynem, którego podjąć nie wolno. Konsekwencje takiego postawienia kwestii obowiązku są zaś dalekosiężne.

Fundament imperatywu kategorycznego stanowi z jednej strony autonomia woli, z drugiej – podporządkowanie prawu.

Imperatyw kategoryczny to najbardziej podstawowy, formalny schemat. Tylko tyle. I aż tyle. Może on służyć jako wzór do formułowania bardziej szczegółowych sądów moralnych. Jest „formalny", bo nie zawiera w sobie żadnej określonej treści, stanowiąc równocześnie zasadę wszystkich nakazów moralnych. Kant buduje metaetykę moralności, nie interesują go fenomeny etyczne, czyli ludzkie zachowania, ale sama podstawa, fundament etyki. Nie chodzi mu o czyny, które widzimy, ale o to, co niewidoczne – wewnętrzne ich zasady. Stąd też pierwszeństwo rozważań teoretycznych nad praktyką, posunięte aż do takich granic, że formalizm postulowany przez filozofa z Królewca uważany jest powszechnie za aż nadto formalny.

Kant sam również zdawał sobie sprawę z tego, że rozum w pewnych sytuacjach dociera do własnych granic. „Istnieje coś więcej, jednak tego »więcej« nie znam bliżej" – pisze w „Uzasadnieniu krytyki moralności", dlatego też wprowadza do swego systemu tak zwane idee regulatywne: Boga, świata i nieśmiertelnej duszy, których istnienia nie da się udowodnić, konieczne są jednak do poznania postrzeganej rzeczywistości. ■

eprasa.pl 475b32102c

Jakub Augustyn Maciejewski

Krzyżowanie człowieka z szympansem, czyli manowce lewicowej nauki

Znany przypadek stalinowskiego pseudonaukowca Trofima Łysenki nie wziął się znikąd i nie był wcale daleki od innych psychopatycznych uczonych, chcących zmieniać świat wedle ideologii, w którą wierzyli. Niejeden profesor chciał się zapisać w historii z mocniejszym dziedzictwem niż literacki doktor Frankenstein. Przodowali w tym oczywiście Sowieci, choć i dziś spotykamy się z podobnymi wizjonerami.

prasa.pl 475bs2102c

for arch.

Trofim Łysenko chciał wyhodować nową odmianę pszenicy, która miałaby nakarmić głodujący sowiecki lud

Historie narodów pełne są przypadków naukowych i duchowych hochsztaplerów, którzy uwodzili władców, pozyskiwali od nich pieniądze, władzę i wpływy, a potem swoje paranoiczne wizje próbowali wprowadzać w życie. Słynny z podbojów miłosnych Giacomo Casanova popisywał się też magicznymi bredniami, sprzedając cudowne eliksiry, światło księżycowe i energię z nieistniejących krain Dalekiego Wschodu. Jedna ze starych arystokratek wierzyła, że Casanova za pomocą stosunku seksualnego przywróci jej młodość, a żeby pomóc uwodzicielowi w uzyskaniu erekcji, zezwoliła na towarzystwo młodej i atrakcyjnej „asystentki". Im bardziej naukowo-oświecony nimb hochsztaplera, tym większa jego wiarygodność u innych postępowców – bez względu na absurdalność pomysłu. Hrabia Cagliostro, oszust współczesny Casanovie, przekonywał francuskich książąt, że jest nieśmiertelny, opowiadając im zdarzenia ze starożytnego Izraela i Egiptu, których rzekomo był świadkiem. Dziś w księgarniach ezoterycznych można przeczytać, że Cagliostro wcale nie umarł, ale żyje wśród nas. Z tejże samej epoki „światła i rozumu" pochodził Franz Mesmer, który wierzył, że każdy organizm posiada uniwersalny magnetyzm, specjalne niewidzialne fale, którymi da się sterować za pomocą naelektryzowania i magnesów, przez co można leczyć, poprawiać nastroje i przekazywać wiedzę – na jego seansach w wielkich miastach Francji pojawiały się tłumy wielbicieli, oczekujących, że po naelektryzowaniu przez Mesmera wstaną z wózków inwalidzkich, odzyskają płodność albo powstrzymają raka.

Dwa wieki później sowiecka telewizja nadawała w najwyższych godzinach oglądalności seanse Kaszpirowskiego, który pewnym siebie wzrokiem i rozstawionymi rękami rzekomo przekazywał widzom energię zdrowia i życia. W postkomunistycznej Polsce odpowiednikiem Kaszpirowskiego był Zbigniew Nowak, prowadzący program „Ręce, które leczą".

Świat od zawsze witał oszustów z otwartymi ramionami, zwłaszcza gdy potrafili zauroczyć biurokratycznych decydentów w scentralizowanych państwach, a czasy dominacji filozofii racjonalizmu i oświecenia dodatkowo temu sprzyjały. Wyrastający z epoki oświecenia marksizm i machina biurokratyczna Związku Sowieckiego stworzyły raj dla pseudonaukowych ideologów, którzy mamili swoich niedouczonych przywódców wizjami jedności marksizmu ze wszystkimi dziedzinami życia. Podgrzewanie gigantycznych przestrzeni Syberii, skrzyżowanie człowieka z szympansem w poszukiwaniu nowej rasy robotników czy walka z genetyką to tylko znany fragment wielkiej sowieckiej tajemnicy – rządów zideologizowanych hochsztaplerów, którzy zapisali wielki rozdział w dziejach zachodniego oświecenia, będącego w istocie cywilizacyjnym zaciemnieniem i epoką „pychy ludzkiego rozumu".

Marksizm pseudonaukowy

Gdy w połowie XIX wieku Karol Marks i Fryderyk Engels zaczęli zdobywać popularność wśród europejskich socjalistów, obaj panowie wprowadzili rozróżnienie pomiędzy wcześniejszymi nurtami myśli lewicowej a własnymi koncepcjami. Poprzednicy autorów „Manifestu komunistycznego" mieli reprezentować etap „socjalizmu utopijnego", zaś oni sami rozpoczęli okres „socjalizmu naukowego". To nazewnictwo się przyjęło i do dziś się go używa, choć przecież zawiera autopromocyjną sztuczkę i nieuzasadnioną przechwałkę. Owszem, utopiści spod znaku Charlesa Fouriera, Henriego de Saint-Simona czy Roberta Owena mieli absurdalne przekonania, ale Marks i Engels też nie byli od nich wolni. Gdy politolodzy i historycy omawiają koncepcje Fouriera (1772–1837), naśmiewają się zazwyczaj z jego wiary, że wraz z nastaniem socjalizmu woda w morzach i oceanach zamieni się w lemoniadę, tymczasem ideolog snuł także inne wizje. Po stopnieniu lodów na obu biegunach i przekształceniu społeczeństw ludzkich w komuny (Fourier nazywał je falansterami), także przyroda miała zmienić swoją naturę – m.in. wilki i rekiny miały zaprzestać polowań i spożywania mięsa. Francuz wyliczył też, że gatunek ludzki przetrwa równo 80 tysięcy lat. Myśliciel uznał, że przeniknął istotę psychiki ludzkiej, dzieląc jej pragnienia na „Namiętności przyogniskowe [...] ku którym grawitują istoty ludzkie wszelkiego stanu [...] to: luksizm, grupizm, seriizm" i zapewniał, że jest to bardziej wiarygodne niż nieuznawana przez Fouriera gałąź nauki – botanika. Jeśli był to naiwny utopista, jak chcieli wierzyć jego marksistowscy następcy, to dlaczego tak często socjaliści do dziś podzielają wiarę Fouriera w możliwość przekształcenia natury świata od zmiany nawyków żywieniowych istot żywych po zmianę temperatury na ziemi w walce z ociepleniem klimatycznym?

Marks i Engels ochrzcili się „naukowymi" myślicielami i to przekonanie zaszczepili swoim późniejszym zwolennikom. Podzielenie złożonej historii świata i relacji międzyludzkiej z bogactwem kultur, państw i narodów na stosunek właściciela narzędzia (czy to motyki, czy to fabryki) do użytkownika tegoż narzędzia (rolnika lub robotnika) spłaszczyło rozumienie świata i zaowocowało serią kolejnych błędów. Przez kilkadziesiąt lat ekonomiści musieli zmagać się z teorią wartości dodatkowej i z teorią ceny Karola Marksa, który przekonywał, że płacić za towar

eprasa.pl 475b32102c

powinniśmy tyle, ile kosztowało jego wyprodukowanie, czyli im gorsza organizacja pracy i więcej środków potrzebnych na wykonanie produktu, tym więcej powinniśmy za niego płacić. – Sowieci w to wierzyli i ich gospodarka mimo zasilania milionami baryłek ropy rozsypała się jak domek z kart. Dzieje oświeconych hochsztaplerów przynoszą czasem mniej, a czasem bardziej obfite owoce – po Casanovie zostało kilka porad na potencję (podobno sprawdzają się ostrygi), po Cagliostro garstka szukających go po świecie szaleńców-ezoteryków, a po Marksie i Engelsie rzesze uczonych, którzy wierzyli, że mogą wykreować świat w sposób równie fantastyczny co z psychopatycznych pism Charlesa Fouriera. Gdy w 1917 roku w Rosji upadły kolejno rządy carskie, a potem rządy demokratyczne i nastała władza bolszewików, także świat nauki został wywrócony do góry nogami. Uczeni, podporządkowani decyzjom Lenina i partii, byli tylko środkiem do celu – podporządkowania praw przyrody bolszewikom.

naszej woli, tak jak nam się podoba. Stworzyć człowieka nowej ery. Ery komunizmu" – przekonywał Pawłowa sam Lenin, gdy odwiedził go jesienią 1919 roku. Władza – zgodnie z ideologią oświeceniową i marksistowską – wierzyła, że złożone badania odruchów będą mogły wywołać u człowieka pożądane reakcje – entuzjazm do pracy, odporność na ciężkie warunki pogodowe, miłość dla przywódców. Przeciwko takiemu myśleniu oponował psycholog Lew Wygotski, nie dla oporu wobec komunizmu, lecz z powodów naukowych". „Ludzka istota to nie torba wypakowana odruchami ani nie hotel dla odruchów, którym zdarza się wpadać do niego przypadkiem na kilka chwil" – pisał w 1925 roku, gdy na kongresach psychiatrów i lekarzy uczeni wariowali na punkcie sterowania człowiekiem.

„Jestem przekonany, że człowieka można poprawić, ukształtować wedle naszej woli, tak jak nam się podoba. Stworzyć człowieka nowej ery. Ery komunizmu" – przekonywał Pawłowa sam Lenin.

Władza nad ludźmi, władza nad duszami

Iwan Pawłow dobiegał siedemdziesiątki, gdy ustrój jego kraju zmienił się z patrymonialnej monarchii w „ojczyznę światowego proletariatu". Naukowiec miał już za sobą największe odkrycie – badania fizjologii trawienia związane też z odkryciami w zakresie odruchów, których dokonał, eksperymentując na psach, zwanych od tamtego czasu „psami Pawłowa". Być może starzejący się uczony zostałby niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie fizjologii, gdyby za jego tezami nie zaczęły stawać ideologiczne przekonania – bo wraz z nastaniem bolszewików w świecie rosyjskiej nauki pojawiło się przekonanie, ze skoro u psów można na dźwięk dzwonka wywołać ślinienie, to możliwe jest także projektowanie bardziej skomplikowanych odruchów. „Jestem przekonany, że człowieka można poprawić, ukształtować wedle

Pierwsze lata sowieckiego panowania obfitowały w eksperymenty społeczne, zwłaszcza że model gospodarczy i polityczny jeszcze nie był skrystalizowany – panował więc swoistego rodzaju wolny rynek lewicowych idei – w Moskwie odbywały się pierwsze parady homoseksualne, prowadzono domy publicznej miłości, a przy sowieckim rządzie powstał Żenotdieł, urząd do spraw kobiet, przygotowujący inne formy inżynierii społecznej, doprowadzający do pierwszej na świecie legalizacji aborcji w publicznych szpitalach (listopad 1920 roku). W 1923 roku psychoanalityk Wiera Fiodorowna Schmidt założyła nawet Biały Dom Dziecka, w którym najmłodszych wychowywano nie tylko w wierze w marksizm, lecz także zakładając, że narodzone dziecko nie ma żadnych psychicznych cech wrodzonych, można więc go wychowywać i kształtować wedle odgórnie sporządzanych planów. Wiera Schmidt była jedną z prekursorek bezstresowego wychowania i przeciwniczką karania dzieci, bo miało to przesłaniać „społeczny wymiar winy" – w tak skomponowanej rzeczywistości społecznej człowiek nie posiadał wolnej woli – był albo garścią odruchów (Pawłow) albo trybikiem społecznym (Schmidt).

eprasa.pl 475b32102c

Być może z tych właśnie powodów naukowy oszust Paul Kammerer znalazł uznanie w marksizującym świecie intelektualistów ówczesnego świata, a gorliwych obrońców w Związku Sowieckim. Austriacki biolog badał dziedziczenie cech u jaszczurek i oczekiwał, że spełnią one marzenia francuskiego przyrodnika Jeana-Baptiste'a de Lamarcka, który w 1809 roku wyprzedził Darwina w teorii ewolucji. Francuz twierdził, że za życia organizmu można wykształcić cechę, którą potomek odziedziczy. Kammerer próbował to udowodnić poprzez hodowlę jaszczurek i ropuch, którym pod jego opieką wyrastały ciemne wypustki na łapkach, a następnie były one dziedziczone przez potomstwo. Problem pojawił się, gdy szybko rozkładające się płazy trzeba było przechowywać w specjalnie przygotowanych płynach i nagle ciemne wypustki... rozpłynęły się. Okazało się, że nie miały one zmian w organizmach, ale były zwyczajnie, podskórnie zafarbowane tuszem do pisania. Sowietom jednak badania udowadniające dziedziczenie cech nabytych było bardzo potrzebne – pozwoliłoby udowodnić, że marksiści nauczą robotników nadludzkiej pracy, a taki mocarny pracownik spłodzi superrobotnika, wzmacniając tym samą całą klasę pracującą komunistycznego imperium. Na polecenie Ludowego Komisarza Oświaty ZSRS Anatolija Łunaczarskiego w 1928 roku nakręcono niemy film fabularny pod tytułem „Salamandra", w którym wybitny naukowiec – alter ego Kammerera – dokonał ważnego odkrycia, ale burżuazyjno-arystokratyczny spisek doprowadził do zniszczenia badań biologa. W fabule jeden z niegodziwych asystentów profesora zabarwia łapki salamander tuszem, by skompromitować badania mistrza. Łunaczarski załatwił tym filmem dwie sprawy propagandowe – bronił Kammerera i jego tez, a ponadto pokazywał, że tylko w Związku Sowieckim nauka dla postępu ludzkości może się swobodnie rozwijać – skoro w komunistycznym społeczeństwie nie ma własności i rywalizacji, to nie ma też zazdrości i sabotowania pracy konkurencji.

W 1927 roku inny oświecony psychiatra, Władimir Biechtiariew, założył instytucję o nazwie Panteon Mózgów. To na zaproszenie tego środowiska niemiecki neurolog Oskar Vogt ogłosił po sekcji zwłok Lenina, że przywódca bolszewickiego przewrotu był geniuszem ponad rozumienie badań naukowych, że wykrył w jego mózgu „piramidalne komórki", które miały dowodzić, że „Lenin był mentalnym atletą". Za takiego samego mentalnego atletę uważał się założyciel Panteonu, skoro po jego śmierci w 1927 roku posłuszni asystenci zakonserwowali jego mózg. Przecież sowieccy naukowcy wierzyli w materializm dialektyczny Marksa, to znaczy, jak twierdził sam Biechtiariew, także myśl ludzka jest jakąś materią, którą można uchwycić, przejąć i ukształtować. Za tym przekonaniem stała i praktyka – uczeni sowieccy wierzyli więc w hipnozę, za pomocą której będą mogli zarządzać umysłem robotnika, tak jak pracownik robi to z maszyną poprzez przestawianie wajch i wciskanie guzików.

Nie zdziwi więc nikogo, że eugenika, rozwinięta tak twórczo przez nazistów, instytucjonalnie zadomowiła się w Rosji już w 1919 roku w Państwowym Muzeum Higieny Społecznej, w którym najaktywniejszym działaczem był biolog Nikołaj Konstantynowicz Kolcow. Rosjanin z pewnością byłby uznany za jednego z pionierów rosyjskiej genetyki, gdyby nie jego publikacja z 1922 roku pt. „Ulepszenie ludzkiej rasy", w której postulował naukową realizację... powieści fantastycznonaukowej Herberta Wellsa „Wehikuł czasu". Kolcow chciał podzielić ludzi na rasy, tak jak na rasy podzielone są psy, w której każda z nich specjalizowałaby się w jakimś fachu. Tak jak jamniki polują na lisy, a bassety tropią ślady zwierzyny, tak jedna rasa ludzi miałaby stworzyć klasę górników, a inna na przykład marynarzy. W 1928 roku powstało w Moskwie Biuro ds. Ludzkiej Dziedziczności i Konstytucji, wyprzedzając o cztery lata powstanie swojego niemieckiego odpowiednika „Urzędu do spraw Rasy i Osadnictwa". Na przełomie lat 20. i 30. Stowarzyszenie Biologów Materialistycznych pracowało nad skrzyżowaniem człowieka z szympansem w ramach projektu „międzygatunkowej hybrydyzacji ssaków naczelnych". Kobiety, zwłaszcza te, które były przytłoczone biednym i bezsensownym życiem w totalitarnym państwie, same odpowiadały na prasowe ogłoszenia. Szczegóły działalności środowiska, na czele którego stał Sołomon Lewit, kryją archiwa moskiewskie – możemy być pewni, że eksperymenty się nie udały, ale nie wiemy, jakie potworności wyszły z tej pseudonaukowej żądzy...

Krzyżowanie melona z kabaczkiem

Tylko w niewielkim stopniu Józef Stalin ukrócił te praktyki, mobilizując siły w obszarze gospodarki i konstruowania przemysłu, zamiast finansować bezpłodne i nieskuteczne eksperymentu psychopatycznych naukowców. Jednak uwagę wodza przyciągnęło dwóch innych oszukańczych agronomów – Iwan Miczurin (1855–1935) i Trofim Łysenko (1898–1976), którzy teorie wychowania organi-

eprasa.pl 475b32102c

zmów próbowali zastosować wobec... roślin. Miczurin, ukończywszy jedną klasę podstawówki, całe życie zajmował się rolnictwem i sadownictwem i gdyby poprzestał na kolekcjonowaniu i sadzeniu nasion, zapewne zyskałby lokalne lub ogólnokrajowe uznanie. Ale jego amatorskie badania bolszewicy zasilili rozbuchaną formą utworzenia wokół sadownika stacji hodowli roślin. Miczurin poczuł, że wiatr mu zaczął wiać w żagle, więc zajął się krzyżowaniem melona z kabaczkiem i mrożeniem ozimej pszenicy, by poczuła się pszenicą jarą. Gdy czasem metodą prób i błędów wyszedł mu obfitszy plon, sowiecka prasa ogłaszała nową epokę rolnictwa, w której Syberia porośnie zbożami od stepów Kazachstanu po Ocean Arktyczny.

Kolejnym geniuszem sowieckiej agronomii i wielką nadzieją Stalina na rewolucję w nauce okazał się Trofim Łysenko, kolejny samouk, wsparty przez korespondencyjne studia Kijowskiego Uniwersytetu Rolniczego. I znowu, w normalnym świecie nauki, wypłukanym z ideologii, próby zaaklimatyzowania fasoli w chłodniejszych warunkach przyniosłyby Łysence miejsce zasłużonego przyrodnika, tymczasem w systemie faworytów i propagandystów ten samozwańczy biolog stał się autorytetem odbierającym swoimi radami środki i stanowiska wybitnym genetykom i badaczom dziedziczenia. W dobie Wielkiego Głodu na Ukrainie w 1932 roku Biuro Botaniki Stosowanej ogłosiło, że strączki fasoli, które podlewa Łysenko, wyrosną w niemal każdych warunkach. Ludowy Komisarz Rolnictwa Jakow Jakowlew widział w tym wielką nadzieję i zdecydował o sfinansowaniu kolektywnej uprawy – jeszcze w latach 80. studenci łódzkiego NZS-u podawali sobie zdjęcia uschłych drzew, które zasadzone razem na jednym kwadratowym skrawku ziemi miały się kolektywnie wspierać niczym chłopi w kołchozie. Wraz ze stalinizacją życia politycznego i naukowego Łysenko stał się papieżem komunistycznej nauki – w 1935 roku zakwestionował istnienie genów, blokując na dwie dekady badania w tym zakresie. W 1937 roku w Moskwie odbyła się wielka debata naukowców nad kwestią genetyki, w której Łysenko zwyciężył, oskarżając w ogarniętej wielkim terrorem Rosji swoich przeciwników o prowadzenie „burżuazyjnej nauki" czy nawet „faszystowskich inspiracji". Zagranicznym uczestnikom dyskusji udało się wyjechać z kraju, ale Sołomon Lewit zosał 10 stycznia 1938 roku aresztowany, a w maju rozstrzelany. Nic nie mogło powstrzymać nauki, która obiecywała polityce spełnienie jej marzeń. Szczytem wpływów Łysenki był początek roku 1947, gdy w prasie ukazało się zdjęcie z jego osobistego sylwestrowego spotkania z samym Stalinem. Towarzysze rozmawiali o wyhodowaniu nowej odmiany pszenicy, która nakarmiłaby głodujący sowiecki lud. Łysenko potrafił szeptać ministrom nazwiska tych profesorów, którzy mieliby być odcięci od środków do życia, więc profilaktycznie w środowisku naukowym zapanowała autocenzura dotycząca samozwańczego biologa. Inaczej się stało po śmierci Stalina, gdy pod koniec 1953 roku hodowca owiec nazwiskiem Ruchkian odnalazł człowieka, który w 1923 roku pomógł Łysence zmistyfikować eksperyment botaniczny. Według oficjalnej wersji drzewo grabu dało się „namówić", by wypuścić gałąź orzecha, przetransformować swoją część w inny gatunek. Ruchkian wykazał, że gałąź została przeszczepiona ze zdrowego orzecha i na tym wielkość eksperymentu się kończyła. Dowodem na to, że to zideologizowanie nauki prowadzi ją na absurdalne manowce, jest fakt, że Łysenko nie stracił swoich funkcji po śmierci Stalina, ale nadal prowadził swoje pseudobadania i proponował rozwiązania dla sowieckiego rolnictwa. Wbrew zapewnieniom, że to stalinizm przyniósł okres błędów i wypaczeń, to jednak po zmianie władzy abstrakcyjne patologie nadal miały się dobrze.

▶ Komunizm umarł, postęp żyje

Nie ma na świecie już naukowców, którzy kwestionują istnienie genetyki, a badania nad DNA pozwalają odkrywać sekrety starości i zdrowego życia. A jednak wraz z upadkiem Sowietów i względnym upadkiem komunizmu nie upadła idea postępu i wiary w nieograniczoną potęgę rozumu. Amerykański miliarder i biznesmen Andreas Thiel, twórca systemu płatności PayPal, zadeklarował kilka lat temu, że stara się o przedłużenie swojego życia... w nieskończoność. „Myślę, że istnieją trzy rodzaje podejścia do śmierci: można je zaakceptować, można je negować albo z nim walczyć. Nasze społeczeństwo jest zdominowane przez ludzi, które śmierć akceptują lub się jej wypierają, a ja wolę walkę z nią" – mówił swoich słuchaczom. Filantropi i wynalazcy pokroju Billa Marisa, twórcy Google Venture, czy naukowcy spod znaku profesora Raya Kurzweila pozyskują setki miliony dolarów do badań nad nieśmiertelnością i ulepszaniem człowieka – dziś bardziej cybernetycznego niż genetycznego. Zmienia się technologia jako narzędzie pychy, ale pycha rozumu pozostaje nieograniczona dziś, jak za czasów bolszewickich rządów. Kolejne dekady badań oświeconych naukowców przyniosą nam eksperymenty, które będą za sto lat budziły grozę nie mniejszą niż sowieckie zabawy z duszą człowieka. ■

eprasa.pl 475b32102c

URODZENI „PRZEZ POMYŁKĘ”

„To fantastyczne osiągnięcie, że liczba noworodków z zespołem Downa jest zbliżona do zera” – stwierdził przekonany o słuszności swoich racji profesor etyki lekarskiej ze Szpitala Uniwersytetu w Aarhus. Jego stanowisko poparł filozof i etyk z Uniwersytetu Sztokholmskiego, który uważa, że eliminacja niepełnosprawnych umysłowo dzieci jest „naturalną tendencją”.

Małgorzata Matuszak

„Dlaczego ja?”„Co mam zrobić?” – to pewnie jedne z pierwszych pytań, które pojawiają się w chwili, gdy kobieta dowiaduje się, że dziecko, które nosi pod sercem, jest ciężko i nieuleczalnie chore. Przerwać ciążę, tym bardziej, że polskie prawo dopuszcza w takich przypadkach aborcję? Urodzić mimo strachu, jak sobie w tej sytuacji poradzi? Mimo niepewności, czy będzie w stanie kochać swoje dziecko tak bardzo, by podołać wszystkim trudnościom, które czekają na nią w przyszłości?

Aborcja eugeniczna

Z przedstawionego na początku roku przez rząd sprawozdania wynika, że liczba legalnie dokonywanych aborcji w Polsce z roku na rok wzrasta. Przypomnijmy, możliwa jest ona w trzech przypadkach: 1. gdy ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia matki; 2. badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazują na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu; 3. zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego.

W 2016 roku przerwano w Polsce 1098 ciąż, w tym w jednym przypadku powodem był gwałt, w 55 przypadkach – zagrożenie życia i zdrowia kobiety, reszta zaś, czyli 1042, powodowana była przesłanką drugą. Spośród tych aborcji 388, czyli około 38 proc., zostało przeprowadzonych z powodu stwierdzonego zespołu Downa (w 221 przypadkach nie występowały – prócz trisomii 21 – współistniejące wady, w 167 stwierdzono zespół Downa z wadami – m.in. poważne wady serca, wodogłowie lub wytrzewienie, czyli przemieszczenie narządów poza jamę brzuszną).

Trzeba sobie jednak zadać pytanie, czy ta niepełnosprawność naprawdę jednoznacznie skazuje cierpiące na nią dziecko na śmierć? Czy naprawdę jest to tak ciężkie i nieodwracalne upośledzenie płodu bądź tak poważna nieuleczalna choroba, by obarczone trisomią 21 dzieci skazywać z góry na śmierć? Czy one nie potrzebują miłości? Owszem, może ta miłość jest trudniejsza, boryka się z wieloma problemami, często takimi, o jakich rodzice zdrowych dzieci nie mają wyobrażenia, ale czyż nie warta tego, by po prostu kochać?

Usunąć w cień

Na Zachodzie dzieci z zespołem Dawna właściwie już się nie rodzą. Bynajmniej nie dlatego, że medycyna potrafi tę chorobę leczyć, lecz dlatego, że dotknięte nią dzieci są po prostu zabijane w łonach matek. W Niemczech, Francji czy Hiszpanii ponad 90 proc. ciąż, w których u dziecka wykryto tę chorobę, kończy się ich usunięciem. Wielu niemieckich lekarzy uznaje, że noszenie niepełnosprawnego dziecka w łonie to za duże obciążenie psychiczne dla kobiety, przez co stanowi zagrożenie dla jej zdrowia. W Islandii wada ta zupełnie znika ze społeczeństwa. Wszystko za sprawą badań prenatalnych, którym poddaje się około 80 proc. kobiet

eprasa.pl 475b32102c

w ciąży. Doktor Peter McParland z National Maternity Hospital w Islandii mówił w tamtejszym parlamencie, że liczba kobiet usuwających ciążę z powodu wykrycia u płodu wad wskazujących na zespół Downa bliska jest 100 proc.! Dzieci z zespołem Downa rodzą się tam właściwie tylko przez pomyłkę lekarzy. W Islandii mieszka około 330 tys. osób, rocznie rodzi się tam jedno lub dwoje dzieci z zespołem Downa, i to tylko dlatego, że pomylił się lekarz, który niedokładnie przeprowadził test. Kari Stefansson, genetyk i założycielka firmy deCODE Genetics, ma swoje kontrowersyjne poglądy na temat aborcji płodów obarczonych ryzykiem zespołu Downa: jest przekonana, że likwidacja tej wady genetycznej ze społeczeństwa to słuszna, ale skomplikowana decyzja. Islandzcy lekarze nie patrzą na abortowanie dzieci z zespołem Dawna jak na morderstwo, lecz jako na wyjście pozwalające uniknąć problemów zdrowotnych dziecka po narodzinach. Zaś Hulda Hjartardottir, szefowa oddziału diagnoz prenatalnych, w rozmowie z CBS stwierdza, że lekarze niczego nie narzucają, mówiąc, iż: „Staramy się doradzać jak najbardziej neutralnie, bez naciskania, ale niektórzy ludzie twierdzą, że proponowanie przeprowadzenia testu samo w sobie stanowi wyznaczenie pewnego kierunku".

Podobnie jest w innych krajach. W Danii na przykład już w 2011 roku stwierdzono, że po 2030 roku dzieci z zespołem Downa w ogóle przestaną się rodzić. Podobną tendencję daje się zauważyć w Szwecji. „To fantastyczne osiągnięcie, że liczba noworodków z zespołem Downa jest zbliżona do zera" – stwierdził prof. Niels Uldbjerg, badacz etyki lekarskiej ze Szpitala Uniwersytetu w Aarhus, a jego stanowisko poparł filozof i etyk z Uniwersytetu Sztokholmskiego prof. Torbjoern Taennsjoe, który uważa, że eliminacja niepełnosprawnych umysłowo dzieci jest „naturalną tendencją". „Mamy różnego rodzaju mniejszości w społeczeństwie, które pojawiają się, a potem odchodzą. Ważne, aby nie zmuszać ludzi do tych technik, ale nie ma w tym nic złego, że z takiej możliwości korzystają" – powiedział. Takie wypowiedzi napawają przerażeniem.

Wystawić na światło

W Polsce zaczyna się dziać podobnie. Niektórzy rodzice wbrew temu, co narzuca współczesny świat, decydują się jednak na to, by urodzić dziecko z zespołem Downa. Decyzję o tym podejmują już po badaniach na poziomie prenatalnym. Niektóre dzieci rodzą się zaś dlatego, że wada nie została wykryta w odpowiednim okresie. Co wtedy? Na początku najczęściej pojawia się szok. Pokątne szemrania zespołu medycznego, po których kobieta wyczuwa, że coś z jej dzieckiem jest nie tak. W końcu słyszy diagnozę: „Urodziła pani dziecko z zespołem Downa". Tylko – co dalej? Brakuje u nas wsparcia psychologicznego, podstawowej pomocy, której potrzebują matka i ojciec dziecka, słyszący taką diagnozę. Na szczęście istnieje coraz więcej miejsc, w których może podzielić się swoimi rozterkami, swym strachem, zapytać, co robić dalej. Bo dziecko z zespołem Downa może dziś żyć w miarę normalnym życiem, tylko potrzeba do tego ogromnego wysiłku ze strony jego rodziców. Potrzebna jest rehabilitacja, w szerokim tego słowa znaczeniu, od samego początku, by zmobilizować wszystkie siły dziecka obarczonego tą niepełnosprawnością do postępów na drodze jego rozwoju. To jest możliwe, tylko wymaga ogromnej pracy.

Jeszcze 20–30 lat temu ludzie z zespołem Downa dożywali 30 lat, jednak dzięki rozwojowi medycyny i pojawieniu się szeregu terapii psychologicznych i rozwojowi fizjoterapii mogą dożyć nawet 60. Średnią długość życia z tym schorzeniem szacuje się dziś na około 49 lat. Nie jest to więc wyrok.

Nie chodzi tylko o umieralność. Osoby z zespołem Downa mogą żyć w miarę normalnie, choć oczywiście jest to uzależnione od współwystępujących schorzeń. Nie ma co ukrywać, dziecko z zespołem Downa różni się od „normalnych" dzieci wyglądem, sposobem bycia i inteligencją. Zewsząd napotyka na ciekawskie spojrzenia, na litość w oczach, której nie potrzebuje. Nie chce być też chowane w ukryciu, bo jest ufne, obdarza innych zaufaniem, otwarte, jeśli czuje się bezpieczne. Nic, tylko kochać. Tylko tyle, a jednak wydaje się to tak dużo.

Otwartość na inność

Wychowywanie „innego" dziecka jest trudne, z pewnością. Tym trudniejsze, że kobieta często z tym „problemem" zostaje sama. Mężczyźnie trudniej jest zaakceptować inność swego dziecka. Jeśli jest to niemożliwe, a problemy związane z tą sytuacją go przerastają – odchodzi. Nie jest to oczywiście normą, wielu mężczyzn kocha swe dzieci takimi, jakimi są. To w sytuacji dzieci z zespołem Downa jest szczególnie ważne. One wręcz łakną miłości, ciepła, stałości. Są bardzo uczuciowe.

I jeszcze jedna kwestia – niepełnosprawność dziecka zawsze dotyka całą rodzinę. Ale „inność" nie jest wyrokiem. W jej obliczu trzeba tylko umieć i mieć chęć swój świat przeorganizować. Tylko tyle i aż tyle. ■

eprasa.pl 475b32102c

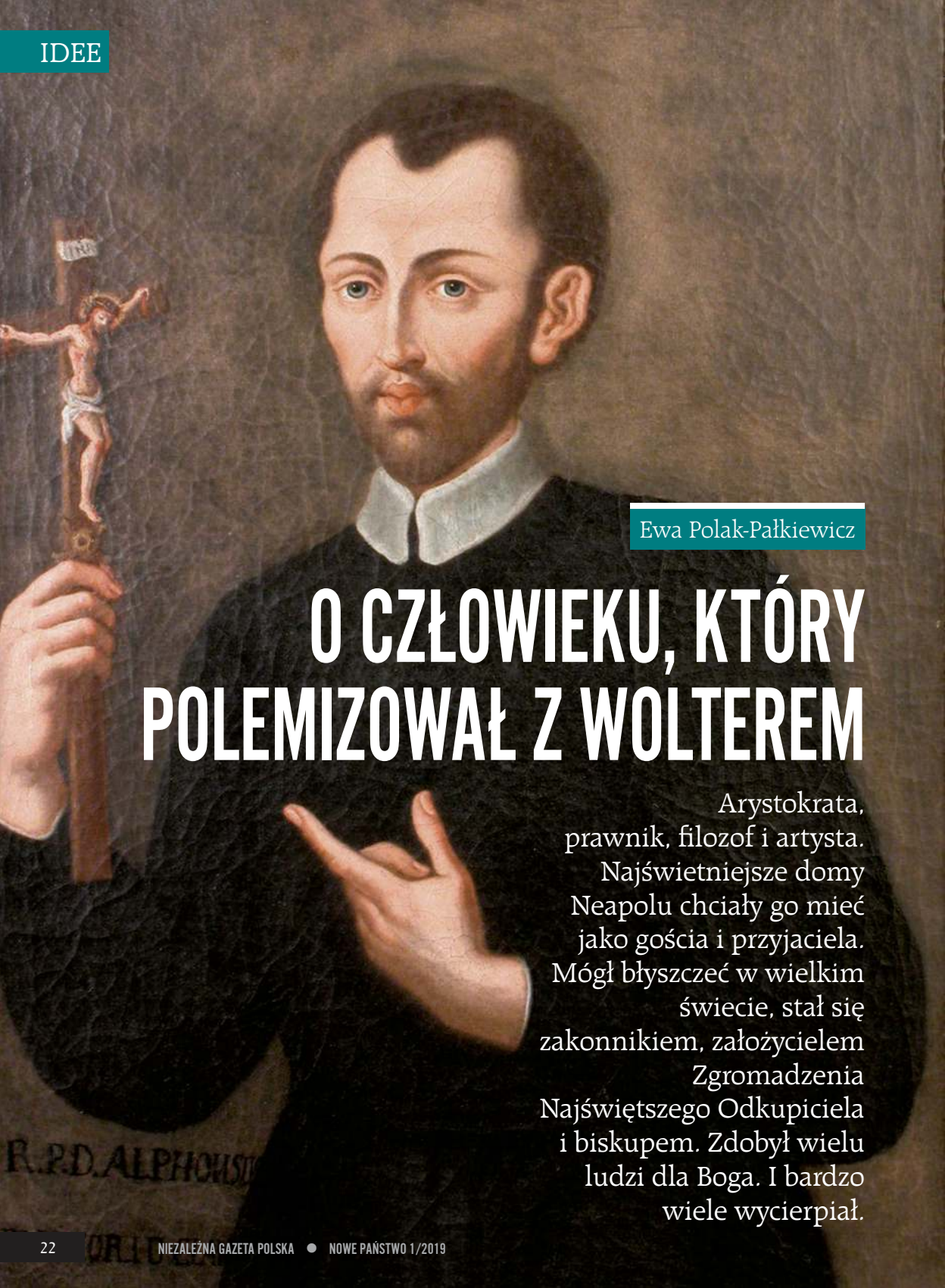

Ewa Polak-Pałkiewicz

O CZŁOWIEKU, KTÓRY POLEMIZOWAŁ Z WOLTEREM

Arystokrata, prawnik, filozof i artysta. Najświetniejsze domy Neapolu chciały go mieć jako gościa i przyjaciela. Mógł błyszczeć w wielkim świecie, stał się zakonnikiem, założycielem Zgromadzenia Najświętszego Odkupiciela i biskupem. Zdobył wielu ludzi dla Boga. I bardzo wiele wycierpiał.

Jak wychowywać i kształcić chłopca, który jest dziedzicem wspaniałego nazwiska, pierworodnym synem rodziców, którzy starają się łączyć gorliwość chrześcijańską z dbałością o splendor rodziny, koneksje i interesy? Temu zadaniu musieli sprostać na przełomie XVII i XVIII wieku Anna z Cavalierich i Giuseppe de Liguori, zwani „kobietą z aksamitu" i „mężczyzną z żelaza". Wszystkie ich decyzje i wybory śledziło czujnie wiele par oczu w Neapolu; z racji pozycji społecznej stanowili wzór dla innych. Świadomi niezwykłości talentów złożonych w ich dziecku, czuli odpowiedzialność przed Bogiem za jego wychowanie.

Aktor jednoosobowego teatrzyku ulicznego

Anna była wielką damą i wcieleniem uroku, łagodności i dobroci; Giuseppe – gwałtownym, porywczym i upartym szlachcicem, komandorem floty. Jako rodzice byli w sytuacji uprzywilejowanej, mogli kierować się najlepszą tradycją kształcenia dzieci z ich sfery. Neapol był wielkim ruchliwym miastem, portem otwartym na świat, jednym z najważniejszych w Europie ośrodków kulturalnych. Mieszały się tu języki, wrzało życie umysłowe.

Rodzice Alfonsa de Liguori (1696–1787), przyszłego świętego, nie zamierzali zamykać go w złotej klatce. Byli jednak świadomi, jaka jest prawdziwa wartość oferty składanej przez świat. Dzięki ich czujności chłopiec trafił do środowiska, które pozwoliło mu nawiązać relacje z rówieśnikami i rozwinąć się życiu religijnemu. Matka zatroszczyła się, by już w bardzo młodym wieku miał przewodnika duchowego, zwłaszcza że ojciec często przebywał na morzu. Został nim Tommaso Pagano, należał on do grupy księży, która półtora wieku wcześniej zgromadziła się wokół osoby Filipa Neri, a zwano ich filipinami. Święty Filip Neri (1515–1595) był jednym z najdowcipniejszych ludzi we Włoszech. „Jeszcze dziś, gdy w Rzymie mówi się o kimś »to filipin«, wiadomo, że chodzi o jakiegoś wesołka i spryciarza". Zanim został kapłanem, mawiano o nim, że jest „jak dzwon, który przywołuje ludzi do kościoła, ale sam zostaje w dzwonnicy". Ekscentryk, aktor jednoosobowego teatrzyku ulicznego, który rozbawiał widzów do łez, był zarazem mędrcem i człowiekiem surowych umartwień. Jako gorliwy spowiednik spędzał w konfesjonale całe dnie. Po Włoszech krążyły opowieści o dowcipach, jakie robił niezbyt skruszonym penitentom, i o tym, jak przekomarzał się z papieżem. Ten przyjaciel artystów, służących, zamiataczy ulic, rzymskich rzezimieszków i arystokratów był człowiekiem, któremu Bóg w tajemniczym mistycznym doświadczeniu „rozszerzył serce". Wiele opowiadano o ekstazach św. Filipa, o mszach odprawianych z niezwykłym wzruszeniem, o jego umiejętności czytania w ludzkich sercach. Ale też o zachowaniach cokolwiek osobliwych, by nie powiedzieć – szalonych.

„Potrafił przyjmować najznakomitszych gości mając na sobie podarte albo dziwnie dobrane ubranie. Albo też na odwrót, ubierał się strojnie i pysznił się jak paw, jakby chciał być śmiesznym. Robił najróżniejsze rzeczy, żeby wzięto go za wariata: chodził po mieście z ogoloną jedną połową twarzy, kiedy indziej znów z wielką niebieską poduszką na głowie albo z ogromnym bukietem żółtych kwiatów" (A. Sicari). Owe wystudiowane dziwactwa, dobrowolne upokorzenia miały jeden cel: wykpienie snobistycznych obyczajów epoki, nadętych póz, rozmiłowania w przepychu, celebrowania swojej godności. Miały prowadzić do pokory, skupienia, nawyku prowadzenia życia duchowego jako czegoś dostępnego dla wszystkich. Nie znosił, gdy nazywano go świętym, choć jego mistycznych doznań nie udawało się ukryć; wolał, by uważano go za ekscentryka. Tak mocno wzruszał się podczas Mszy św., że tuż przed jej odprawieniem musiał czytać świeckie teksty, by nieco się rozproszyć, inaczej popadał w ekstazę i nie mógł dokończyć Eucharystii. W zakrystii miał ptaszki w klatce, by zagadywać do nich, by móc sprawować Najświętszą Ofiarę bez tak wielkiego, niemożliwego do ukrycia uniesienia. Gdy był jeszcze studentem, zdarzało się nieraz, że męczyło go poczucie, iż „nauka oddala go od Boga, a Bóg oddala go od nauki". Krążył wtedy godzinami po Rzymie, wybierając bogate dzielnice kupców i bankierów. Zatrzymywał spotkanych na ulicy i wszystkim zadawał to samo pytanie: „A zatem, bracia moi, kiedyż wreszcie zaczniemy być dobrzy?". Do dziś znane jest powiedzenia św. Filipa Neri: „Cokolwiek wyda ci się dobre, bez Chrystusa nigdy nie będzie to prawdziwe dobro" i „Niebo nie jest stworzone dla leniwych".

W Neapolu została utworzona filipińska konfraternia młodych szlachciców, gdzie działał o. Pagano. Alfons wstąpił do niej jako dziewięciolatek. Odtąd niedziele spędzał w oratorium, które filipini założyli, nie szczędząc środków. Wynajęli na stokach Capodimonte wielki dom z ogrodem, pergolami i galerią marmurowych figur. Dziewięć hektarów pokrytych drzewami pomarańczowymi i cytrynowymi. Młodzi arystokraci czytali tutaj, modlili się, dyskutowali, a także oddawali się grom i zabawom na świeżym powietrzu. Nowatorstwem wprowadzonym przez św. Filipa był teatr młodych

fot. arch.

eprasa.pl 475b32102c

i wspólne muzykowanie, koncerty muzyki religijnej i rozrywkowej. Teren odznaczał się też wyjątkową, nawet jak na Włochy, urodą. Roztaczała się stąd słynna panorama opiewana w pieśniach i poezji, przez wielu malarzy uznana za najpiękniejszy widok świata. „U stóp miasto jak barwny dywan, dalej dwa ramiona żarzącej się od słońca zatoki". Na jej wodach, wśród setki żaglowców Alfons wypatrywał galerę ojca. „W dali po lewej stronie Capri, jak marmurowy pies z zieleni i brzegi Sorrento spadające stromo do morza, a bliżej Wezuwiusz, straszący białym dymem, oświetlony pełnym blaskiem i powoli różowiejący od strony morza przy zachodzie słońca".

Żywo, przystępnie i elegancko

Widząc zdolności chłopca, jego żywą inteligencję, ciekawość świata i zalety charakteru, rodzice w kształcenie syna włożyli ogromny wysiłek. Prowadzili je, korzystając z szerokich znajomości w świecie naukowym i obejmując studenta dyskretną obserwacją jego postępów. Edukacja domowa była obyczajem starych rodów. Dawała rodzicom wgląd w efekty nauki, pozwalała na bieżąco korygować program, by nie uronić ani chwili z czasu największej chłonności umysłu, zadbać także o harmonię między pracą i odpoczynkiem. Siedmioletni Alfons zasiadł do studiowania ksiąg. Jego nauczycielem został Domenico Buonaccia, jezuita, profesor dyplomowany gramatyki, nauk humanistycznych i poezji. Zamieszkał u Liguorich na prawach domownika i pozostał tu w czasie, gdy Alfons był już na uniwersytecie, by chłopiec mógł z nim omawiać wszystkie tematy. Alfons traktował go jako duchowego mistrza. W tamtych czasach nikomu się nie śniło wyznawać pogląd, że uczeń i nauczyciel mają rozmawiać jak równy z równym.

Program nauczania był efektem metody wypracowanej przez jezuitów, ówczesną potęgą intelektualną, obejmował gramatykę, literaturę, poezję łacińską i włoską, język francuski, matematykę, filozofię, geografię, kosmografię. A dodatkowo u Alfonsa hiszpański (język państwowy), malarstwo, architekturę, muzykę (do tych przedmiotów Liguori zatrudniali osobnych nauczycieli). Sportem były szermierka i polowania, rozrywką teatr. Wszyscy wychowawcy, bez popadania w pochlebstwa, byli zdania, że Alfons odznacza się „subtelnym umysłem, wnikliwą inteligencją, pamięcią łatwą i trwałą oraz naturalną skłonnością do wiedzy".

Zarządzający edukacją rodzice wiedzieli, że domowe studia muszą dać mu przede wszystkim „doskonałe opanowanie języka i możność posługiwania się nim w całym jego bogactwie, gdyż język jest narzędziem i miarą działania myśli". Odwrotnie niż dziś, gdy myśli się szablonami lub skrótami pojęciowymi, których znaczenie staje się coraz bardziej nieuchwytne. Edukacja w tamtych czasach prowadzona była przez ludzi Kościoła. Cały dorobek katolickiej edukacji zdmuchnęła rewolucja francuska, przypieczętowała bolszewicka, a obecnie utrwala rewolucja obyczajowa wychodząca z założenia, że bylejakość myślenia osiąga się, redukując i prymitywizując język.

Na uniwersytecie wykłady odbywały się po łacinie. W tym języku św. Alfons napisał w dojrzałym wieku dziewięć tysięcy stron swojego głównego dzieła „Teologii moralnej" – „żywo, przystępnie i elegancko". Zasady gramatyki i poetyki, wartość literacką i filozoficzną dzieła objaśniał nauczyciel, „doprowadzając ucznia do progu zawartego w tekście piękna myśli, które ten już samodzielnie studiował". Nauczyciel był uczonym w pełnym tego słowa znaczeniu, starał się ukształtować ludzi światłych i ciekawych świata, „ustawiać dobrze głowy filozofów", aby wytłumaczyć całość ludzkiego doświadczenia. Dzięki dobrej znajomości filozofii św. Tomasza i Kartezjusza Alfons rozumiał źródło uwikłań intelektualistów swojej epoki; prowadził z nimi później ideowy spór na terenie ich kultury, co było rzadkością u duchowieństwa.

Dzięki francuskiemu, który już wówczas stał się językiem sfer wykształconych, dworów i dyplomacji, Alfons w najlepszym swym dziele dogmatycznym mógł swobodnie polemizować z Wolterem. Także z Rousseau, Diderotem i Bayle'em, których książki czytał w oryginale. Hiszpański pozwolił mu obcować z pismami Jana od Krzyża, Teresy z Avila, Alvereza de Paz, Alfonsa Rodrigueza.

Sztuka wychowuje, wychowanie jest sztuką

Byłoby błędem sądzić, że neapolitańscy rodzice, zarzucając Alfonsa od dzieciństwa książkami, chcieli z niego uczynić zasuszonego mola książkowego. Byli typowymi Włochami i kochali sztukę. Don Giuseppe miał namiętny stosunek do muzyki i równie uczuciowy do sztuk plastycznych. Wykonywał kopie obrazów olejnych słynnego malarza Francesco Solimeny, później przerzucił się na miniatury; nazywano go nawet Virtuozo. Dla Alfonsa nie zabrakło nauczycieli rysunku, malarstwa i architektury; malarstwa uczył go Solimena. Ze szkoły tego mistrza wychodzili najsłynniejsi architekci, rzeźbiarze i mistrzowie pędzla XVIII wieku. Alfons przez cale życie zachował przyjaźń z kolegami z tej szkoły, słynnymi malarzami Paolem de Maio

eprasa.pl 475b32102c

i Franceskiem de Mura. Przyszły święty znał się doskonale na malarstwie sakralnym, potrafił dobrze odróżnić kicz od dzieła sztuki. Jako sędziwy biskup malował obrazki Jezusa i Maryi i sporządzał miedzioryty, by je dalej rozpowszechniać. Swoich prac nie podpisywał – podobnie jak wielu kompozycji muzycznych, które wyszły spod jego ręki. Wiele świętych obrazków pędzla tego doktora Kościoła rozeszło się pomiędzy ludem Neapolu.

Muzyce oddawał się z większym zapałem niż malarstwu. U progu XVIII wieku „muzyka była triumfem Neapolu". Miasto wyróżniało się na tle rozśpiewanych i umuzykalnionych Włoch. W wieku dwunastu lat Alfons grał już znakomicie na klawesynie. Ojciec, który posiadał wysoką kulturę muzyczną, chcąc, by syn ćwiczył bez grymasów, po prostu zamykał go na klucz wraz z nauczycielem gry i wychodził z domu. Jako student uniwersytetu Alfons uczył się harmonii i kompozycji. Przez trzy lata miejscowe konserwatorium przysyłało mu swego kapelmistrza Gaetana Greco, który wykształcił Scarlattiego, Durante, Pergolesiego. Alfons Liguori zapisał się na trwałe w historii muzyki włoskiej. Najsłynniejsza włoska kolęda „Zstąpiłeś z gwiazd dalekich", o której Giuseppe Verdi powiedział, że „bez niej nie ma we Włoszech Bożego Narodzenia", jest jego autorstwa. Do dziś jego muzyka jest wykonywana we Włoszech na koncertach, rozchodzi się na płytach, bywa wykorzystywana jako podkład muzyczny filmów, słyszy się ją w radiu.

Przyjaciel domu

Tym, co najcenniejszego wyniósł św. Alfons z lat swojego dzieciństwa i młodości, nie było wbrew pozorom znakomite wykształcenie pod kierunkiem najlepszych mistrzów. Była to atmosfera rodzinnego domu. Prowadzone w nim rozmowy, jego zwyczaje, tradycje, wspólne modlitwy, zapraszani goście. Jednym z nich był jezuita Francesco de Geronimo, przyszły święty, opiekun galerników. Jako młody zakonnik marzył o misjach w Indiach i Japonii. Zabiegał o zgodę na wyjazd, nie zniechęcał się trudnościami. „Twoją Japonią będzie Neapol!" – usłyszał od przełożonych. I tak trafił na publiczne place i do zaułków miasta, gdzie głosił kazania pod gołym niebem. „Francesco spotyka tam lazzaronich (bezdomnych), prostytutki oraz – pewnego dnia 1677 roku – galerników. Natychmiast stał się domownikiem basenów portowych, a powoli przyjacielem galerników i niewolników. Ludzie ci przykuci do swoich ław, nie są żołnierzami, jedynie »robactwem«, a dla strażników nagimi plecami – żółtymi, brązowymi, czarnymi – ociekającymi potem i przeznaczonymi do razów zadawanych kijami lub biczem. Ci »potępieni« mieli dla niego ludzkie oblicza oraz imiona, stali się jego braćmi, nawet dziećmi. Galernicy witają go zawsze okrzykiem radości. Naczelny kapitan galer wystarał się o oficjalną nominację tego niezwykłego człowieka na kapelana wioślarzy wszystkich galer. Okręt admiralski La Capitana, gdzie oficerem jest młody Giuseppe Liguori, stał się jego główną kwaterą, a galernicy parafianami".

Przyjaźń między nim a rodziną Liguori trwała od wielu lat. Geronimo przybył w trzy dni po narodzeniu Alfonsa, by podczas przyjęcia złożyć gratulacje rodzicom. Gdy wziął maleństwo na ręce, zamyślił się głęboko i po błogosławieństwie rzekł do matki: „To dziecko nie umrze przed dojściem do dziewięćdziesiątki. Będzie biskupem i zdziała wielkie rzeczy dla Bożej chwały".

Lojalni rycerze Boga

Donna Anna nie była typową włoską arystokratką. Wbrew zwyczajom swojej sfery nie oddała małego Alfonsa opiekunkom, zajęła się osobiście jego wychowaniem – przede wszystkim religijnym; podobnie uczyniła wobec następnych siedmiorga dzieci. Wiele wymagająca od siebie, zdyscyplinowana, stosująca praktyki pokutne, prowadziła zarazem wykwintny salon i zapraszała licznych gości. „Przez cały okres życia studenckiego, adwokatury, życia misjonarza i biskupa, aż do sędziwego wieku dziewięćdziesięciu lat, Alfons co dzień korzystał z małego zeszyciku, w którym matka zapisywała modlitwy, a które dziecko odmawiało rano i wieczór, odkąd nauczyło się liter". Jako starzec wspominał: „Całe dobro, jakie spełniłem w młodości i fakt, że nie uczyniłem niczego złego, zawdzięczam mojej matce".

Po chrześcijańsku starał się żyć także impulsywny i wybuchowy Don Giuseppe. Nieraz chorobliwie ambitny, widzący wspaniałą przyszłość syna w karierze adwokata i nieszczędzący wysiłku, by była to kariera błyskotliwa. W stosunkach z podwładnymi i ze służbą tak trudny, iż mówiono o nim, że „łatwiej mu było atakować galery tureckie niż opanować złość i dumę". Nie ustawał w wysiłkach, by jego syn otrzymał najlepszą posadę w sądzie królewskim, a za żonę najlepszą partię w królestwie. Pozostając jednak pod urokiem i wpływem Francesca de Geronimo, co roku odprawiał rekolekcje zamknięte u jezuitów. Tę praktykę przekazał synowi. Rekolekcje w marcu 1722 roku, które zadecydowały o drodze życiowej Alfonsa, ojciec i syn odbyli razem.

eprasa.pl 475b32102c

Dar twój będzie próżny

„Święty Alfons łatwo mógł stać się cudownym dzieckiem. W miarę jak wyrastał z dzieciństwa towarzyszyła mu atmosfera wyszukanych pochlebstw i szmer zachwytu. Wychowanie domowe stało się jednak dla niego szkołą charakteru. Jego późniejsza misja wymagała niezwykłego męstwa... Rzucony w burzliwy wir życia arystokracji, świadek pędu do zaszczytów i powszechnego bluffu, Alfons siedział jakby w pierwszej loży, by stwierdzić, że urok marności przesłania dobro (Mdr 4,12)". Giuseppe Ligurio długo nie przestawał podsuwać mu „najlepszych partii". Na balach w pałacach arystokracji wpatrywały się w niego neapolitańskie piękności. Salony, teatr, polowania miały dużo uroku. Pod koniec życia Alfons wyznał, że był to moment, gdy o mało nie stracił duszy i Boga.

„Niełatwo zerwać ze świetnym towarzystwem, pójść wbrew woli ojca, dyskutować ząb za ząb z Kościołem i państwem, a przede wszystkim walczyć z samym sobą. Alfons miał charakter wybuchowy i autorytatywny. Ale przezwyciężył się dzięki postom, umartwieniom, pracy, ograniczaniu snu, tak że widziano go najczęściej z obliczem anielskim... łagodnego, wesołego, życzliwego". Jako szesnastolatek został doktorem obojga praw i otrzymał togę adwokata – zdecydowanie za dużą w stosunku do jego wzrostu i postury. Kiedy był już zakonnikiem, biskupem i przypominano jego sukcesy z młodości, czego nie znosił, mógł więc rzucić z uśmiechem: „No tak, panowie, otulono mnie w wielką pelerynę i zaplątały mi się nogi". Wszyscy się roześmieli i zmieniono temat. „Świecie, ofiaruj mi wszystko, dar twój będzie próżny" – podsumował Alfons swoją świecką młodość. A przecież zaraz po studiach naprawdę „zrobił karierę". Przez osiem lat nie przegrał ani jednego procesu. Zasiadał w najwyższym trybunale królestwa Neapolu i radzie ministrów. Wygrywał sprawy z najbardziej poważanymi i ustosunkowanymi przeciwnikami. Był pracowity i uczciwy, gdy tak łatwo było oszukiwać. Nie znosił intryg, odrzucał sprawy dwuznaczne moralnie. Jego mowy obrończe wzruszały i porywały wszystkich, choć jego środowisko zawodowe dalekie było od ideału. Po latach pytano, czy Alfons „został świętym, ponieważ był adwokatem, czy też dlatego, że porzucił sądy?".

W Neapolu działało energicznie bractwo zajmujące się zbieraniem funduszy na wykup niewolników. Były to czasy, gdy „wielu chrześcijan uprowadzonych z wybrzeża lub z morza, pozbawionych wolności, jęczało w krajach islamu. Istniało nadal niebezpieczeństwo barbarzyńskich napadów na marynarzy i ludność nadbrzeżną, zwłaszcza na wyspach zatoki. Neapolitańczycy... składali ogromne sumy dla wykupu swych braci pozbawionych wolności i zagrożonych w wierze". Bractwo miało swój kościół i salę zebrań pod patronatem Madonny della Mercede. Jego opiekunem był Francesco de Geronimo. Znając dobrze muzułmańskich galerników, rozumiał nieszczęście chrześcijan zniewolonych w Afryce Północnej. Jego zapał udzielił się rodzinie Liguorich, kościół Santa Maria della Mercede był o chwilę drogi od ich pałacu. Alfons w dzieciństwie polubił to sanktuarium. Gdy jako biskup przybywał do Neapolu, zawsze odwiedzał Madonnę od Wykupu. Nosił przy sobie stale jej wizerunek. To właśnie tam, 29 sierpnia 1723 roku, przed ołtarzem Matki Bożej odpiął swoją szpadę i złożył u Jej stóp. Wraz z nią odrzucił przywileje swojego stanu.

Jeszcze jako dziewiętnastolatek i słynny już adwokat ofiarował swą bezinteresowną posługę najbiedniejszym chorym w szpitalu Santa Maria del Popolo zwanym „szpitalem nieuleczalnych". Bywał tam kilka razy w tygodniu: opatrywał chorym rany, przygotowywał leki, zmieniał pościel, pokrzepiał rozmową. Zetknięcie się tego „nieprzeciętnie zdolnego intelektualisty, człowieka wyższych sfer z biedą ludzką, z dramatem ludzi odrzuconych" było czymś więcej niż uniwersytetem.

Ucieczka z wielkiego świata

Z Neapolu, owego królestwa wspaniałej architektury, czarującej muzyki i eleganckiego towarzystwa, ten miłośnik opery i wytrawny szermierz w intelektualnych pojedynkach z profesorami prawa i uczonymi uciekł pewnego dnia na ośle. Wcześniej, po długim, dramatycznym, wyniszczającym sporze z ojcem, który stanowczo sprzeciwiał się jego wyborowi życia zakonnego (szczęśliwie zażegnanym podczas rekolekcji), Alfons rozpoczął studia teologiczne i przywdział sutannę. Po kilku latach został misjonarzem najbiedniejszej, całkowicie zaniedbanej religijnie ludności odległych górskich wiosek. Wybrał skrajne ubóstwo i wszelkie możliwe niewygody. Powrócił do Neapolu po latach, w obszarpanej sutannie, by bronić przed władzami swojego dzieła apostolskiego.

W poświęconych Maryi pismach wysławiał Ją jako Niepokalanie Poczętą – osiemdziesiąt lat przed ogłoszeniem przez Piusa IX dogmatu o Nie-

eprasa.pl 475b32102c

pokalanym Poczęciu – a także jako Pośredniczkę Wszelkich Łask i Współodkupicielkę. Ta prawda o Maryi wciąż czeka, by została uroczyście przez Kościół ogłoszona. Założyciel redemptorystów żył nią prawie trzy wieki temu. W tej dziedzinie się nie mylił. Nie pomylił się także, udowadniając w jednej ze swych rozpraw nieomylność papieża, wtedy gdy wypowiada się on *ex cathedra* w sprawach wiary i moralności; tę prawdę zdefiniowali w postaci dogmatu sto lat później Pius IX i Sobór Watykański I.

▶ Jakby w jakimś publicznym szpitalu

„Bóg dał nam Maryję – pisał biskup de Liguori – aby w Niej, jakby w jakimś publicznym szpitalu, mogli zostać przyjęci wszyscy chorzy, pozbawieni wszystkich środków utrzymania. Otóż pytam teraz, któż przede wszystkim ma prawo być przyjęty do szpitala przeznaczonego dla ubogich? Czyż nie najubożsi i nie najbardziej chorzy? Dlatego im kto biedniejszy, bardziej ogołocony z zasług, więcej cierpiący na duszy, tj. dręczony grzechami, tym większe ma prawo wołać do Maryi: Pani, Ty jesteś schronieniem biednych i chorych, więc mnie nie odtrącaj, a ponieważ jestem biedniejszy od innych i bardziej chory, dlatego tym większe mam prawo, żebyś mnie przyjęła... O Maryjo, prócz Ciebie żadnego innego schronienia znaleźć nie możemy [...] Wystarczy, aby się ktoś do Niej zwrócił; jeżeli już ktoś wejdzie do tego miasta, nie potrzebuje nawet prosić ani cokolwiek mówić, aby być ocalonym".

Ostatnia jego praca, niewielka książeczka „Wierność poddanych" powstała w 1777 roku. „Na dwanaście lat przed rewolucją francuską zwaną »wielką« półślepiec z Nocera [Alfons tracił wzrok, jako biskup miał siedzibę w Nocera – przyp. red.] widzi już chwiejące się trony i ołtarze. Widzi monarchów burzących Kościół i wiarę, a zarazem podcinających gałąź, na której siedzą. Kto się nie boi Boga, nie boi się też i państwa" – pisze jego biograf. Ten traktat był krzykiem ostrzegawczym sędziwego biskupa. Zarazem św. Alfons powtarza tu tezy Pawła Włodkowica: „Nie uchodzi używać siły, aby doprowadzić poddanych do przyjęcia prawdziwej religii... Bóg nie zmusza nikogo do przyjścia do Niego. Chce być czczony sercem wolnym". Książeczkę wydaną w języku francuskim dostarczono wszystkim dworom Europy.

Arystokrata, prawnik, filozof i artysta. Najświetniejsze domy Neapolu chciały go mieć jako gościa i przyjaciela. Mógł błyszczeć w wielkim świecie, stał się zakonnikiem, założycielem Zgromadzenia Najświętszego Odkupiciela i biskupem. Zdobył wielu ludzi dla Boga. I bardzo wiele wycierpiał. Jako utalentowany pisarz religijny (napisał kilkadziesiąt książek, które do dziś cieszą się wielką popularnością) był nieprzejednany w ściganiu fałszerstw i demaskowaniu kłamliwych teorii jak te, które wyszły spod pióra Woltera; reagował błyskawicznie i ciął ostro. Wiele kart „Teologii moralnej" (która doczekała się kilkudziesięciu wydań) jest odpowiedzią, precyzyjną, dogłębną, bezkompromisową, na jego szydercze, demagogiczne, uwodzicielskie traktaty. Ale nie ustawiał go sobie jako wroga i nie przestawał modlić się o jego nawrócenie. W liście do Woltera, wysłanym tuż przed jego śmiercią, pisał: „Serce mnie bolało, nawet łzy wylewałem widząc, że Pan tak źle używa rzadkich talentów, jakimi Bóg Pana obdarzył. Wielokrotnie, mimo głębokiego wzburzenia, zwracałem się z gorącymi prośbami do Boga, aby On, Ojciec miłosierdzia sprawił, by Pan odwołał swoje błędy i by pociągnął Pana do swej miłości".

Płakał naprawdę, widząc, także w Kościele, że Bóg jest głoszony bez miłości, że kapłani „zamiast mówić o Tobie [Boże], mówią o samych sobie, toteż świat pełen jest kaznodziejów, a dusze nie przestają wypełniać piekła". Całe swoje życie zakonne, posługę biskupią i apostolstwo piórem oraz niebywały ból duszy i ciała, zwłaszcza gdy był przykuty do fotela przez kilkanaście ostatnich lat życia i zgięty przez artretyzm, gdy zgromadzenie zakonne, które założył, zostało mu „odebrane" i zdawało się rozpadać (wskutek pewnej prawniczej pomyłki), ofiarował za nawrócenie grzeszników. A co to naprawdę znaczy ofiarować się za nich, wiedział ten święty doktor Kościoła równie chyba dokładnie jak jego mistrz, mistyk i poeta – św. Filip Neri.

„Mówią, że pelikan kiedy jest głodny, wyławia z morza muszle i połyka je, choć są twarde jak kamienie, w całości, ostrygę razem z pancerzem, i praży w żołądku, aż rozgrzane otwierają się twarde muszle, i wyrzuca je z siebie, żywiąc się samą ostrygą, jeszcze przed chwilą zamkniętą w twardym pancerzu. Tak i wy wszystkich tych twardych i upartych grzeszników weźcie do serca i z miłością wołajcie za nimi do Boga, pokutujcie na ich intencję [...] a Bóg wzbudzi w nich skruchę i otworzą się na światło łaski, a wasze dusze rozpłyną się w słodkich łzach, na myśl o nagrodzie, jaką w niebie otrzymacie od Boga i od aniołów" (św. Filip Neri, list z 1585 roku). ■

_____

Cytaty za: Marcin Listwon CSRS, „Św. Alfons Maria Liguri (1696–1787)", Kraków 1998; Theodule Rey-Mermet, „Alfons Liguori, święty wieku oświecenia", Warszawa 1987; Antonio Sicari, „Nowe żywoty świętych", Warszawa 1999.

eprasa.pl 475b32102c

eprasa.pl 475b321026

Grzegorz Wszołek

GORTAT TEAM

Niemal do okresu pełnoletności nie było jasne, że zostanie profesjonalnym koszykarzem. O karierze w Stanach Zjednoczonych i wielkich pieniądzach – tym bardziej. Samozaparciem i tytaniczną pracą Marcin Gortat podbił świat. A co jeszcze ważniejsze, dzieli się profitami swojej kariery z najbardziej potrzebującymi.

FOT. ANNA JACH/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 475b32102c

O najlepszym polskim koszykarzu powstanie z całą pewnością w przyszłości film. Miał zostać piłkarzem albo lekkoatletą. Wiadomo było od dzieciństwa, że Marcin Gortat podtrzyma tradycje rodzinne i będzie uprawiał zawodowo sport. Ojciec, Janusz, zdobywał brązowe medale w boksie w wadze półciężkiej na igrzyskach olimpijskich w Monachium i Montrealu. Mama, Alicja, z powodzeniem grała w siatkówkę, zdobywając mistrzostwo Polski kobiet. A syn odnosił sukcesy w innych dyscyplinach niż koszykówka. Mistrzostwo Polski w skoku wzwyż pod koniec szkoły podstawowej, powołanie do juniorskiej reprezentacji kraju, wreszcie piłkarskie treningi w ŁKS-ie Łódź. Gortat musiał coś wybrać. Jego warunki fizyczne, wyróżniające się spośród rówieśników siła i wzrost, mogłyby paradoksalnie utrudnić karierę piłkarską. Chyba że przyszły koszykarz zostałby obrońcą lub bramkarzem, o czym marzył w wieku szkolnym. Ostatnim piłkarzem w ataku, który zrobił zawrotną karierę i przypominał posturą Gortata, był Jan Koller z Borussi Dortmund. Czeski atakujący był o 10 cm niższy (2 metry i 2 cm), doskonale przepychał się w polu karnym i zdobywał gole strzałami głową. Gortat wybrał jednak koszykówkę.

▶ Przepustka do gry w NBA

Mało kto dawał mu szansę na zrobienie zawrotnej kariery i z jednej strony trudno się dziwić – zaczął trenować na poważnie tę dyscyplinę dopiero w wieku 18 lat! – Byłem ponoć dwa razy większy od pozostałych dzieci – wspominał Gortat. W szkole często naśmiewano się z jego wzrostu, nazywano go pająkiem. Ostatnio przyznał, że gdyby mógł, dołożyłby sobie kolejne 10 cm wzrostu – a mierzy przecież 2 metry i 12 centymetrów.

– Któregoś dnia nauczyciel wychowania fizycznego w technikum powiedział, że marnuję się w piłce nożnej. Zasugerował: przejdziesz na koszykówkę, to pomogę ci również w szkole, a nie da się ukryć, orłem nie byłem. Pomyślałem, dlaczego nie? Trenerowi od piłki powiedziałem, że rezygnuję. Na to on, że w wieku 18 lat jest za późno na zmianę dyscypliny, nic już nie osiągnę. Odpowiedziałem, że jak mi w koszykówce nie wyjdzie, to wrócę – opowiadał Gortat w rozmowie z „Newsweekiem". Komu udaje się wybić, gdy zaczyna przygodę z koszykówką, wchodząc w wiek pełnoletni?

Koszykarz już pół roku po rozpoczęciu profesjonalnej kariery trafił do reprezentacji Polski. Dobre występy w ŁKS Łódź utorowały mu drogę do sukcesów. Gortat trafił do niemieckiej Bundesligi, gdzie szlifował talent w Rhein Energie. Nie wykręcił znakomitych statystyk, łącznie w pierwszym sezonie spędził na parkiecie ponad godzinę. W 2003 roku nikt, chyba poza Gortatem, nie mógł się spodziewać, że dryblas z łysiną wkrótce trafi do najlepszej ligi świata. Marzenie zawodnika ziściło się w 2005 roku. Skauci z NBA zauważyli go już po pierwszym sezonie gry w Niemczech, podczas obozu koszykarskiego w Treviso. Podczas draftu został wybrany z dalekim numerem, ale nie miało to dla nikogo znaczenia, a tym bardziej dla Gortata. Trzy lata po rozpoczęciu poważnej gry w kosza, trzeci Polak w historii dostał przepustkę do gry w NBA. Najbardziej renomowanej, oglądanej i „kasiastej" ligi świata. Gortata wypatrzył klub Phoenix Suns, który od razu przetransferował go do Orlando Magic. I tu historia się powtarza – Gortat nie mógł liczyć od razu na częste granie. Musiał jeszcze przez trzy lata udowadniać swoje w Bundeslidze w barwach Rhein Energie i Anaheim Arsenal. Koszykarz podbił niemieckie parkiety i utorował sobie drogę na dobre do gry w NBA. Był trzecim Polakiem za oceanem w najlepszej lidze świata – po Cezarym Trybańskim i Macieju Lampe. Z papierami na większą karierę, bo w końcu coś na niemieckich parkietach pokazał.

▶ Samokrytycznym okiem

Dalszy rozwój Gortata był etapowy – wyrywał minuty w Orlando Magic, jako pierwszy rodak w historii zagrał najpierw w podstawowej piątce, a później w wielkim finale NBA. Jego drużyna poniosła porażkę w 2009 roku z Los Angeles Lakers. Gortat podpisał pięcioletni kontrakt, który opiewał na 34 mln dolarów! Chociaż jeszcze nic wielkiego w dorosłej karierze nie wygrał, to nazwisko naszego koszykarza obiegło świat. W Polsce na każdym zawodniku miliony, jakie zagwarantował sobie ponaddwumetrowy wieżowiec, musiały robić ogromne wrażenie. 2010 rok to wymiana Gortata z Orlando do Phoenix Suns. Doskonała gra w obronie i w dodatku efektywne wsparcie w ataku przyniosły ogromną popularność Gortata w NBA. Do tego stopnia, że po dwóch latach gry w Phoenix trafił na listę najlepszych koszykarzy NBA – NBA All Stars. Na pozycji środkowego zajął piąte miejsce w głosowaniu w konferencji Zachodniej. Sezon 2013/2014 upłynął pod znakiem transferu do Washington Wizards. Gortat otrzymał łącznie przez pięć sezonów gry aż 60 mln dolarów. W czerwcu 2018 roku zamienił Waszyngton na Los Angeles Clippers. Do „Lob City" trafił po kiepskim sezonie 2017/2018. W debiucie Gortat zdobył 12 punktów i zanotował dziewięć zbiórek. Całkiem nieźle, szkoda tylko, że koszykarzowi dokucza ból pleców, przez co nie może ustabilizować formy.

Gortat na tle wielu sportowców wyróżnia się jedną ważną cechą. To umiejętność poddania swojej gry autokrytyce. – Niestety, początek sezonu miałem katastrofalny. Na parkiecie grałem bez oczu i bez głowy.

eprasa.pl 475b32102c

Byłem zupełnie zagubiony w akcji. Na szczęście to się zmieniło. Teraz gram po 15–20 minut, a mimo to ocieram się o double-double niemal w każdym spotkaniu – przyznał „Przeglądowi Sportowemu" po debiucie w Clippers. Często słyszymy nie tylko z ust koszykarzy, że kiepska gra wynika z braku koncentracji, intensywności, czyli wina leży wszędzie, tylko nie w samym zawodniku. Gortat potrafi przyznać się do słabszej formy wtedy, gdy rzeczywiście zawodzi.

Z myślą o innych

Oprócz fantastycznej postawy sportowej ważne jest, jak światowej sławy sportowiec zarządza swoim majątkiem. Gortata można nazwać filantropem. Jasne, każdy z jego fortuną mógłby powiedzieć: „gdybym zarabiał kilka milionów dolarów rocznie, to nie byłoby głodnych dzieci" albo „każdy szpital miałby specjalistyczną aparaturę". Deklaracje jednak swoje, a życie często weryfikuje postawy. I tu Gortat popisuje się może jeszcze bardziej efektownie niż na parkiecie. Przykład? Koszykarz wspomaga weteranów wojennych. Założył fundację MG13 „Mierz wysoko", która organizuje mecze między celebrytami a żołnierzami Wojska Polskiego. Dochód z biletów, jak co roku, Gortat przeznacza na wycieczki dla dzieci wojskowych, którzy przebywają na misjach zagranicznych. Gortat Camp to z kolei pomysł na wyszukiwanie perełek koszykarskich wśród dzieci. Obozy sportowe organizowane przez zawodnika NBA również odbywają się co roku. Nie ma w nich barier – Gortat zaprasza również na treningi niepełnosprawne dzieci. Zwycięzcy turniejów w kategorii najlepszy chłopiec i dziewczyna w nagrodę odwiedzają zawodnika w USA i otrzymują bilety na mecz NBA. Ale sportowiec wspiera też najsłabszych finansowo – nie miał problemu z przelaniem 125 tys. złotych w akcji #DobroWraca na leczenie ciężko chorego małego Antosia. Chłopiec od urodzenia zmagał się z chorobą kończyn i kręgosłupa, przez co nie mógł chodzić. Dzięki wpłacie Gortata możliwa była bardzo droga operacja w niemieckiej klinice. Koszykarz jest pomysłowy: zaprojektował buty, a dochód ze sprzedaży przeznaczył na rozwój młodych zawodników. Ostatnio rzucił na Twitterze proste hasło: „Jak znajdziesz obywatela USA, który zje kaszankę zasmażaną z jajkiem, to dam ci 1000 dolarów". Jeden z dziennikarzy namówił do zjedzenia takiego dania amerykańskiego weterana wojennego. Nagrali filmik i nakłonili Gortata, by wpłacił obiecane dolary na rzecz szczecińskiego hospicjum. Ostatecznie sportowiec przeznaczył... 20 tys. złotych! Gortat promuje również polską kulturę w USA. Na mecze NBA zaprasza Polonię, którą prosi o gorący doping. – Staram się pokazać Amerykanom kawałek naszej kultury, w jakim kraju dojrzewaliśmy, w jakim kraju się urodziliśmy – mówił o jednej z edycji „polskiej nocy", czyli imprezy organizowanej przez fundację Gortata. Dlatego też halę w Waszyngtonie wypełniali kibice w biało-czerwonych barwach. Pomysł Gortata chwalili nawet inni gwiazdorzy z Wizards.

– Mam wrażenie, że kilka lat temu Polacy byli traktowani głównie jak tania siła robocza. Dziś w oczach Amerykanów jesteśmy odbierani zdecydowanie inaczej. Polscy lekarze, specjaliści z branży IT, naukowcy, biznesmeni są bardzo doceniani. Ich wykształcenie, wiedza, pracowitość i sumienność imponują Amerykanom, a tym samym Polacy stają się cennym nabytkiem. Coraz więcej naszych rodaków zasiada na wysokich stanowiskach prestiżowych firm i staje się równoprawnymi partnerami biznesowymi – wspominał tygodnikowi „Wprost" po 13 latach pobytu w Stanach Zjednoczonych.

Prosto z mostu

Polak w NBA – jak to bywa w życiu celebrytów – musi zmagać się z krytyką w Sieci. Głównie za sprawą swoich wypowiedzi na temat polityki. A Gortat – chociaż zabiera rzadko głos – to potrafi mówić bez ogródek. Niedawno zestawił Andrzeja Dudę z Donaldem Trumpem, który ma na pieńku z czarnoskórymi zawodnikami amerykańskiej ligi koszykarskiej. – Wśród koszykarzy Trump jest postacią ośmieszoną, której właściwie nikt nie traktuje już z respektem. Tyle tylko, że sam sobie na to zapracował. Jak patrzę na niektóre zachowania Trumpa i wywoływane przez niego reakcje, to myślę, że w porównaniu z nim, z naszego prezydenta Andrzeja Dudy i prezentowanej przez niego klasy możemy być dumni. I sympatie polityczne nie mają w tym przypadku żadnego znaczenia – stwierdził jesienią 2017 roku. Deklaracja została skrytykowana szczególnie przez liberalnych komentatorów, tak jakby zapomnieli, że Gortat był na przykład w komitecie poparcia Bronisława Komorowskiego w 2015 roku. Koszykarzowi dostało się również za to, że angażuje się charytatywnie, stojąc ramię w ramię z ówczesnym szefem MON Antonim Macierewiczem. A przecież wcześniej, gdy rządziła koalicja PO-PSL, jego zasługi docenił minister Tomasz Siemoniak. – Jeśli ktoś ma z tym problem, to znaczy, że nic nie rozumie – odpowiadał krytykom Gortat. W 2012 roku kierownictwo MON odznaczyło zawodnika medalem „Za Zasługi dla Obronności Kraju". Oprócz tego wyróżnienia Gortat może pochwalić się Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2018), Medalem Świętego Brata Alberta i Orderem Uśmiechu (2017). Koszykarz jest honorowym obywatelem Łodzi. ■

eprasa.pl 475b32102c

Piotr Lisiewicz

Żywa torpeda na wózku

Mówiła prawie pół godziny. Nie powiedziała ani słowa na swoją obronę, nie zasłaniała się kalectwem... Przypomniała Niemcom Bismarcka, całą historię zaborów oraz Kulturkampfu. Na zakończenie swej mowy wypowiedziała następujące zdanie: „Dziś wy mnie sądzicie, ale was będzie sądził ktoś wyższy" – tak ostatnie słowo wygłoszone w Berlinie przez dziewczynę na wózku opisała jej koleżanka. Zaraz potem 22-letnia poetka Irena Bobowska, pseudonim „Wydra", wraz z przyjaciółmi została skazana na karę śmierci za wydawanie w Poznaniu podziemnego pisma „Pobudka". Wyrok wykonano.

fot. arch

Niemiecki sąd wyrok uzasadnił następująco: „Z jakimż fanatyzmem właśnie ci sprzysiężeni prowadzą przeciwko nam swoją skrytą walkę dowodzi ostatnie słowo Bobowskiej, w którym między innymi powiedziała: »że Polacy Niemcom nie potrzebują dotrzymywać wierności...« Takie fanatyczne nastawienie przeciw narodowi niemieckiemu może być skutecznie zwalczane tylko drogą zniszczenia, a więc poprzez karę śmierci".

▶ „Bo ja się uczę największej sztuki życia"

Była zaledwie o kilka miesięcy starsza od Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i też miała niemały poetycki talent. Proste słowa z jednego z jej wierszy, napisane w obozie koncentracyjnym w poznańskim Forcie VII, powtarzane były potem jak modlitwa przez jej rówieśników w niemieckich oraz sowieckich więzieniach. Stały się wręcz głosem pokolenia:

Bo ja się uczę największej sztuki życia:
Uśmiechać się zawsze i wszędzie
I bez rozpaczy znosić bóle,
I nie żałować tego, co przeszło,
I nie bać się tego, co będzie!

Poznałam smak głodu
I bezsennych nocy (to było dawno),
I wiem, jak kłuje zimno,
Gdy w kłębek chciałbyś skulony
Uchronić się od chłodu.
I wiem, co znaczy lać łzy niemocy
W niejeden dzień jasny,
Niejedną noc ciemną.

I nauczyłam się popędzać myślami
Czas, co bezlitośnie lubi się dłużyć,
I wiem, jak ciężko trzeba walczyć z sobą,
Aby nie upaść i nie dać się znużyć
Nie kończącą zda się drogą...

I dalej uczę się największej sztuki życia:
Uśmiechać się zawsze i wszędzie,
I bez rozpaczy znosić bóle,
I nie żałować tego, co przeszło,
I nie bać się tego, co będzie!

▶ Chcę być żywą torpedą

Było gorące lato 1939 roku, gdy 19-letnia autorka tych słów podjęła decyzję, że zostanie żywą torpedą. W wojnę jeszcze mało kto wierzył, ale krążyły po Polsce informacje o przygotowywaniu ochotników

eprasa.pl 475b32102c

– „żywych torped", które w razie zaistnienia takiej potrzeby miały być użyte do samobójczej walki z Niemcami.

Irena Bobowska decyzję podjęła w tajemnicy przed rodzicami, a gdy rzecz się wydała, uzasadniła to postanowienie swoją... niepełnosprawnością: „Nie mogę inaczej z moim kalectwem ojczyźnie się przysłużyć, zatem powzięłam wiadome już teraz rodzicom postanowienie, od którego nic już mnie nie odwiedzie".

Starannie wyselekcjonowani i przeszkoleni ochotnicy otrzymać mieli zadania umieszczenia materiałów wybuchowych w strategicznych dla wroga budynkach i miejscach. Za cenę własnego życia. Akcja otoczona była tajemnicą, do 31 sierpnia 1939 roku ochotników na żywe torpedy miało się zgłosić 4700, w tym około 150 kobiet. Ostatecznie dowódcy nie zdecydowali się na najbardziej drastyczne kroki, a do użycia żywych torped doszło w bardzo ograniczonym stopniu – tylko w czasie obrony Warszawy na Czerniakowie.

„Nowa" na szemranym jeżyckim skwerku

O nieprawdopodobnym bohaterstwie Ireny Bobowskiej było po 1989 roku cicho, aż... wtręt po trosze osobisty. Na rogu ulic Dąbrowskiego i Żeromskiego w Poznaniu jest mały, zaciemniony, wciśnięty między niskie bloki skwerek. Dwie krzyżujące się asfaltowe dróżki pełne wybrzuszeń, pęknięć i nierówności. I trzecia odnoga od ich skrzyżowania prowadząca wprost do sklepu „Społem", który nie zmienił nazwy od czasów komuny. W ogóle od czasów PRL zmieniło się tu niewiele...

Wybaczcie dywagację, ale na tym skwerku wydarzyło się niejedno i wiele postaci złą sławą owianych z utworów jeżyckiego rapera Peji bywało na owych starych ławkach, w cieniu płaczącej wierzby. Nie raz i nie dwa spędził tu człowiek wieczór. Niejedna wybuchła tu awantura. Był czas, gdy skwerek stał się miejscem zbiórek okolicznych kibiców przed meczami Lecha Poznań. Z kronikarskiego obowiązku odnotujmy, że opuszczano go ze śpiewem na ustach, który przenosił się do autobusu linii 91, jadącego na stadion...

W 2012 roku na tym właśnie skwerku, ku zaskoczeniu wszystkich, pojawiła się Nowa, wcześniej niewidywana na ławeczkach postać. Młoda dziewczyna z... innej epoki. Pojawiła się na ładnej tablicy po tym, jak w lokalnej prasie ukazały się listy z wyrzutami, że Poznań nie pamięta swojej bohaterki. A wygodnickim radnym łatwiej niż zmienić nazwę ulicy, było nadać anonimowemu skwerkowi nazwę „Ireny Bobowskiej"... Skwerkowi – z racji na naszą obecność – mało nobilitującemu według gustów snobistycznej klasy średniej, jednak nie całkiem przypadkowemu. Po drugiej stronie skrzyżowania jest bowiem VII LO w Poznaniu, będące kontynuacją żeńskiego Gimnazjum im. Dąbrówki, które kończyła Irena Bobowska i jej dwie siostry.

Cóż, to także... moje liceum, w którym też narozrabiało się niejedno, pozostając nierzadko w stanie wojny, zimnej lub gorącej, ze szkolnymi władzami... Jakby tego było mało, dziś do drużyny ZHR imienia Ireny Bobowskiej należy moja córeczka Janka. Jasne było więc, że kiedyś muszę o „Nowej" z niebezpiecznego jeżyckiego skwerku dowiedzieć się więcej, poznać ją lepiej...

Córka powstańca i... modystki

Starając się poznać jej historię, natrafiłem na inną starszą koleżankę z mojego liceum, Stefanię Tokarską-Kaszubową, która przed wojną siedziała w szkolnej ławce z młodszą siostrą Ireny – Heleną, a o Bobowskich mówiła: moja druga rodzina. Pani Stefania zmarła trzy lata temu, mając lat 88, więc zdążyła jeszcze przemówić w czasie uroczystości z 2012 roku na naszym szemranym jeżyckim skwerku. Stefania Tokarska-Kaszubowa zostawiła nam skarb – książkę „Nenia", opowieść o starszej siostrze swojej przyjaciółki, z której czerpię wiedzę na temat tytułowej bohaterki, w tym przytoczoną na początku relację.

Otóż „Nenia", czyli Irena Bobowska, urodziła się 3 września 1920 roku w Poznaniu jako córka Teodora Bobowskiego i Zofii z domu Kraszewskiej. Oboje jej rodzice urodzili się w czasach, gdy Wielkopolska była częścią zaboru pruskiego, w mieście, w którym przyszło jej zginąć, czyli w Berlinie. Ojciec Teodor uczył się najpierw w Szkole Obywatelskiej, a potem w Szkole Kupieckiej w Berlinie. Pracował w fabryce maszyn, następnie założył przedsiębiorstwo zajmujące się sprzedażą wyrobów tytoniowych. Groziło mu jednak wcielenie do niemieckiej armii i dlatego w 1910 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie w Chicago zajmował się sprzedażą nieruchomości. W 1914 roku nieopatrznie przyjechał do Berlina na pogrzeb kogoś z rodziny i... został natychmiast wcielony do niemieckiego 7. Pułku Grenadierów.

Po czterech latach służb w wojsku znalazł się w Poznaniu, gdzie poznał Zofię Kraszewską, której rodzina wróciła z Berlina do Poznania w 1911 roku. Zofia ukończyła Szkołę Realną w Poznaniu i zdała egzamin, który uprawniał ją do pracy w zawodzie modystki. Ich ślub odbył 20 lipca 1918 roku w kościele św. Małgorzaty na poznańskiej Śródce. Zamieszkali na poznańskim Starym Rynku, gdzie 23-letnia Zofia prowadziła sklep z kapeluszami i pracownię.

eprasa.pl 475b32102c

Ojciec Ireny, Teodor Bobowski, brał udział w przygotowaniu, a potem w samym powstaniu wielkopolskim. 11 listopada 1918 r. wstąpił do Straży Ludowej. Z racji na znajomość angielskiego i niemieckiego był tłumaczem podczas przyjazdu do Poznania Ignacego Paderewskiego, od którego zaczęło się powstanie. Za udział w walkach dostał m.in. Krzyż Walecznych i Krzyż Niepodległości. Z wojska odszedł jako podporucznik rezerwy 31 grudnia 1920 roku.

Wnoszona do klasy na rękach

Zofia i Teodor mieli pięcioro dzieci – kolejno Urszulę, Irenę, Teodora, Stanisława i Helenę. Gdy Irena miała dwa latka, zachorowała na nieuleczalną wówczas chorobę Heinego-Medina. Z leczeniem w polskich i zagranicznych klinikach wiązały się niemałe wydatki jej rodziny.

Była z pewnością niezwykłym dzieckiem. „Poruszająca się na wózku inwalidzkim, miała charakter wodzowski i dar przyciągania do siebie ludzi" – pisała Stefania Tokarska-Kaszubowa. To z jej inicjatywy choinki bożonarodzeniowe u Bobowskich miały nietypowy charakter. „W latach wyczynów dwóch wspaniałych lotników Żwirki i Wigury Nenia przystrajała drzewko samolotami i innymi lotniczym akcesoriami, innym razem ubierała choinkę w stylu afrykańskim, aby przypominała pomoc dla Abisynii" – czytamy w biografii bohaterki.

Przez pierwsze dwa lata szkolne uczyła się w domu, potem, jak wszystkie siostry Bobowskie, we wspomnianym Gimnazjum im. Dąbrówki. – Wesoła, pełna życia, pełna werwy. Jak podjeżdżała do gimnazjum Dąbrówki, to dziewczyny wnosiły ją do klasy na rękach – mówiła o niej w czasie odsłonięcia upamiętniającej ją tablicy jej koleżanka. Jako 11-letnie dziecko układała już wiersze, przejawiała też niezwykły talent do rysowania.

„Wydra" na Jeżycach mówi „Pobudka"

1 września 1939 roku całkowicie zmienił życie rodziny Bobowskich. Teodor walczył znów, tym razem w kampanii wrześniowej, a Zofia została sama z dziećmi. Niemcy skonfiskowali jej sklep i zapędzili do przymusowej pracy w prochowni. Podobnie pracować musiały jej dzieci, z wyjątkiem Ireny, która została zarejestrowana jako niezdatna do pracy z powodu kalectwa.

Poznań i Wielkopolska zostały uznane przez Niemców za tereny bezpowrotnie wcielone do Rzeszy Niemieckiej. Rozpoczęła się eksterminacja ludności, wywózki i niszczenie śladów polskości. Mimo terroru zaczął organizować się szeroki ruch oporu, w tym Poznańska Organizacja Zbrojna (POZ), założona przez porucznika Edmunda Horowskiego ps. „Widmos" i porucznika Lecha Nowackiego ps. „Orzeł".

Organem POZ było podziemne pismo „Pobudka", które wymyśliła Irena Bobowska. – Była całą duszą i sercem tej redakcji – mówiła o niej Stefania Tokarska-Kaszubowa. Pisała i redagowała artykuły, przepisywała je na maszynie i powielała. Została wkrótce zaprzysiężona przez Lecha Nowackiego i otrzymała pseudonim „Wydra". Redakcja mieściła się na poznańskich Jeżycach – w domu redaktora naczelnego pisma Romana Kwiatkowskiego przy Poznańskiej 27. Pismo z czasem zaczęło ukazywać się co tydzień. Demaskowało niemiecką propagandę. Gazety, radio, a nawet uliczne głośniki krzyczały ciągle o niemieckich sukcesach. „Pobudka" prostowała kłamstwa i starała się przedstawiać prawdziwą sytuację militarną Niemiec. Zgodnie z tytułem starała się też budzić Polaków. „Złą sytuację w Polsce polepszy Anglia i Francja, kiedy pokonają Niemców. Polska znów odniesie zwycięstwo i będzie jeszcze większa niż ustalono w traktacie wersalskim. Polska znów zmartwychwstanie" – pisała Nenia. Zajmowała się także kolportowaniem gazetki, uznając, że Niemcom nie przyjdzie na myśl, iż jej wózek inwalidzki może służyć do tego celu.

20 czerwca 1940 roku do mieszkania na Poznańskiej wpadli Niemcy. Aresztowali Irenę Bobowską, matkę Romana Stanisławę Kwiatkowską i Stanisława Dornę. 14-letnia siostra Ireny Helena zobaczyła przez przypadek moment aresztowania i pobiegła do domu, który został błyskawicznie oczyszczony ze wszystkich zakazanych publikacji. Niemcy wpadli tam kilka minut później, ale rewizję przeprowadzili po amatorsku. Nie znaleźli ani egzemplarzy „Pobudki" w kieszeni fartucha Urszuli Bobowskiej, ani maszyny do pisania przykrytej... szmatą pod biurkiem.

Następnego dnia aresztowano kolejnych współpracowników „Pobudki". Wszyscy przewiezieni zostali do siedziby gestapo w poznańskim Domu Żołnierza, a potem trafili do obozu w Forcie VII.

Przyślijcie papierosy, Słowackiego i Mickiewicza

Wszystko będzie dobrze,
Jasne przyjdą dni.
Słońce nam zaświeci,
Otworzą Fortu drzwi [...]
Wszystko będzie dobrze,
W rodzinny wrócim próg.
Hasłem naszym będzie:
Rodzina, kraj i Bóg.

eprasa.pl 475b32102c

– to fragment jednego z wierszy Ireny z tego czasu, przemyconego w grypsie do rodziny. W Forcie VII rodzinie wolno było raz w tygodniu zabierać brudną bieliznę do prania i przynosić czystą, a także przekazywać mocno ograniczone paczki żywnościowe. Bobowska szybko wykorzystała to do swoich celów. „Wydra" grypsy pisała ołówkiem na kawałeczkach papieru pakowego, kopert czy bibułki do zwijania papierosów. Umieszczała je w szwach czy zakładkach bielizny.

Stefania Tokarska-Kaszubowa zamieszcza w książce „Nenia" owe grypsy. Niezwykła to lektura. Mieszają się w nich tęsknota i obawa o rodzinę, by nie zamartwiała się jej sytuacją, oraz potrzeby duchowe i te najbardziej prozaiczne. Oto mały wybór tych tajnych wiadomości: „Dla Romka chleba dużo. Przemycać papierosy. Słowackiego i Mickiewicza"; „Tak bardzo mi chodzi o to, abyście mi przemycili papierosy, bo inaczej wybierają z paczek. Najlepiej przyślijcie większą ilość od razu w jeszcze jednej puszce w pierzu. Albo kupcie puder w puszce, taki dziecięcy i w tym papierosy wsadźcie. Jeśli w pierzu w poduszce przyślecie to proszę to wsadzić choćby P. Tadeusza Mickiewicza, odartego z okładki, jest takie małe wydanie"; „Śledztwo w naszej sprawie jeszcze nie skończone. Po skończeniu spodziewam się wywozu do innego więzienia, względnie Dachau, ale z tym można żyć"; „Kochani! Czy w ostatniej paczce nie było żadnej fotografii? Myślałam, że jeszcze Tatusia dostanę... Ciocia prosi o ciepłe rzeczy: skarpetki wełniane lub pończochy... Pozatem mam chyba wszystko co mi do szczęścia potrzeba, oprócz termosu, robi się coraz zimniej"; „W ogóle prowadzimy tu jak na więzienie luksusowe życie, gorzej o 100% mają chłopcy. Ciemne cele, wilgotne, traktowanie itd. Co do mnie, to mam wrażenie, że śledztwo ukończone, byłam fotografowana, odciski rąk itd. Nie wiem, czy tu zostanę"; „Poezje w wacie, powieść w odcinkach (proszę o jeszcze jedną) itd. otrzymałam... W paczce jest lalka dla Heluni. Ścięłam włosy (koleżanka na celi obcięła je bardzo artystycznie) i zrobiłam z części perukę dla niej"; „Nie macie pojęcia, jak pięknie odjeżdżali księża i inni. Śpiew »Kto się w opiekę«, kazanie jeden wygłosił: Wytrwamy do zwycięstwa, Sybir ojcowie przetrwali – śmiało wobec Niemców mówił. Nie martwcie się o nas, my nawet chcemy wyjechać"; „Zapowiedzcie Najmilszemu, że stanowczo mu zabraniam uczęszczać do domu i narażać całą rodzinę. Dom nasz jest pod obserwacją. Poza tym pozdrówcie Go".

Kary za krnąbrność

Pogodny charakter wierszy przemycanych z Fortu VII był zapewne nieco wymuszony, ale w porównaniu z piekłem, które miało spotkać Irenę we Wronkach, Fort VII faktycznie jawił się jako sielanka... „Tu przeszła mękę" – zapamiętała jedna ze współwięźniarek. „Niemcy nie chcieli jej wierzyć, że nie umie chodzić, i z tego powodu znęcali się nad nią. Była bita i głodzona. Zarekwirowano jej wózek inwalidzki i aparaty (szyny) utrzymujące sparaliżowane nogi, czołgała się więc na rękach, wlokąc nogi po brudnej, zimnej betonowej posadzce. Wiele upokorzeń i szykan spotkało ją ze strony strażniczek, które musiały usługiwać inwalidce. Stosowano również kary »za krnąbrność«, pozbawiając ją widzeń z rodziną, która przyjeżdżała do Wronek" – pisała Stefania Tokarska-Kaszubowa.

Jak zdołała to wszystko przetrwać? „W więzieniu we Wronkach Nenia stworzyła swój własny, wewnętrzny świat. Pisała wiersze pełne tęsknoty za wolnością i za domem rodzinnym. Jej poezja stanowi przejmujące świadectwo walki o zachowanie godności człowieka wbrew nieludzkim więziennym warunkom" – relacjonowała koleżanka. To we Wronkach powstał wiersz „Bo ja się uczę", ten najbardziej znany. Autorka książki „Nenia" próbowała prześledzić jego karierę. Jak się okazuje, z Wronek wyniosła go w bucie uwolniona wcześniej matka szefa „Pobudki", Romana Kwiatkowskiego. „Krążył on potem po Poznaniu w licznych odbitkach i dotarł nawet do więźniarek w Oświęcimiu, gdzie zawiozła go Wanda Serwańska, uwięziona w 1943 roku za pracę w konspiracji absolwentka Gimnazjum im. Dąbrówki i harcerka. Zaraz po wojnie właśnie ten wiersz przedostał się przez mury więzienia kobiecego w Fordonie, był znany i rozpowszechniany wśród więźniarek AK". A więc – mówiąc dzisiejszym językiem – od Auschwitz po Żołnierzy Wyklętych...

„Śni mi się w nocy nasze pianino"

We Wronkach powstał też dojrzały poetycko wiersz Ireny, wyrażający tęsknotę za rodziną i wolnością:

Ktoś po klawiszach palcami wodzi
O struny skrzypiec czyjaś ręka trąca
Jakaś melodia z dala nadchodzi
Chcę ją spamiętać, lecz tony się mącą.

Śni mi się w nocy nasze pianino –
Czarne i lśniące stoi pod ścianą
I na mnie czeka, gdy dni szare miną
Wrócę do niego – gdy wolną zostanę...

Na razie śnię tylko i rymy składam
Czasem – choć rzadko – łzy leję,
I bajki sobie opowiadam,

eprasa.pl 475b32102c

I do snów moich się śmieję.
Buduję przyszłość, promienną, jasną
Pokłady daję z dobroci,
I wtedy cela przestaje być ciasną,
Przez kraty słońce ją złoci.

A w słonecznej jasnej smudze
W blasku przedziwnych urojeń
Dusza się kąpie jak w strudze
I lżej oddycha serce moje.

Niewolnicy niosą lektykę przez Berlin

Z więzienia we Wronkach wyniesiono Irenę na noszach do transportu do więzienia Berlin-Spandau i szpitala więziennego w Berlinie-Moabicie, miejsca dobrze znanego polskim powstańcom. Poetki nie opuszczała literacka wyobraźnia, gdy opisywała w liście całkiem realne pojawienie się własnej osoby w niemieckiej stolicy: „Bajka to niby, niosło mnie w lektyce 4 niewolników, a obok kroczyła eskorta z najeżonymi bagnetami. Ogromnie wielkie ulice Berlina z podziwem spoglądały na mnie i mój pochód".

Gdy chodzi o jej traktowanie Moabit, to był raj w porównaniu z Wronkami. Tym bardziej starała się zachowywać pogodę ducha, gdy w Wigilię roku 1941 pisała:

Ja lubię sobie wyobrażać,
Że jestem z bajki taką dobrą wróżką
Przedziwne cuda mogę stwarzać
Mą czarodziejską różdżką.

I wtedy chodzę i sieję po świecie
Taki radosny, dźwięczny śmiech
Śmiech, który wszystko zło wymiecie,
Przed którym umknie wszelki grzech.

Jak się można domyślić, listy z Moabitu do domu były legalne. Pojawiają się w nich rysunki. A na nich rodzinny dom, matka grająca na pianinie i autoportret z twarzą zakrytą dłońmi. Nie mogła wiedzieć wówczas, że jej ojciec zginął w Katyniu... Ale rygor więzienny tkwił gdzie indziej. Musiała nauczyć się niemieckiego, bo tylko po niemiecku pisać wolno było listy do rodziny. Ale i sam niemiecki niczego nie gwarantował. Mama, urodzona w Berlinie, znając świetnie niemiecki, prosiła wiele razy o widzenie z córką, Naczelny Prokurator Rzeszy ani razu nie wyraził na to zgody.

W listach miłość i tęsknota łączą się z uwagami natury technicznej, dotyczącymi germańskiej przemocy: „A teraz moja ukochana Mamusiu mam jeszcze jedną prośbę: bądź tak dobra i przyślij mi przybory toaletowe. Musisz jednak na paczce napisać »Toilettenachen«". Z kolei niemiecki cenzor nie miał łatwo z oceną takiego oto listu: „kupiłam sobie blok rysunkowy i dużo rysuję – i stale jestem pogrążona w marzeniach i tęsknotach (rozmawiam z krasnalami i olbrzymami)".

Wiele mówi – oszukując niemiecką cenzurę – list do Romana Kwiatkowskiego, redaktora naczelnego „Pobudki": „Wiele marzę i wierz mi – są to piękne marzenia, ale to Ci opowiem, kiedy się znów zobaczymy. Na dziś to wystarczy". I co? Tylko głupi by nie zrozumiał, o czym mowa. Albo niemiecki urzędnik.

„Tak więc, mój termin został wyznaczony"

22 lipca 1942 roku przyszedł czas na list najtrudniejszy. We wstępie do niego jest mowa o starych bajkach i papierowych wycinankach. I jakby w naturalny, niewymuszony sposób pojawia się ta wiadomość: „Matuś, mam dziś właściwie trudną wiadomość do przekazania, ale sądzę, że będziesz dzielna. Tak więc, mój termin został wyznaczony na 12 VII 1942 i zostałam skazana na śmierć. Ty wiesz Matuś, że był taki czas, kiedy bałam się życia. Dzisiaj już nie wiem, co znaczy bać się; chciałabym żyć dla Ciebie i dla innych, ale będę umiała też umrzeć bez skargi i strachu. Mogłabym umierać z radością, gdybym wiedziała, że Ty nie będziesz się martwić... Jutro przyjdzie do mnie ksiądz z Komunią św., otrzymałam też różaniec... Poza tym mogę umierać z dumą, gdyż zachowałam mój honor i moją wiarę do końca... Tak więc Matuś, Tatuś i wszyscy moi Kochani – odwagi i spokoju".

Chyba najbardziej porywają za serce mądre słowa pisane do młodszej siostry Heleny, czyli „Bebi", którą Irena przez lata traktuje w listach jak druga mama, a nie starsza siostra: „Moja Bebi musi znaleźć w sobie otuchę. Celem naszego życia jest właściwe rozwijanie ukrytych w nas sił i mam nadzieję, że również ból, jaki odczuje ona z powodu mojej śmierci, dopomoże jej osiągnąć ten cel. Myśl zawsze, moja Maleńka, że cierpienia są najlepszą szkołą życia".

W ostatnim liście, wysłanym do domu wraz z paczką z rzeczami z celi, pojawiają się jeszcze słowa: „Żyłam i otrzymywałam więcej, niż mogłam sama dać – zatem dzięki, serdeczne dzięki.

Dostałam rozkaz, jestem gotowa do podróży
Bądźcie zdrowi, ukochani,
zostańcie z Bogiem".

Niech te słowa trafią dziś na Poznańską, na Stary Rynek i do bywalców skwerku Ireny Bobowskiej. Zakazy się skończyły, jesteśmy dziedzicami tej jeżyckiej tradycji, mamy do niej pełne prawo. ■

eprasa.pl 475b32102c

January Grzędziński (na fot. z lewej) był zbyt stary, by wtrącenie go do więzienia za buntowanie się przeciw PRL przeszło bez echa. Organa śledcze postanowiły więc poradzić sobie z nim w inny sposób. Na ich zlecenie prof. Helena Flatau-Kruszewska zbadała jego stan zdrowia. Stwierdziła, że ma lekkomyślny stosunek do życia, nie docenia pobłażliwości Polski Ludowej względem własnej osoby i powinno się go poddać obserwacji w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. – Lekkomyślnemu stosunkowi do życia zawdzięczam Virtuti Militari – podsumował diagnozę pisarz.

Magdalena Złotnicka
dziennikarka TVP3 Warszawa

Protezy dla Wenus i psychiatria polityczna

eprasa.pl 475b32102c

fot. NAC

Powyższy dialog wspominała Aniela Steinbergowa, a przytaczam go za Joanną Siedlecką, która Grzędzińskiemu poświęciła jeden z rozdziałów „Obławy". Poza tym rozdziałem, ponadto książką „O człowieku, który się nie zgadzał" Agnieszki Cieślikowej (która wykonała tytaniczną pracę, by odtworzyć losy Grzędzińskiego; z tej publikacji korzystałam, pisząc niniejszy tekst) i paroma rozproszonymi artykułami w prasie, o pisarzu nie ma praktycznie nic. Historia życia człowieka, którego koleje losu zostały wplecione we wszystkie najważniejsze momenty XX-wiecznej historii Polski, jest dziś zupełnie nieznana. Dlaczego? Wbrew pozorom nie tylko z tego powodu, że na zapomnienie skazali pisarza komuniści, nie dając mu tworzyć. Grzędziński przez całe życie mówił, co myślał, krytykował to, co uważał za szkodliwe dla Polski, w tym także poczynania ludzi, których powszechnie uważamy – zresztą w ogólnym rozrachunku słusznie – za wielkie postacie międzywojnia. Wiadomo jednak, że wielkich kontestatorów i tych, którzy walą prawdę w oczy, mało kto lubi.

Dzieci rewolucji najczęściej siedzą

Na świat przyszedł najprawdopodobniej 19 września 1890 roku w Lublinie. Zarówno rodzina matki, jak i ojca wywodziły się z Kresów. Jak podaje Cieślikowa, Józef Donat Mikołaj Grzędziński, ojciec Januarego, prawnik pracujący w carskim wymiarze sprawiedliwości, poślubił Bolesławę Eleonorę z rodziny Filipowiczów, pannę wykształconą, której ojciec był właścicielem drukarni w Warszawie. W Lublinie Grzędzińscy nie przebywali zbyt długo. Warto jednak odnotować opowieść z wczesnego dzieciństwa Januarego. W mieście pojawiły się wówczas przypadki cholery. Małemu Januaremu podczas jakiegoś spaceru rzuciła się krew z nosa. Przytomna matka na szczęście ocaliła go przed wściekłym tłumem, domagającym się izolacji chorych. Tak jak wówczas matka, tak pod koniec życia przed wrogim systemem broniła go młodsza siostra. Elenonora Grzędzińska, znana szerzej jako Nelly Strugowa, podobnie jak January urodziła się jeszcze w Lublinie, kolejne dzieci – Marian i Bolesław, już w Taszkiencie w Turkiestanie, dokąd Grzędziński senior został przeniesiony służbowo. Bolesław zmarł jeszcze w dzieciństwie.

Choć Taszkient stanowił konglomerat kulturowy, silne były tendencje rusyfikacyjne, stawiano na język rosyjski – wszystkie ogłoszenia, rozporządzenia, nazwy ulic i szyldów były właśnie w tym języku. W pamiętnikach Grzędziński wspominał, że w efekcie tubylcy czuli się jak przybysze z obcych krajów, nieznający miejscowego języka, co utrudniało asymilację. Mimo to również tutaj dało się odczuć prądy rewolucyjne, jakie

eprasa.pl 4c5b32102c

przyniosły wydarzenia z 1905 roku – na ulicach politykowano, dyskutowano, demonstrowano. Cieślikowa pisze, że w czasie jednej z takich demonstracji młody Grzędziński zarobił od kozaka nahajką. Wniosków jednak nie wyciągnął. Szybko zbratał się z redakcją „Russkij Turkiestan" i Michaiłem Władimirowiczem Morozowem, jednym z głównych bolszewickich agitatorów w Taszkiencie, zaangażował się także w wydawanie nielegalnego pisemka „Mołodoj Wiestnik", dał się namówić do działań mających na celu agitację stacjonującego w mieście batalionu. W końcu wpadł i znalazł się w carskim więzieniu. Bohaterski szesnastoletni rewolucjonista długo jednak nie posiedział – po kilku tygodniach zwolniono go za poręczeniem, miał odpowiadać z wolnej stopy. Rozumu go to nie nauczyło – zaangażował się w kolejne nielegalne pismo, tym razem w języku Sartów. Jak zaznacza biografka, ojca ostrzeżono, że syn będzie niedługo aresztowany. Matka zdecydowała się więc wywieźć go do Krakowa. Tam jako wolny słuchacz uczęszczał na wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim. Gdy sprawę o nielegalny druk i kolportaż umorzono, wrócił do Taszkientu, gdzie zdał maturę.

Tłusta paryżanka i samoloty

Chociaż chłopaka ewidentnie ciągnęło do działalności prasowej, ojciec uparł się, że musi mieć jakiś zawód zapewniający byt. Skończyło się na medycynie, i to w Paryżu. Współlokatorem Grzędzińskiego został Stanisław Limanowski, syn Bolesława. Właśnie z nim wpadł na genialny pomysł, by bezrękiej Wenus z Milo, wystawionej w Luwrze, dorobić protezy rąk, ostatecznie jednak nie zrealizowany. Inne wspomnienie Grzędzińskiego dotyczy studiów medycznych. Podczas obowiązkowych wizyt w prosektorium miał wątpliwą przyjemność zajmować się trupem tłustej kobiety. Właśnie przez jej nadwagę wycinanie z niej kolejnych organów wewnętrznych stanowiło drogę przez mękę. Ostatecznie porzucił jednak znienawidzone zwłoki na rzecz spraw bardziej wzniosłych. I to dosłownie – zafascynowany lotnictwem chciał zostać pilotem. Oczywiście rodzina wyraziła sprzeciw. Stanęło na rozwiązaniu połowicznym – Grzędziński ukończył École Supérieure d'Aéronautique et de Constructions Mécaniques, z tytułem inżyniera konstruktora.

Czynnie uczestniczył w życiu politycznym Paryża. W Genewie zwrócił na siebie uwagę Kazimierza Sosnkowskiego. Wkrótce ten odwiedził młodego Polaka w Paryżu. W efekcie Grzędziński został jedną z osób, które organizowały paryską sekcję Związku Walki Czynnej, później również Związku Strzeleckiego. Z początkiem wojny znalazł się w Krakowie. Jak pisze Cieślikowa, wraz z kolegą zameldował się u Józefa Piłsudskiego, prosząc o przydział lotniczy. Legiony samolotów nie miały, więc trafił do piechoty. Chciał przenieść się do kawalerii, w której przebywali starzy znajomi z Paryża, w tym Andrzej Strug i Bolesław Wieniawa-Długoszowski, ale udało mu się to dopiero, kiedy pod Słupnicą Królewską zdobył na kozaku konia. Wówczas trafił do ułanów, pod dowództwo Wieniawy. 6 grudnia 1914 roku pod Marcinkowicami został jednak ranny. „W pewnej chwili poczułem jak uderzenie łomem w prawą rękę. Krew z niej pociekła na szyję Zunia [takie imię otrzymał zdobyczny koń – przyp. M.Z.]. Zląkłem się, że Zuń jest ranny, ale nie – to była moja krew" – przytacza fragment materiałów pamiętnikarskich Grzędzińskiego Cieślikowa.

Wskutek rany pożegnał się z ułanami. Po operacji przeprowadzonej na Morawach i rekonwalescencji trafił do jednego z batalionów uzupełnień. Niedoszły lotnik znów był piechurem, członkiem IV Pułku Piechoty Legionów, tzw. Czwartaków. Opisy życia legionowego zamieszczał na łamach „Wiadomości Polskich". Ciężki cios na rodzinę Grzędzińskich spadł w lipcu 1916 roku. Wówczas to Marian, młodszy brat Nelly i Januarego, został w potyczce z Rosjanami ranny w oba kolana i ślad po nim zaginął.

Po wojnie wierny PPS-owi i Józefowi Piłsudskiemu został jednym z adiutantów Marszałka, pełnił tę funkcję krótko – od 13 listopada 1918 do 31 kwietnia roku następnego. Jak pisze Cieślikowa, „w tym okresie struktura była niezbyt rozbudowana i adiutanci współpracowali blisko z Piłsudskim. Grzędziński miał więc okazję służyć bezpośrednio u boku Komendanta". Co więc się stało, że służba trwała tak niedługo? Po prostu January chciał realizować swoją pasję – zostać lotnikiem. W tym celu dokształcał się – ukończył szkołę pilotów w Istres. Z Francji wrócił do Polski, gdzie służył najpierw w Ławicy pod Poznaniem, następnie zaś został dowódcą 3. Pułku Lotniczego w Poznaniu. W 1920 roku mianowano go oficerem do spraw lotniczych Głównego Inspektoratu Wojsk Technicznych przy Naczelnym Wodzu. Po wojnie polsko-bolszewickiej znalazł się w Ministerstwie Komunikacji, gdzie zajmował się organizowaniem komunikacyjnych linii lotniczych. O jego dorobku lotniczym można by pisać wiele, temat ten nadaje się na publikację w fachowym czasopiśmie. Należałoby jednak nadmienić, że Grzędziński pełnił również funkcję wiceprezesa Aeroklubu Rzeczypospolitej, a także był pomysłodawcą i organizatorem Ligi Obrony Powietrznej Państwa. Nie odpuszczał także swoich zamiłowań do pisania – redagował czasopismo lotnicze „Lot" (później pod nazwą „Lot Polski"). Osobnym tematem są konflikty związane z lotnictwem, w tym udział Grzędzińskiego w obaleniu szefa IV Departamentu Żeglugi Powietrznej Ministerstwa Spraw Wojskowych, Włodzimierza Ostoi-Zagórskiego. Dość

eprasa.pl 475b32102c

powiedzieć, że o sprawy związane z lotnictwem, podobnie jak o inne, które uważał za ważne, potrafił walczyć do upadłego.

Trzydniowy „minister" majowy

Grzędziński należał do tych, którzy stanęli po stronie Piłsudskiego w trakcie zamachu majowego. Wydarzenia 1926 roku opisał zresztą we wspomnieniach zatytułowanych „Maj 1926. Kartki z pamiętnika". Jak pisze Cieślikowa, odegrał w zamachu znaczącą, choć nieefektowną rolę. Otóż jego zadaniem było zapanowanie nad Ministerstwem Kolei. Do budynku dostał się bez większych problemów, w końcu przepracował w nim dwa lata. Wówczas z towarzyszącymi mu oficerami opanował to, co było w tej sytuacji najważniejsze – stację telegraficzną i linie telefoniczne. Dzięki nim mógł kontrolować przemieszczanie się wojsk z prowincji do stolicy. Chodziło o to, by umożliwiać podróż tym oddziałom, które popierały przewrót, a nie przepuszczać wrażych, nadal lojalnych wobec rządu. Sytuację dodatkowo ułatwiał strajk, który ogłosił Związek Zawodowy Kolejarzy.

Gdzie był w tym czasie ówczesny minister kolei Adam Chądzyński? Cieślikowa pisze, że sytuację usiłował kontrolować... telefonicznie z Belwederu. Grzędziński, odbierając jeden z telefonów, zwyczajnie go zdymisjonował, zaznaczając, że nie jest już ministrem i zabrania mu wydawania poleceń. Po czym przez trzy dni sam *de facto* zarządzał resortem, z pożytkiem dla piłsudczyków.

Po przewrocie trafił do piechoty. Być może jego odejście z lotnictwa można traktować jako degradację, niemniej Cieślikowa zauważa, że Grzędziński „należał do tych najwierniejszych, na których lojalność w wojsku Piłsudski mógł niezachwianie liczyć. Przydzielenie oddanego oficera do niepewnej jednostki mogło mieć na celu zapobieżenie opozycji, a nawet rozbicie antymarszałkowskich koterii w armii". Niezależnie od tego jakie były motywacje, Grzędziński trafił do 58. Pułku Piechoty w Poznaniu.

W 1928 roku w końcu się ożenił – jego wybranką została znacznie młodsza, w chwili ślubu 24-letnia Lidia Klotylda Natalia z książąt Giedroyciów Matuszyńska. Panna młoda była już rozwódką, a ślub odbył się w kościele ewangelicko-reformowanym. Chociaż małżeństwo nie potrwało długo, January pozostał z byłą żoną w przyjaźni. Mimo to w czasach Polski Ludowej fakt posiadania Giedroyciówny w rodzinie okazał się dla Grzędzińskiego poważnym obciążeniem.

Publicysta w mundurze

W 1930 roku dostał awans na stopień pułkownika. Rok wcześniej jego siostra Nelly uległa wypadkowi. Podczas rehabilitacji opiekował się nią pisarz i publicysta Andrzej Strug, od lat przyjaciel rodziny. Strug niedawno owdowiał, a skutki opieki nad Nelly były takie, że skończyło się na oświadczynach, oczywiście przyjętych. Ślub zaszczyciła swoją obecnością sama marszałkowa Aleksandra Piłsudska.

Tymczasem January służył jako dowódca 67. Pułku Piechoty w Brodnicy oraz 30. Pułku Strzelców Kaniowskich w Warszawie. Nie zaniedbywał działalności publicystycznej, podczas pobytu w Brodnicy współpracował z lokalną gazetą „Głos Pogranicza". Jednak na serio publicystyką zajął się po roku 1936, być może impulsem była sytuacja, jaka zapanowała po śmierci Józefa Piłsudskiego. Artykuły Grzędzińskiego ukazywały się w „Tygodniku Ilustrowanym" – w tym fragmenty wspomnień z maja 1926 roku. Coraz mniejsze było za to zainteresowanie Grzędzińskiego sprawami pułku. W 1937 roku na łamach „Głosu Powszechnego" zaczął publikować pod pseudonimem Krystyn Ostroga. Tematy jego artykułów dotyczyły przede wszystkim spraw związanych z wojną domową w Hiszpanii, wyraźnie widać, że autor sympatyzował z rządem republikańskim. O sprawach krajowych raczej nie pisał. Tymi zajął się dopiero, kiedy rozpoczęła się jego przygoda z „Czarno na białem". Cieślikowa zaznacza, że do wydawania tej gazety Grzędziński podchodził, mając „zaplecze raczej towarzyskie niż polityczne". Grupa znajomych, m.in. Mieczysław Mak-Piątkowski, stwierdziła, że sytuacja wewnętrzna w Polsce nie jest dobra, więc postanowili założyć pismo. Chociaż redaktorem odpowiedzialnym, czyli jak byśmy dziś powiedzieli: redaktorem naczelnym, został Leonard Życki-Małachowski, tajemnicą poliszynela było, że za linię pisma odpowiadał głównie Grzędziński. Jaka to była linia? Przede wszystkim w kontrze do polityki Obozu Zjednoczenia Narodowego i pułkownika Adama Koca, ale także w kontrze do działań endecji. Poszczególne numery były konfiskowane przez cenzurę, w związku z czym „Czarno na białem" ukazywało się nieregularnie i miało problemy finansowe.

Sytuacja skomplikowała się jeszcze w wakacje 1937 roku, kiedy to Grzędzińskiego przeniesiono do Dowództwa Okręgu Korpusu X w Przemyślu. Został tam dowódcą Obrony Przeciwlotniczej. Jeszcze przed wyjazdem został postawiony przed sądem Dowództwa Okręgu Korpusu I za publikowanie bez zgody przełożonych – część artykułów rzeczywiście podpisywał własnym nazwiskiem. Ostatecznie skończyło się na karze 28-dniowego aresztu domowego.

Zastanawiająca jest także linia Grzędzińskiego względem komunistów. Chociaż prowadził rozmowy o „Czarno na białem" na przykład z Wandą Wasilewską, to Cieślikowa zaznacza, że Grzędziński „miał indywidualne poglądy, które dają się określić ogólnie jako

eprasa.pl 475b32102c

republikańsko-demokratyczne; wysoce wątpliwe jest, aby zamierzał realizować program narzucony przez kogokolwiek – KPP, MOPR [Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom – przyp. M.Z.], Komintern czy jakąkolwiek inną organizację". Biografka pisarza dodaje, że po prostu w tym konkretnym momencie poglądy polskich komunistów i lewicowego Piłsudczyka były zbieżne, jeśli chodzi o stanowisko opozycyjne wobec polityki rządu.

Nie sposób ustalić, jak dalej potoczyłyby się losy Grzędzińskiego, gdyby nie przecięła ich wojna. A ta zastała go w Paryżu. Zaangażował się w organizację Polskich Sił Zbrojnych we Francji.

Komendant z Koczkodana

Camp de Coëtquidan swoją historią sięgał roku 1873, kiedy to powstał jako czasowy poligon wojskowy. Polacy zagościli tam 12 września 1939 roku, na mocy porozumienia, jakie kilka dni wcześniej zawarł francuski minister spraw zagranicznych i polski ambasador we Francji. Grzędziński był pierwszym dowódcą „Koczkodana", tak bowiem nazywali obóz stacjonujący tam żołnierze. Z funkcji zrezygnował 30 listopada, zastąpił go generał Jerzy Ferek-Błeszyński, kolejnym komendantem był generał Stanisław Maczek. W czerwcu 1944 roku, kiedy Grzędzińskiego dawno już nie było we Francji, obóz znalazł się pod władzą nazistów. Wyzwoliły go oddziały aliantów.

Wróćmy jednak do Grzędzińskiego i tego pierwszego okresu w historii obozu. Karol Zbyszewski w tekście „Tam powstało wojsko polskie na emigracji" („Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" 1990) wspominał, że świeżo mianowany komendant początkowo witał wszystkich przybyłych osobiście słowami „Czołem, Żołnierzu!". W warunkach obozowych nie opuściły Grzędzińskiego ciągoty pisarskie. Jeszcze nim został komendantem, zaświtał mu w głowie pomysł pisma dla Żołnierzy. W Koczkodanie, gdzie wśród przyszłych żołnierzy nie brakowało dziennikarzy, publicystów i wszelkiego twórczego elementu, idea szybko została wcielona w życie. „Meldowali się literaci i dziennikarze w Coëtquidan [...] płk. Grzędziński dobrze wiedział, że im kto natarczywiej domaga się walki – tym mniej się do niej nadaje" – wspominał Zbyszewski („Jak to było na początku", „Polska Walcząca" 1942, cyt. za Cieślikową). Początkowo komendant chciał, by pismo nosiło nazwę „Tygodnik Gromady Żołnierskiej", ostatecznie jednak krytyk literacki Tymon Terlecki wymyślił „Polskę Walczącą" i tak już zostało.

W Koczkodanie znaleźli się Polacy o rozmaitych poglądach i zapatrywaniach, w niepamięć poszły jednak dawne urazy i niesnaski. Widać to było w samej linii pisma. „Jesteśmy Polską Walczącą i Polską niepokonaną, Polską, która się nie poddaje. Idziemy do Ojczyzny naszej, od której dzielą nas dziś bory, lasy [...] Gdy idziesz na świętą rozprawę, nie waż się, bracie żołnierzu, zabierać ze sobą swe stare grzechy w tornistrze" – pisał we wstępnym artykule sam Grzędziński (cyt. za Cieślikową).

Staruszek wrogiem Polski Ludowej

W 1940 roku Grzędzińskiego wysłano z misją dyplomatyczną do Argentyny. Tam miał zająć się werbunkiem ochotników do polskiej armii. Misja była delikatna. Nie wiadomo, jak pisarz by sobie z nią poradził, nigdy nie dotarł na miejsce przeznaczenia. Statek, którym płynął, trafił do Dakaru, a Grzędziński znalazł się w Maroku, gdzie pozostał do roku 1957, rozpadło się także jego drugie małżeństwo, które nie przetrwało wojennych perturbacji. Podobno do kraju powrócił na imienny apel Polskiego Radia, jednak Cieślikowa zauważa, że akurat w Maroku ono raczej nie odbierało. Niezależnie od wszystkiego wrócił do Polski po październiku 1956 roku, po odwilży. Początkowo wydawało się, że Grzędziński odnajdzie się w nowej rzeczywistości. Pisał książki („Maroko – kraj kontrastów", „Pasterz z gór Atlasu", zbór reportaży „Algieria z daleka i bliska"), należał do Związku Literatów Polskich, Klubu Krzywego Koła, uczestniczył w różnych dyskusjach, udzielał wywiadów gazetom. „Nigdy nie mógłbym napisać swoich książek [...] gdyby losy wojny nie zagnały mnie do północnej Afryki" – zwierzał się w 1961 roku „Panoramie Północy". Dziennikarkę, która robiła z nim wywiad, przyjął w domu, w pokoju urządzonym w marokańskim stylu, poczęstował ją marokańską herbatą z etnicznego dzbanka, a ubrany był w autentyczny marokański strój.

Dobra passa skończyła się po pewnym zebraniu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich. Ciało to wówczas zebrało się, by potępić sygnatariuszy „Listu 34", sprzeciwiającego się cenzurze i ograniczeniom przydziału papieru. Grzędziński zamiast krytykować, wziął ich w obronę. Jak zaznacza w „Obławie" Joanna Siedlecka, jego zachowanie zwróciło uwagę licznych wśród literatów agentów. Później SB w ramach dochodzenia, które dotyczyło kolportowania „Listu 34", weszła w posiadanie listu, jaki Grzędziński napisał do swojej pierwszej żony. Ta, jak pisałam wyżej, wywodziła się z Giedroyciów, służby zobaczywszy znienawidzone nazwisko szefa „Kultury", doszły do wniosku, że zapewne adresatka była krewną znienawidzonego Jerzego Giedroycia (Siedlecka zaznacza, że pochodziła z innej linii), a sam adres – skrzynką kontaktową „Kultury". Inna kwestia, że Grzędziński faktycznie był współpracownikiem pisma Giedroycia, a swoje teksty podpisywał pseudonimem „Varsoviensis".

eprasa.pl 475b32102c

W efekcie Grzędzińskiego poddano operacyjnemu rozpracowaniu o kryptonimie „Dyplomata". W jej ramach literatowi założono podsłuch telefoniczny, kontrolowano jego korespondencję. Do inwigilacji wykorzystywano wiele osobowych źródeł informacji, w tym – kontakt poufny, który był krewnym pisarza. Oczywiście szybko znaleziono liczne teksty, krytykujące ustrój. Jesienią w jego mieszkaniu dokonano rewizji, zabierając pisarzowi rękopisy oraz maszynę do pisania. Celem rewizji było zabezpieczenie dowodów przestępstwa z art. 23 tzw. małego kodeksu karnego, czyli „przekazywanie za granicę fałszywych informacji, mogących wyrządzić szkodę interesom PRL". Konfiskacie uległy przywiezione z emigracji numery paryskiej „Kultury", wspomnienia z czasów przedwojennych. Właśnie owa legionowa przeszłość – jak zauważa Siedlecka – mocno rozjuszała esbeków, których zdaniem Grzędziński „aktywizował legionowe środowiska". Wiadomo, że tak groźną osobę należy jak najszybciej dotknąć represjami. Komuna nie była na początku specjalnie oryginalna, ot, książki wycofane z księgarń, totalny zakaz druku zarówno w prasie, jak i w wydawnictwach, a do tego nagonka w reżimowej prasie. Grzędzińskiego spotkał jednak nie lada zaszczyt – opluły go nie tylko rodzime pismaki, lecz także moskiewska „Izwiestija", która zarzuciła mu oblewanie Polski Ludowej błotem. Na artykuł zresztą odpowiedział. „Wiem dobrze, że nie wydrukuje Pan mego sprostowania, jak to się robi w kulturalnym kraju. Nie ma Pan wątpliwości, że cała Pańska kłamliwa działalność rozleciałaby się w strzępy, jeśli by Pan pozwolił odpowiadać u siebie osobom przez Pana oczernionym" – pisał do dziennikarza „Izwiestji".

Pogorszyła się znacznie sytuacja materialna pisarza – nie dość, że nie mógł drukować, to jeszcze w 1965 roku ZUS, na żądanie Rady Ministrów, pozbawił go renty specjalnej, jaką otrzymał w trzechsetną rocznicę prasy polskiej. Siedlecka zaznacza, że było tak krucho, że m.in. w ZLP wywiesił ogłoszenie, że przyjmie każde zajęcie, „może nawet wyprowadzać psy na spacer". Po raz kolejny przeorano mieszkanie pisarza, zabierając mu także to, nad czym aktualnie pracował. Jak skarżył się w liście do Zarządu Głównego ZLP, „pisanie do szuflady jest w tym świetle [tj. rewizji i zabierania materiałów – przyp. M.Z.] pisaniem dla UB".

Do Tworek!

W związku z toczącym się śledztwem pisarza wzywano na wielogodzinne przesłuchania. Przyznał się jedynie do napisania prywatnego listu do żony, do tego, że „Varsoviensis" to on – już nie.

Chociaż sprawa była w toku, Grzędziński nie przestał rozrabiać. Siedlecka pisze, że zaczął spotykać się z zachodnimi korespondentami. SB inwigilowała dalej, nie tylko pisarza, lecz także jego bliskich, w tym m.in. Nelly Strug. W październiku 1965 roku postępowanie zawieszono, jednak nie umorzono go – by mieć bat na niepokornego pisarza.

Kiedy SB ustaliła, że pisarzowi udało się przekazać „Kulturze" przedwojenny „Maj 1926" oraz kilka tekstów współczesnych, znów wznowiono sprawę. Jak pisze Siedlecka, „tym razem bezpieka nie chciała już dopuścić do tego, by figurant wywinął się lekarskim zwolnieniem, postanowiła więc rozwiązać jego problem raz na zawsze, zamykając bezterminowo u czubków". W 1967 roku pisarza badały dwie komisje – internistyczna i psychiatryczna. Ta druga aż dwa razy. Na początku stycznia został skierowany na co najmniej sześć tygodni do Tworek. Prokurator żądał umieszczenia go tam do całkowitego wyzdrowienia, co tak naprawdę oznaczało: bezterminowo. Nawet mając przed sobą widmo szpitala psychiatrycznego, Grzędziński nie dał się jednak złamać. W 1968 roku jawnie popierał protestujących. Na zebraniu literatów poświęconym „Dziadom" Kazimierza Dejmka krytykował politykę kulturalną państwa, a ówczesnego ministra kultury Lucjana Motykę porównał do Nowosilcowa. Tyle że zaznaczał, iż Nowosilcow zwracał się jednak o łaskę dla oskarżonych filomatów i filaretów, padł do nóg carowi. W efekcie skazano tylko część z nich, na najcięższą karę (rok twierdzy) tylko Tomasza Zana. Dodał, że „gdyby miał w interesie kultury polskiej wybierać między Motyką a Nowosilcowem, wybrałby Nowosilcowa". Na efekty nie trzeba było długo czekać. Prokuratura wydała decyzję o natychmiastowym umieszczeniu Grzędzińskiego w Zakładzie Psychiatrycznym w Tworkach. Pisarz bał się szpitala, na szczęście do niego nie trafił. Uratowała go siostra, Nelly Strug. Na parę miesięcy ulokowała ona brata w szpitalu na ul. Grenadierów, u zaprzyjaźnionego ordynatora. Kiedy tam zgłosiła się po niego SB, usłyszała, że pacjent jest w trakcie badań, potem siostra ukryła go w szpitalu na Dolnej, później u przyjaciół. Trwało to aż do umorzenia sprawy, w grudniu 1970 roku. Niestety, było już za późno. Stres i ciężkie przejścia sprawiły, że u starego człowieka uaktywniła się choroba Alzheimera. Nelly opiekowała się nim, póki mogła. Ostatecznie oddała go do domu opieki na Ursynowie. Zmarł 26 lutego 1975 roku. Siedlecka zaznacza, że okoliczności tej śmierci są niejasne – pisarz miał na głowie ślady pobicia.

Pochowano go na Wojskowych Powązkach. SB zmarnowała nie tylko życie, lecz także karierę pisarzowi, którego teksty – jak zaznacza Siedlecka – nie odbiegały poziomem od prozy Stanisława Cata-Mackiewicza. Mógł znaleźć się w panteonie polskich pisarzy opozycyjnych. Nic z tego. Oby więc chociaż nie został zapomniany. ■

eprasa.pl 475b32102c

Dariusz Jarosiński

NIE KORZYLI SIĘ PRZED BOLSZEWIKAMI W TOGACH

Proces członków „bandy rabunkowej NSZ" – jak określano w komunistycznych szmatławcach i radiu podziemną organizację Ligę Walki z Bolszewizmem – trwał tydzień. I choć rozprawie przewodniczył ppłk Julian Polan, stalinowski zbrodniarz sądowy, który wydał co najmniej 60 wyroków śmierci na polskich bohaterów, oskarżeni nie dali się zastraszyć. Nie ukorzyli się przed bolszewikami w togach, nie zaprzeczyli, że walczyli z narzuconą Polakom władzą komunistyczną, bo uważali tę walkę za swój patriotyczny obowiązek.

1.Od lewej plutonowy podchorąży Stanisław Pluciński „Żbik", kapral podchorąży Celestyn Nagięć „Sas", Samodzielny Batalion Partyzancki „Skała", jesień 1944 r.
2. Rodzina Celestyna Nagięcia. Od lewej: siostra Krystyna Nagięć, Celestyn Nagięć, mama Elżbieta Nagięciowa, siostra Irena Nagięć. Kraków, wrzesień 1941 r.

epfasa.pl 475b32102c

1

2

fot. Arch.

Maria Swianiewicz i Celestyn Stanisław Nagięć poznali się w Węgorzewie latem 1955 roku. Oboje byli zesłańcami na obcej im, choć pięknej, ziemi mazurskiej. Otrzymali nakazy pracy w Państwowym Gospodarstwie Rybackim.

Celestyn Nagięć, żołnierz Armii Krajowej, żołnierz podziemnej organizacji Liga Walki z Bolszewizmem, po ośmiu latach opuścił komunistyczne więzienia z dokumentem „obowiązany zameldować się w biurze Milicji w Węgorzewie nie później jak dnia 11 stycznia 1955 r.". Miał zakaz powrotu do rodzinnego domu w Krakowie, bo matkę i siostrę za karę komuniści eksmitowali stamtąd na Mazury. Maria Swianiewicz była w owym czasie wyróżniającą się absolwentką Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego na Wydziale Rybactwa w Warszawie. Pomimo iż osoby z dużo gorszymi wynikami w nauce otrzymywały propozycje pracy naukowej na uczelni, dla niej nie było tam miejsca.

Oboje pochodzili z Kresów – ona północno-wschodnich, z Wilna, jej ojciec, Stanisław Swianiewicz, był przed wojną profesorem Uniwersytetu Stefana Batorego, nazywany świadkiem Katynia, po wyjściu z łagrów sowieckich trafił z armią gen. Władysława Andersa do Anglii. Maria nie mogła przez długie lata przyznawać się, że jej ojcem jest Stanisław Swianiewicz, walczący o to, byśmy mogli poznać prawdę o zbrodni bolszewików na polskich oficerach w Katyniu. Ukradkiem słuchała w Radiu Wolna Europa audycji z udziałem ojca, który mówił o tamtych wydarzeniach.

Dzieciństwo na Podolu

Celestyn Nagięć urodził się w 1921 roku we wsi Nowosiółka w powiecie Podhajce. Matka, Elżbieta z Monasterskich, należała do rodziny polskiej od stuleci osiadłej na Podolu; ojciec, Wawrzyniec, pochodził ze wsi Grabia położonej nieopodal Krakowa w powiecie Wieliczka. W czasie I wojny światowej ojciec Celestyna służył w legionach, w VIII Pułku Ułanów. We wspomnieniach Celestyn Nagięć pisał o szczęśliwym dzieciństwie spędzonym na Podolu. Jednak po 1939 roku kraina ta spłynęła polską krwią za sprawą sąsiadów Ukraińców i obłędnej ideologii.

„Wychowałem się w niewielkiej osadzie, Skinderówce, właśnie wśród takich pól, z gospodarstwami obrzeżonymi różnymi drzewami, także owocowymi, których korony upalnym latem dają chłodny cień, a zimą chronią od śnieżnych zadymek. Jednocześnie z polską mową rodziców i dziadków poznałem język ruski (ukraiński), w sąsiedztwie bowiem były również ukraińskie gospodarstwa, a w owym czasie wczesnych lat dwudziestych, moja rodzina utrzymywała z Ukraińcami dobre stosunki. Młodszy brat mojej Matki, Władysław, był

prasa.pl 4e5b32102c

zresztą ożeniony z dziewczyną z rodziny mieszanej, polsko-ukraińskiej, matka tej wujenki była Ukrainką" – pisał we „Wspomnieniach od dzieciństwa i młodości po wiek dojrzały" Celestyn Nagięć.

W 1928 roku rodzice Celestyna osiedlili się w Krakowie. Dotkliwym ciosem dla rodziny była śmierć ojca w 1932 roku. Mimo przeciwieństw losu, skromnego portfela matki, która miała kłopoty z utrzymaniem trojga dzieci, Celestyn w 1939 roku zdobył małą maturę. Wkrótce mundur gimnazjalisty zamienił na wojskowy. Jego gimnazjalny hufiec Przysposobienia Wojskowego w kampanii wrześniowej został rozbrojony przez Sowietów w pobliżu Łucka. Szeregowców Sowieci puścili łaskawie do domu. Do 1941 roku przebywał we wsi Nowosiółka, gdzie był świadkiem potwornych zbrodni ukraińskich nacjonalistów. Ukraińcy nie oszczędzili rodziny Monasterskich – zamordowali dwóch braci matki – Michała i wspomnianego już Władysława. Oprócz nich zamordowali jeszcze siedem osób z rodziny. Bandy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), jej zbrojne bojówki stały się bezkarne szczególnie po wejściu na Podole w czerwcu 1941 roku wojsk niemieckich – zbrodnie się nasiliły. Celestyn musiał ukrywać się przed banderowcami, ukraińskimi „kozakami" w polach, w zbożu, u znajomych w stodołach.

W pełną przygód drogę wyruszył 10 września 1941 roku – najpierw do Lwowa, a później przekroczył granicę Generalnej Guberni i znalazł się w Krakowie. Tutaj dostał pracę na kolei – początkowo jako niewykwalifikowany ładowacz, a po pewnym czasie awansował na stanowisko pomocnika maszynisty – jeździł na trasie Kraków–Przemyśl–Lwów–Kołomyja. W krótkim czasie zdobył zaufanie kolejarzy, którzy należeli do konspiracji. W dniu szczególnym dla historii Polski, w święto uchwalenia Konstytucji 3 maja, 1943 roku, złożył przysięgę żołnierza Armii Krajowej. Otrzymał pseudonim „Sas" i przydział do plutonu saperskiego.

W Batalionie „Skała"

Kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, z Samodzielnym Batalionem Partyzanckim „Skała", pod dowództwem majora Jana Pańczakiewicza „Skały", dotychczasowym szefem krakowskiego Kedywu, wyruszył 3 września 1944 roku na pomoc walczącej stolicy. Batalion liczył 450 ludzi. Sprzęt, zaopatrzenie zapakowano na dziewięć wozów. Po drodze doszło do potyczek z Niemcami. Pod Złotym Potokiem, nieopodal Częstochowy, „Skałowcy" stoczyli zaciętą bitwę z silnym ugrupowaniem niemieckim liczącym 4,5 tys. żołnierzy, dwie sotnie konnych Kozaków. Według danych wywiadu miejscowej placówki AK w bitwie zginęło 68 Niemców, około 120 zostało rannych. Straty żołnierzy AK – 12 zabitych, 7 rannych. Z przygotowywanej przez Niemców większej obławy, w znaczniejszej sile, „Skałowcom" udało się wyrwać. Byli zbyt słabo uzbrojeni, by stawić czoła Niemcom. Powrócili w rejon Krakowa, do Prądnika Kierzkowskiego. W okresie Zaduszek batalion stacjonował w Winiarach. Tutaj, przy blaskach pochodni, zorganizowano uroczysty apel poległych żołnierzy „Skały", którzy zginęli pod Tymbarkiem, Sadkami i Złotym Potokiem. W listopadzie 1944 roku „Sas" po ukończonym kursie podchorążych otrzymał stopień kaprala i objął dowodzenie drużyną.

Na okres jesieni i zimy 1944 roku rozlokowano oddział po wsiach, majątkach podkrakowskich. Przeprowadzane były akcje w celu zdobycia żywności, na niemieckie magazyny ubrań, butów. W styczniu 1945 roku oddział został rozwiązany. Powrót do normalnego, cywilnego życia dla wielu chłopców był niezwykle trudny, wręcz niemożliwy. Dzielni żołnierze zostali zepchnięci na margines życia przez bolszewików.

Dorota Franaszek z domu Girtler ps. „Stasia", łączniczka krakowskiego Kedywu oraz Samodzielnego Batalionu Partyzanckiego „Skała", uczestniczka wielu akcji bojowych, odznaczona m.in. Krzyżem Walecznych, piękna i odważna dziewczyna, tak wspominała po latach czas po rozwiązaniu Batalionu: „Gorycz końca wojny potęgował fakt wrogiej postawy Związku Radzieckiego wobec racji polskich i siłą narzucanie wolnemu narodowi nowego jarzma niewoli. Z okrutną konsekwencją wczorajszym bohaterom systematycznie i cynicznie odmawiano uznania dla ich heroicznego wysiłku, męstwa i ofiarnego poświęcenia wartości, które stanowiły ich credo życiowe. Kłamliwie i tendencyjnie interpretowano motywy działania, obrzucano obelgami ludzi najszlachetniejszych, plugawiono wszelkie ideały, o które walczyli i za które ginęli. Odmawiano naturalnego prawa do zwykłej ludzkiej godności. Rozpoczęto polowanie z nagonką na żołnierzy Armii Krajowej, nazywając ich perfidnie wrogami Polski Ludowej, a Armię Krajową określano »zapluty karzeł reakcji«. Aresztowania, zsyłki do Rosji, karykaturalne procesy, poniżenia, ukrywanie się, zwolnienia z pracy, obławy, oto rzeczywistość powojenna, najboleśniejsze odkrycie młodych akowców. [...]

Kpt. Mieczysław Cieślik »Koral« już 18 stycznia 1945 roku został aresztowany i bez sądu wywieziony w głąb Rosji. Na wieczną zmarzlinę skazani zostali Zbigniew Czyżewicz »Miś«, Bolesław Dyrda »Mruk«, Jacenty Batko »Dobruś« i inni. Aresztowano mjr. Jana Pańczakiewicza »Skałę«, Ryszarda Nuszkiewicza »Powolnego«, Henryka Januszkiewicza »Spokojnego«, Jerzego Gąkiewicza »Kolibra«, Zdzisława Meresa »Orlika«, Kazimierza Chromniaka »Leśnika«, Stefana Włodka »Kota«, Edwarda Czarneckiego »Murzyna II«, Tadeusza Krzywdziaka »Zapalczywego«. Jana Sikorę »Barycza« wykończono już na miejscu na placu Inwalidów. Na Rynku Krakowskim łapano Jerzego Bastera »Galę«, krzy-

eprasa.pl 475b32102c

cząc »łapaj, Gestapowca«, postrzelony dostał się w ręce oprawców. W tej sytuacji młodzi musieli szukać ocalenia w lesie, organizując się w tajnej organizacji. [...] Ustawiczna inwigilacja, szykanowanie, obowiązkowe meldowanie się władzom bezpieczeństwa, powszechnie stosowane zwolnienia z pracy, utrudnienia w działalności zawodowej stawiało nas w pozycji obywatela kategorii »d«. To deprymowało i tak już wyniszczoną i w różnorakim stopniu okaleczałą młodzież. Zjawisko to było tak powszechne, że przestało budzić lęk".

▶ „Skałowcy" w LWP

Celestyn zakończył edukację w 1939 roku na zdaniu małej matury. Po rozformowaniu oddziału zatęsknił za nauką, szkołą. Pod koniec lutego 1945 roku rozpoczął naukę w Liceum św. Jacka przy ulicy Siennej w Krakowie. W tym samym budynku mieściło się też ukończone przez niego w 1939 roku gimnazjum. Wielu nauczycieli było mu znanych. Po zawierusze wojennej powracali do szkoły jego koledzy. Nie wszystkim było dane przeżyć okupację niemiecką.

Celestyn nie zagrzał jednak długo miejsca w szkolnej ławce – w połowie kwietnia 1945 roku otrzymał z Rejonowej Komendy Uzupełnień powołanie do odbycia służby wojskowej. „Perspektywa powołania do służby w ludowym wojsku, dowodzonym przez bolszewików rosyjskich i polskich komunistów – wspominał Celestyn Nagięć – bynajmniej mi się nie uśmiechała i nie pociągała. Byłem przecież kapralem podchorążym Armii Krajowej, stanowiącej integralną część Polskich Sił Zbrojnych [...]. W ostatnich dniach lutego 1945 r. znaliśmy już treść ostatniego rozkazu ostatniego Dowódcy Armii Krajowej gen. bryg. »Niedźwiadka«". Sytuacja była dramatyczna: wzmagający się terror komunistyczny, rozwiązana Armia Krajowa, wezwanie do komunistycznego wojska. Celestyn bił się z myślami, czy zamiast pójść do wojska, nie lepiej zdezerterować i przedostać się do któregoś z podziemnych oddziałów walczących na Podhalu lub na Żywiecczyźnie. Ostatecznie jednak po rozmowie z kolegami „Skałowcami", którzy też otrzymali karty powołania z RKU, udał się do wojska.

Trafił do 7. Pułku Zapasowego Piechoty w Lublińcu, mieście leżącym na Górnym Śląsku nieopodal granicy z Niemcami. Większość poborowych stanowili chłopcy z lasu. Tutaj Celestyn zadzierzgnął silniejszą więź koleżeńską ze Staszkiem Ptakiem, „krakowskim andrusem z Salwatora", jak go nazywał we „Wspomnieniach". Staszek, kapral podchorąży, był żołnierzem jednego z partyzanckich oddziałów operujących na Podbeskidziu. W czerwcu 1945 roku trójka „Skałowców", w tym Celestyn, została skierowana do Szkoły Oficerskiej Piechoty nr 2 w Lublinie.

W październiku 1945 roku Celestyn Nagięć został zwolniony ze służby wojskowej ze względu na stan zdrowia – wadę serca. Namówiony przez kolegę Józka Kossowskiego rozstał się z liceum humanistycznym i zaczął naukę w Państwowym Liceum Rybackim przy ulicy Meiselsa na Stradomiu. Szybko wciągnął Celestyna świat wody i ryb. „Nauka szła pełną parą – wspominał po latach – tym bardziej, że byłem nią istotnie zainteresowany. Trzeba jednak przyznać, że prawie wszyscy koledzy traktowali ją poważnie. Grały tu względy ambicji albo i zwyczajnej przyzwoitości. Przykro bowiem byłoby zaawansowanemu wiekiem uczniowi źle wypaść".

▶ To było powstanie antysowieckie

W lutym 1946 roku poznany w wojsku Stanisław Ptak „Kruk", kapral podchorąży AK, podobnie jak Celestyn zdemobilizowany z LWP, w owym czasie student I roku prawa UJ, zaproponował Celestynowi przystąpienie do podziemnej organizacji Liga Walki z Bolszewizmem (LWzB). W ramach Ligi miało według „Kruka" działać niezależnie od siebie kilka grup dywersyjnych partyzantki miejskiej na terenie Krakowa i okolic. Dzisiaj wiemy o istnieniu trzech oddziałów: Stanisława Marony „Wilka", oddziału „Błyskawica" Mariana Pogana „Rzeżuchy" i Stanisława Ptaka „Kruka", do której wstąpił Celestyn Nagięć. Liga Walki z Bolszewizmem związana była z Narodową Organizacją Wojskową.

Celestyn w nowej organizacji przyjął pseudonim „Koropiec" – jest to nazwa rzeki płynącej przez Podole, nad którą leży rodzinna wieś Nowosiółka. Zdaniem Celestyna: „W Lidze Walki z Bolszewizmem wszystkich łączyło poczucie potrzeby wzięcia udziału w trwającym w Polsce antysowieckim powstaniu, w walce – jak Polska długa i szeroka – przeciwko narzuconej władzy i wprowadzanemu przez nią u nas komunistycznemu ustrojowi". Grupa „Kruka", do której należał „Koropiec", liczyła 10 osób. Bodaj tylko jedyny, jej najmłodszy członek nie wąchał jeszcze prochu. Chłopcy pochodzili z różnych środowisk społecznych Krakowa – inteligenckich i robotniczych; byli też młodzieńcy z wiosek z powiatu chrzanowskiego. Kilku miało maturę, dwóch studiowało na UJ.

Pierwsze zebranie grupy dywersyjnej odbyło się w mieszkaniu rodziców, nauczycieli, Stanisława Szuro „Zamorskiego" (rocznik 1920), który po zdaniu matury przed wojną wziął udział w kampanii wrześniowej 1939 roku, należał do Związku Walki Zbrojnej i AK. W czasie okupacji niemieckiej został aresztowany i przesiedział w kilku obozach koncentracyjnych. Ostatnim jego obozem był Bergen-Belsen. Do domu w Krakowie wrócił w czerwcu 1945 roku, wkrótce po powrocie podjął studia historyczne na Wydziale Filozoficznym UJ.

Tylko nieliczne akcje wymagały udziału wszystkich członków grupy. Celestyn musiał jakoś godzić szkołę z konspiracją. Z ulubionym pistoletem, parabelką, się nie rozstawał. Mimo zmasowanej akcji propagandowej

eprasa.pl 475b32102c

komuniści przegrali 30 czerwca 1946 roku referendum w Krakowie. Krakowianie ze zwarcia z bolszewikami wyszli z honorem.

„Miesiąc czerwiec [1946 r. – przyp. D.J.] był u mnie bardzo gorący – wspominał Celestyn Nagięć – i to zarówno pod względem aktywności na poziomie szkolnym, jak i w nurcie konspiracyjnym. Te zaś działania w przeciągu całego lata były dość zróżnicowane, gdyż miały miejsce nie tylko w samym Krakowie, ale też i w jego okolicy. Zdarzały się niejednokrotnie tuż pod nosem ciężkozbrojnych ubowców, w śródmieściu i w samo południe, kiedy indziej wiązało się to z naszym niespodzianym nocnym wypadem, które stawiały na nogi znaczące siły KBW czeszących teren gdzieśmy się zapadli pod ziemię. Obserwowaliśmy ich wtedy z maleńkiego podmiejskiego chaszczu, w którym przycupnęliśmy pod krzaczkami na cały długi (bardzo długi) dzień, by nocą ruszyć z powrotem do Krakowa. Przy tej przygodzie przekonaliśmy się naocznie i namacalnie, jakim poparciem wśród ludności wiejskiej i miasteczek cieszą się po staremu »chłopcy z lasu«, żołnierze antybolszewickiego podziemia. Otóż przez ten chaszcz biegła ścieżka, i chcąc nie chcąc musieliśmy zatrzymać u siebie kilku przypadkowych przechodniów, aby się nie rozniosła wiadomość o naszej tutaj obecności. Po odpowiednim rozpoznaniu, dwie osoby spośród nich, wyposażone przez dowódcę w pieniądze, udały się do pobliskiego sklepu, by zakupić dla nas chleb, wędlinę i coś do picia. Po dwóch godzinach wrócili z wiktuałami i wiadomościami. Wieści były dobre. Później jeszcze się okazało, że nikt z wówczas przez nas zatrzymanych nie puścił farby – kamień w wodę. Działania naszej grupy były tylko drobną cząstką całego zamieszania, bo grup takich w Krakowie było kilka. Zdarzały się też akcje bardzo efektowne i o wręcz historycznym wymiarze, jak na przykład jednej z sierpniowych niedzieli rozbicie słynnej kazamaty – więzienia św. Michała".

Celestyn miał okazję w czasie swojej nauki poznać Mazury. Tam uczniowie Liceum Rybackiego odbywali praktyki rybackie w Ośrodku Rybacko-Żeglarskim „Śniardwy" w Głodowie. W Mazurach zakochał się od pierwszego wejrzenia, miał sposobność poznać jeszcze wówczas rodowitych mieszkańców tej krainy. Od mazurskich rybaków uczył się tradycyjnego rzemiosła. Nie przypuszczał, że za ponad osiem lat, w jakże innych okolicznościach, przyjdzie mu znów zachwycać się mazurską przyrodą, a los zetknie go z ukochaną na całe życie osobą.

Najszczęśliwszy okres w życiu

Wspomniany już Stanisław Szuro „Zamorski", dzisiaj 98-letni, nadal pełen werwy mężczyzna, twierdzi, że czas, kiedy studiował na UJ i działał w Lidze Walki z Bolszewizmem, to był jego najszczęśliwszy okres w życiu: „Z jednej strony uruchomiono uniwersytet, więc zacząłem studia. Udało się świetnie zdać egzamin z historii starożytnej, chociaż to był postrach – u prof. Piotrowicza. No i z drugiej strony chodziło się na akcje dywersyjne, wreszcie z bronią. [...] Pamiętam taką akcję w Skawinie. Należało opanować fabrykę, pobrać kasę i jeszcze inne rzeczy. Dostałem swoją funkcję. Wchodzę. Kazałem gościowi otworzyć drzwi. Otworzył mi jakiś starszy pan, a jak wszedłem z bronią w ręce, to strasznie się przestraszył. »Niech się pan nie boi, panu nic nie grozi«. Uspokoił się. Idziemy; dyrektor, na którego był wyrok, stoi przestraszony. Dostał trochę batów. W pewnej chwili mieliśmy uruchomić samochód i wyjechać. Okazało się, że samochodu nie da się uruchomić, a w pobliżu był jakiś napad i w związku z tym milicja poszła na obławę i nadziała się na nas. Zrobił się alarm, trzeba było wiać. Wycofaliśmy się i schroniliśmy w takim niedużym lasku. Po ciemku, w nocy, nikt dobrze nie znał terenu. Nagle do lasu przyszły chłopaczki, takie 15-letnie. Pytamy: co wy tu robicie? »Węgiel kradniemy«. »Wolno?«. »Wolno, bo on do Rosji jedzie«. »No to kradnijcie, ale na razie zaczekajcie z nami«. Baliśmy się ich puścić, żeby nie rozgadali. Bardzo chętnie zostali, tylko prosili, żeby im pokazać broń. Pokazaliśmy; mieliśmy tylko pistolety, parę granatów. Ale oglądali, byli szczęśliwi. Jak donieśli nam trochę jedzenia ze Skawiny, to się podzieliliśmy z nimi.

Nagle, po południu – obława; kompania KBW idzie w kierunku lasu. Wycofać się nie ma gdzie, ukryć... Oni mają długą broń, karabiny, pistolety maszynowe, a my tylko pistolety; żadnych szans w razie walki. W dodatku nas było raptem dziesięciu, a ich cała kompania, ponad setka ludzi. Więc dowódca wydał jedyny logiczny rozkaz: położyć się na skraju lasu, możliwie blisko ich dopuścić. Jak coś, to salwa z pistoletu, rzut granatem i skok w przód, żeby ich częściowo przynajmniej rozbroić. Wtedy jest – jak to się mówi – ćwierć ćwierci szansy, że to się może udać. Nie było innego wyjścia. Do tych chłopaków: uciekajcie. Nie, oni chcą bitwę widzieć. Powłazili gdzieś za drzewa, bo chcą bitwę widzieć. Już byli blisko, nagle padła komenda, kompania zwróciła się w bok i nie weszli do tego lasku. Jak się potem dowiedzieliśmy, dowódca chciał wejść, ale poszli w stronę większego kompleksu lasu. Myśmy odetchnęli, a chłopaczki byli zawiedzeni, bo nie widzieli bitwy. Ale mówią tak: »Panowie, my już wiemy, o co chodzi. Tu jest taki rów, którym, idąc skulonym, można dojść do takiego właśnie kompleksu leśnego. My będziemy szli górą, a wy tym rowem«. I oni nas poprowadzili rzeczywiście. Normalnie wróciliśmy do Krakowa" (rozmowa z dziennikarką Nadią Senkowską).

Wsypa

Pod koniec sierpnia 1946 roku Staszek Ptak „Kruk" spotkał swego kolegę, Jerzego Barańskiego „Freda". Obaj byli w tym samym oddziale partyzanckim AK na Podbeskidziu. „Fred" wyjawił „Krukowi", że szuka kontaktu z podziemiem, by walczyć z komunistami. Po kil-

eprasa.pl 475b32102c

ku spotkaniach i rozmowach „Kruk" uznał, że „Fred" ma patriotyczne zamiary, że można mu zaufać. „Fred" wręcz palił się do działania. Dzięki udziałowi w kilku akcjach poznał wszystkich partyzantów z oddziału Ligi dowodzonego przez „Kruka". Nie poznał jedynie Celestyna Nagięcia „Koropca", który do końca października 1946 roku przebywał na praktyce szkolnej na Mazurach. „Fred" okazał się konfidentem UB. Jako ostatni został aresztowany „Koropiec" 27 listopada 1946 roku.

Śledztwo w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego przy placu Inwalidów zaczęło się od zerwania z szyi „Koropca" łańcuszka ze srebrnym ryngrafem Matki Boskiej Ostrobramskiej, który łączniczka Ania przyniosła mu od mamy do oddziału jesienią 1944 roku. Z WUBP po wstępnej „obróbce" przewieziono partyzantów z Ligi do więzienia śledczo-karnego przy ulicy Montelupich.

28 stycznia 1947 roku odbyła się pierwsza rozprawa przed Wojskowym Sądem Rejonowym „bandy rabunkowej NSZ", jak określano Ligę w komunistycznych szmatławcach i radiu. Na ławie oskarżonych znalazło się 13 niezłomnych żołnierzy Ligi, w tym jedna dziewczyna, Zofia Drabik, narzeczona Ludwika Tatarucha. Dwaj oskarżeni – Jerzy Wacyk i Adam Meus – byli studentami Politechniki, Staszek Szuro był studentem II roku UJ. Rozprawie przewodniczył ppłk Julian Polan, właściwie Haraschin, zwany „czerwonym Julkiem", stalinowski zbrodniarz sądowy, który wydał co najmniej 60 wyroków śmierci na polskich bohaterów. Oskarżał prokurator por. Henryk Ligęza. Julian Haraschin w czasie okupacji niemieckiej pracował w hitlerowskim Biurze Transportu Dyrekcji Monopoli w Krakowie, a Henryk Ligęza w tym samym czasie zajmował się ściąganiem podatków w getcie. Tacy „prawnicy" sądzili i oskarżali polskich bohaterów walczących o wolną Polskę. Stanisław Ptak, Celestyn Nagięć i Jerzy Wacyk byli kawalerami Krzyża Walecznych, Stanisław Szuro, jako długoletni więzień niemieckich obozów koncentracyjnych, był odznaczony Krzyżem Zasługi z Mieczami. Zarówno przed budynkiem WSR, jak i na sali sądowej zebrały się tłumy krakowian wspierających niezłomnych żołnierzy.

Proces trwał tydzień. Cały czas wspierały Celestyna przychodzące na salę rozpraw mama i siostry. Prokurator Ligęza w czasie swych mów oskarżycielskich żądał dla dziewięciu osób, w tym dla Celestyna, kary śmierci. 3 lutego 1947 roku odbyła się ostatnia rozprawa. Celestyn Nagięć „Koropiec" poprosił w razie skazania go na karę śmierci o wykonanie wyroku przez rozstrzelanie, tak jak to przysługuje żołnierzowi. Stanisław Szuro „Zamorski", powołując się na historię i międzynarodowe prawo, zarzucił sędziom, że są oni przedstawicielami uzurpatorskiej i obcej Polsce władzy. Tak wspominał przebieg owej sądowej rozmowy: „Czy oskarżony występował przeciw rządowi?" – pytał sąd. „Nie występowałem, bo ja tego rządu, który tu jest, nie uznaję". „A jaki pan uznaje?". „Polski rząd emigracyjny w Londynie". „Czy przyznaje się do akcji?". „Do czynu się przyznaję, a do winy – nie". „Dlaczego?". „Bo to, co robiłem... w moim pojęciu nie popełniałem winy". W podobnym duchu zeznawali wszyscy niezłomni żołnierze Ligi. Nie korzyli się przed bolszewikami w togach, nie zaprzeczali, że walczyli z narzuconą Polakom władzą komunistyczną. Uważali tę walkę za swój patriotyczny obowiązek.

3 lutego sąd ogłosił wyroki. Siedem osób, w tym Stanisław Ptak, Stanisław Szuro, otrzymało karę śmierci. Celestyn Nagięć został skazany na 15 lat więzienia. W niedługim czasie, na podstawie amnestii z 22 lutego 1947 roku, wszystkim KS-owcom złagodzono karę na 15 lat więzienia, a Celestynowi Nagięciowi do 10 lat więzienia. Pozostali żołnierze Ligi otrzymali kary od 6 lat więzienia i ośmiu miesięcy do 3 lat. Zofii Drabik darowano karę w całości.

Celestyn Nagięć odbywał karę więzienia przy ulicy Montelupich w Krakowie, w Rawiczu i w Potulicach. Komunistyczne więzienia opuścił w styczniu 1955 roku. Do Krakowa nie mógł już powrócić, otrzymał nakaz zamieszkania w Węgorzewie. Komuniści nie omieszkali ukarać też rodziny niezłomnego żołnierza AK Batalionu „Skała" i Ligi Walki z Bolszewizmem – jego matkę i siostrę eksmitowali z Krakowa do Węgorzewa na Mazurach. W 1951 roku Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie wydało nakaz wysiedlenia wszystkich mieszkańców zamieszkałych w lokalach, w których główny lokator został osądzony za przestępstwa polityczne.

* **

14 stycznia 1956 roku Maria Swianiewicz i Celestyn Nagięć pobrali się. Oboje pracowali w olsztyńskiej Akademii Rolniczo-Technicznej i na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, byli aktywnymi działaczami NSZZ „Solidarność" i Olsztyńskiego Duszpasterstwa Akademickiego, wychowali troje dzieci. Profesor Maria Swianiewicz-Nagięć należy do grona najwybitniejszych polskich uczonych z zakresu ichtiologii. Celestyn Nagięć zmarł w 2002 roku.

Dzielna łączniczka AK Dorota Franaszek „Stasia" napisała w swoich wspomnieniach o żołnierzach Batalionu „Skała", że Celestyn Nagięć „dogonił swój czas", mając zapewne na myśli, iż po wyjściu z więzienia zajął się pracą naukową, uzyskał doktorat. Czy w istocie można było dogonić czas w okresie Peerelu? ■

_____

Przy pisaniu tekstu korzystałem z publikacji: Celestyn Stanisław Nagięć, „Wspomnienia od dzieciństwa i młodości po wiek dojrzały", Warszawa 2012; Ryszard Nuszkiewicz, „Uparci", Instytut Wydawniczy PAX, 1983.

eprasa.pl 475b32102c

Agnieszka Kowalczyk

LEŚNI LUDZIE Z PODKARPACIA

Janina Przysiężniak z domu Oleśkiewicz „Jaga”
Franciszek Przysiężniak „Ojciec Jan”

Różne były koleje losu leśnych ludzi z Podkarpacia, którzy przez szereg lat prowadzili tu zaciekłe walki z Niemcami, Sowietami i nacjonalistami ukraińskimi, a później stawiali opór nowej komunistycznej władzy. Jedni zginęli na placu boju, drudzy zostali bestialsko zamordowani, inni jeszcze doświadczyli więziennej gehenny bądź padli ofiarą szykan i prześladowań.

fot. Arch.

Nieprzebyte lasy ziemi podkarpackiej w czasach II wojny światowej, a potem w latach reżimu komunistycznego były prawdziwym matecznikiem niezłomnych bojowników o wolną Polskę walczących w oddziałach partyzanckich Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana" i Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka". Te odwiecznie szumiące bory stały się też niemymi świadkami losów Aleksandra Pityńskiego „Kuli" i Michała Krupy „Wierzby" – nieustraszonych żołnierzy podziemia niepodległościowego – i równie nieugiętych konspiratorek, takich jak Janina Oleśkiewicz „Jaga" i Stefania Krupa „Perełka".

Niemcy zaatakowali znienacka

Zmierzch ogarniał powoli tonące w śnieżnej bieli podkarpackie bory w pierwszy dzień Bożego Narodzenia 1943 roku i tylko promienie gasnącego słońca rzucały jeszcze złote błyski niknące gdzieś w oddali. I gdyby nie przeciągłe wycie wilków, panowałaby tu absolutna cisza. W ten świąteczny czas pędzili tędy konnym zaprzęgiem Janina Oleśkiewicz i jej ukochany major Franciszek Przysiężniak, wprost do wsi Graba, gdzie za dwa dni miał odbyć się ich ślub. Janka pochodziła z Kuryłówki, gdzie ojciec jej prowadził sklep i piwiarnię. Po tym, jak pomyślnie zdała maturę w Leżajsku, chciała kształcić się dalej w wymarzonej Szkole Handlowej w Przemyślu, ale wojna pokrzyżowała jej plany. Wraz ze starszym bratem Marianem wstąpiła do podziemia niepodległościowego, służąc w Narodowej Organizacji Wojskowej jako łączniczka i sanitariuszka. W leśniczówce u Werfla, gdzie mieściła się baza partyzantów, po raz pierwszy ujrzała przystojnego dowódcę leśnego oddziału, Franciszka, znanego w podziemiu jako „Ojciec Jan", i wkrótce podbiła jego serce. Młodzi postanowili się pobrać 27 grudnia, w dzień św. Jana Apostoła i Ewangelisty. Ślub miał odbyć się podczas uroczystej Sumy przed ołtarzem polowym, który wzniesiono specjalnie na tę okazję.

Niemcy zaatakowali ich znienacka. Tyle co Janka dostrzegła w oddali jakieś szybko przesuwające się punkty, a już po chwili zmieniły się one w sunące wprost na nich rozpędzone sanie. Franciszek zamarł i krzyknął z całych sił: „Niemcy! Alarm!". Nie czekając na nic, wyciągnął pistolet z kabury i puścił serię w stronę nadciągających, którzy błyskawicznie, jeden po drugim, wyskakiwali z sań i razili zaskoczonych ogniem karabinów maszynowych. „Ratuj siebie i dziewczynę! Uciekaj!" – wołał do Franka Bolesław Usow „Konar", przejmując obowiązki dowódcy. „Młodzi, na wpół zgięci – pisze o nich Szymon Nowak – brnęli przez wysokie zaspy w kierunku zbawczej linii drzew, kiedy w ich kierunku gruchnęły pierwsze strzały. Janka zachwiała się nagle

eprasa.pl 475b32102c

i padła w śnieg". Na szczęście tylko się potknęła... Niedługo potem zniknęli w ciemnościach lasu.

Tymczasem zaskoczeni we wsi partyzanci musieli ratować się ucieczką. Józef Zadzierski „Wołyniak" do ostatniej chwili ubezpieczał wycofujące się oddziały – „na wpół ubrany, boso, biegał po śniegu z erkaemem i ostrzeliwał niemieckich żołnierzy". Równie zaciekły i nieustępliwy w walce był „Konar", który jako jeden z ostatnich opuścił podpaloną w odwecie przez Niemców wieś. Nie obyło się bez rannych i zabitych. W sumie zginęło dziewięciu partyzantów, troje przyjezdnych gości weselnych i czternastu mieszkańców wsi Graba, w tym sześcioro dzieci.

Ślub Franciszka i Janiny odbył się dwa tygodnie później, w największej tajemnicy. Kiedy ksiądz Tadeusz Boratyn prowadził parę do ołtarza, Jankę uderzył widok stojącego na środku katafalku o ciężkich drewnianych podstawach, na którym spocząć miała nazajutrz trumna. Wtedy też przez głowę przebiegła jej straszna myśl: „Nie ślub i wesele mi pisane, a trumna i ciemny grób". Ogarnęła ją rozpacz i wybuchła głośnym, spazmatycznym płaczem tak, że jeszcze długo ks. Boratyn musiał ją uspokajać i zapewniać, że żadna krzywda się jej nie stanie pod opieką św. Antoniego z Padwy, patrona narzeczonych i małżonków...

Miłość patrzy śmierci w oczy

Latem 1944 roku, po przejściu frontu przez ziemie objęte działalnością leśnego oddziału „Ojca Jana", zarządzono demobilizację i ukrycie broni w zamaskowanym bunkrze niedaleko leśniczówki Werfla. Młodzi małżonkowie zamieszkali u rodziców Janki w Kuryłówce, lecz już wkrótce upomniało się o nich NKWD. Sowiecki komendant Leżajska, nie mogąc samemu dopaść „Ojca Jana", wezwał go do ujawnienia się, a ten, świadom grożącego mu niebezpieczeństwa, wyjechał z żoną do Jarosławia, gdzie został aresztowany i przekazany do Urzędu Bezpieczeństwa. Uratowały go tylko fałszywe dokumenty, dzięki którym odzyskał wolność. Odtąd Przysiężniakowie byli jeszcze bardziej ostrożni i przenieśli się do tajnych kwater w Leżajsku.

Tej nocy widzieli się po raz ostatni. Na ulicach było cicho i pusto, gdzieniegdzie snuły się tylko patrole milicyjne. Janka nie mogła powstrzymać łez i mocno przytuliła się do męża, którego porucznik „Grom" miał zaraz odprowadzić do kryjówki w klasztorze. „Franek – nie rozstawajmy się dzisiaj, proszę. Mam złe przeczucia" – błagała rozpaczliwie, ale nie było to możliwe, bo ubecy urządzali od dawna na „Ojca Jana" prawdziwe polowania. Ruszyła więc cała roztrzęsiona i przybita za łączniczką „Martą" do tajnej kwatery. W pewnej chwili jednak zmieniła plany i postanowiła udać się na noc do domu siostry, Anny Dolnej, gdzie mogła spotkać się z rodzicami i bratem, by w ich gronie odnaleźć choćby chwilowe ukojenie.

W obawie przed nalotem milicji nocowała w specjalnej skrytce na strychu. Kładąc się spać, pewnie długo jeszcze myślała o mężu, o ich niepewnej przyszłości i... o dziecku, którego narodzin niebawem się spodziewała. Nagle doszły ją z dołu jakieś hałasy, a potem kobiece krzyki... To ubecy wtargnęli do domu z milicją i przetrząsali każdy kąt w poszukiwaniu Franciszka... „Jaga" była gotowa uciekać, ale uświadomiła sobie, że nie ma przecież broni. Siedziała więc cicho w ukryciu i przerażona nasłuchiwała, jak napastnicy terroryzowali domowników, maltretowali mężczyzn, nie oszczędzając nawet jej starego ojca. Nie znalazłszy żadnych śladów poszukiwanego, uciekli się do podstępu, by teraz wywabić Jankę z kryjówki, mówiąc głośno między sobą, że Przysiężniak jest już w ich rękach i że ostatnim życzeniem pojmanego jest zobaczyć się z żoną. Janka nie wytrzymała i stanęła przed ubekami. Ci tylko na to czekali...

Wyprowadzili dziewczynę i jej brata Mariana, rzucili ich na ciężarówkę, ruszyli, a po pewnym czasie kazali wysiadać nad brzegiem Sanu. „Jaga" poderwała się do ucieczki, ale gdy zaczęła biec..., jeden z ubeków, niejaki Machaj z Niska, chwycił za pepeszę i pociągnął za spust... Seria strzałów przeszyła jej plecy – „upadła, [...] próbowała jeszcze czołgać się w stronę furtki, ale po chwili znieruchomiała [...]. Wszystko wirowało jej przed oczami, a przy każdym świszczącym oddechu płuca przeszywał palący ból". Porzucona przez oprawców leżała jeszcze długo w kałuży krwi, aż konającą znaleźli ludzie z oddziału „Wołyniaka". Było już jednak za późno...

Pogrzeb Janiny Przysiężniak odbył się w Wielki Poniedziałek 1945 roku i przerodził się w patriotyczną manifestację. Nad grobem walecznej rozległa się salwa honorowa, a potem zaintonowano pieśń „W mogile ciemnej śpij na wieki". „Skamieniały z bólu Franciszek jeszcze długo stał nad grobem żony – pisał Szymon Nowak – Nie bacząc na groźbę dekonspiracji i komunistycznego więzienia, trwał na cmentarzu, a wieczorny wiatr sypał mu piasek w oczy".

Zapach prochu i swąd spalenizny

W tej samej Kuryłówce, gdzie w kwietniu tragicznie zakończyła swe życie Janina, na początku maja 1945 roku rozegrała się jedna z największych bitew polskiego podziemia z Sowietami. Na czele oddziałów leśnych okręgu „San" stanął „Ojciec Jan", któremu po śmierci żony powierzono dowództwo nad siłami m.in. „Wołyniaka", „Tarzana", „Radwana", „Majki" i „Weuwarta". Do ciągnących na Kuryłówkę żołnierzy Armii Czerwonej i NKWD jako pierwsi otworzyli ogień partyzanci ubezpieczający pozycje „Wołyniaka", pozwalając podejść im

eprasa.pl 475b32102c

jak najbliżej i wówczas z odległości trzystu–czterystu metrów otworzyli wprost na nich huraganowy ogień. Sowieci nie dawali jednak za wygraną. Jeszcze chwila i na Kuryłówkę posypały się pociski z moździerzy tak silne, że cała wieś zatrzęsła się w posadach. „Pętla ruskich zacisnęła się na Kuryłówce, [...] zrobiło się gorąco, za plecami płonęła wieś, pękały granaty, przed nami seria z broni maszynowej i ryk ruskich idących do ataku. »Bagnet na broń!« – poleciało po okopach. – »Ura! Ura!« usłyszałem przez jazgot strzałów – relacjonuje uczestnik walk Aleksander Pityński „Kula" – »Przygotować granaty, przygotować się do kontrataku« – słyszę z tyłu głos »Wołyniaka« galopującego wzdłuż naszej linii na swym rybiookim Siwku. Seriami z broni maszynowej przeczesaliśmy ich dobrze".

Sowieci parli jednak niepowstrzymanie i już, już przebijali się do wsi, gdy nagle na ich tyłach, gdzieś od strony Dąbrowicy Małej, błysnęła na niebie zielona rakieta. To znak od naszych nadciągających posiłków. „»Hurra! Hurra!« poszło po wszystkich liniach otaczających Kuryłówkę. Kilkadziesiąt koni śmignęło nad okopem i szło szarżą jak wicher w kierunku Sanu, odcinając ruskim drogę do rzeki. Wyskoczyliśmy z okopów bezładnie pędząc przed siebie, bijąc z erkaemów, wśród wybuchu granatów, świstu kul parliśmy do przodu" – odtwarza przebieg bitwy Pityński. Jeszcze chwila i brano Sowietów na bagnety. Leśni ludzie zadali im druzgocącą klęskę – po ich stronie było co najmniej siedemdziesięciu zabitych, a po naszej zaledwie pięciu.

I choć strzały ucichły, nad Kuryłówką wciąż unosił się zapach prochu i swąd spalenizny. Wśród rannych znalazła się dwudziestoletnia Stefania Krupa, sanitariuszka rażona z pepeszy pod koniec bitwy. Kula rozdarła jej lewą nogę i uszkodziła kość. Stefania zagryzała wargi, gdy bezpośrednio na ranę lano jej roztwór kalihipermanganikum, stary, niezawodny środek odkażający. Nie czuła się gotowa na śmierć i nie chciała umierać... Do konspiracji dostała się za sprawą swego brata Michała Krupy i w 1943 roku złożyła przysięgę w tajnej kwaterze Narodowej Organizacji Wojskowej, nosząc odtąd pseudonim „Perełka". Przydzielono ją do partyzanckiej placówki w Kuryłówce, gdzie poznała swoją przyjaciółkę Jankę Oleśkiewicz. Po tragicznych wypadkach we wsi Graba, kiedy to Niemcy zorganizowali obławę na weselników, „spaleni" konspiratorzy musieli poukrywać się po lasach. „Perełka" dołączyła wówczas do oddziału „Wołyniaka", w którym służył Michał, i wbrew jego obawom sprawdziła się doskonale jako łączniczka i sanitariuszka. Często wyprawiano ją na stację kolejową do Leżajska, skąd przyprowadzała do oddziału przybyłych w te strony oficerów i kurierów podziemnej armii. Jak mało kto znała lasy janowskie, dobrze jeździła konno i rzucała nożem do celu. Nosiła się po męsku, zakładała wysokie buty z cholewami i ostrogami, a za pazuchę wetknięty miała zawsze swój niezawodny rewolwer Nagant, do tego bagnet i dwa granaty.

▶ Połączyła ich bitwa pod Kuryłówką

Teraz zaś „Perełka" zwijała się z bólu, drżała z zimna i czuła się samotna jak nigdy dotąd. Obok ciężko oddychał ranny partyzant trawiony gorączką i majaczący półprzytomnie. Był to Aleksander Pityński „Kula", który tak jak Stefania służył w oddziale „Wołyniaka", odpowiadając za broń i amunicję. Ten dzielny młodzieniec, który pod Kuryłówką rzucił się w pogoń za uciekającymi Sowietami, wpadł niespodziewanie na drugą linię nieprzyjacielską i okopane cekaemy. Rosyjskie kule rozorały mu kark i poharatały nogi, tak że dół jego płaszcza podziurawiony był jak sito.

Aleksander już na początku wojny, podczas wrześniowych bombardowań rodzinnego Ulanowa, stracił szesnastoletnią siostrę Józię, a nie mogąc spokojnie patrzeć na hitlerowskie okrucieństwa, w 1942 roku wstąpił do podziemia NOW. Służył w oddziale „Ojca Jana", gdzie kończył konspiracyjną podchorążówkę i brał udział w licznych walkach i potyczkach partyzanckich, m.in. w bitwie na Portowym Wzgórzu, podczas której, jak podaje Szymon Nowak, „jedynie dzięki determinacji [...] Bolesława Usowa »Konara« [...] udało się ocalić ludzi i wyjść z okrążenia, ratując nawet do trzech tysięcy partyzantów z innych grup". Gdy zaś ogłoszono demobilizację, „Kula" powrócił do domu w Ulanowie, ale w wyniku zdrady jednego ze współtowarzyszy, został aresztowany przez ubeków. Cudem tylko udało się mu zbiec z siedziby bezpieki. Jak zwykle gotów na najbardziej niebezpieczny wyczyn, nie mając nic do stracenia, wyskoczył z okna pierwszego piętra wprost na głowy strażników, którzy natychmiast otworzyli ogień. Kule jednak go nie dosięgły, a bezpieczną kryjówkę odnalazł w ulanowskim kościele. Ukrywał się tam tydzień, po czym przeprawił się przez San i dotarł do Kuryłówki, gdzie przystał do partyzantki „Wołyniaka".

Bitwa pod Kuryłówką na zawsze połączyła Stefanię i Aleksandra, zespalając ich młode, nieustraszone dusze w ten okrutny czas wojny, nienawiści i śmierci. Tę miłość, która umocniła ich duchowo, wyznali sobie w jarosławskim szpitalu, ukryci przed oczami świata w jakimś ciemnym schowku. Tam też przetrwali razem ubecki nalot spowodowany czyimś donosem. Wówczas to przetrząśnięto cały budynek i wylegitymowano każdego pacjenta, ale partyzantów „Wołyniaka" nie znaleziono. Na przekór wszystkiemu młodzi postanowili być razem, choć w nowej komunistycznej rzeczywistości czekał ich los „wyklętych".

Pewnej mroźnej styczniowej nocy 1946 roku, na skraju zagubionej gdzieś we wschodniej Polsce wioski dało się słyszeć miarowe uderzenia setek butów na le-

eprasa.pl 475b32102c

śnej drodze – „ciemny szereg kroczących postaci odcinał się na białym tle, a starannie naoliwione lufy pistoletów i karabinów odbijały promienie księżyca". To oddział wojska wyszedł z lasu i maszerował prosto do tarnowskiego kościoła, bowiem w tej to świątyni Stefania i Aleksander przysięgali sobie przed Bogiem wierność i dozgonną miłość.

Ramię w ramię z „Wołyniakiem"

Po ślubie trwali nadal wiernie u boku „Wołyniaka", wiodąc życie leśnych ludzi zmuszonych ciągle kryć się w zimnych obozowych ziemiankach, nierzadko skazanych na głód, choroby i wszy. Z każdym dniem jednak coraz silniej zaciskał się wokół nich pierścień nowej władzy, której głównym celem było zlikwidowanie polskiego podziemia. W związku z narastającą falą aresztowań w partyzanckie szeregi wkradało się powoli zwątpienie, upadał duch walki i wiara w sens dalszych działań zbrojnych. Wielu załamanych i wyczerpanych psychicznie ludzi opuszczało leśne oddziały, wyjeżdżając na Ziemie Odzyskane bądź powracając do rodzinnych domów. W drugiej połowie 1946 roku, jak podaje Szymon Nowak, oddział „Wołyniaka" walczył jedynie o przetrwanie, nie podejmując żadnych akcji ofensywnych. Przy dowódcy pozostała tylko garstka najwierniejszych współtowarzyszy, ostatnich niezłomnych, a wśród nich „Kula", „Perełka" i „Wierzba". W październiku siły komunistyczne zaatakowały partyzancki obóz ukryty w lasach niedaleko Brzyskiej Woli, a w listopadzie, podczas obławy, „Wołyniaka" postrzelono w rękę. Choć „Perełka" opatrzyła mu ranę jak najstaranniej, wdała się gangrena. Na domiar złego dowódca nie był wówczas w dobrej kondycji psychicznej, 28 grudnia aresztowano jego narzeczoną, Krystynę Świętniowską, a wkrótce potem bezpieka dopadła jej ojca, kierownika szkoły w Brzyskiej Woli.

W grudniu 1946 roku trzymał siarczysty mróz. Oddziały ścigane przez wroga brnęły przez głębokie śnieżne zaspy, posuwając się z trudem do Szegd, małej miejscowości zakopanej wśród nieprzebytych lasów. Tam „Wołyniak" zarządził krótki postój, zdając sobie sprawę, że jego wycieńczeni do granic ludzie nie są w stanie iść dalej. Sam czuł się fatalnie, trawiła go gorączka, był u kresu wytrzymałości psychicznej. Wyszedł z chałupy i zbliżając się do studni, wyciągnął swojego niezawodnego vista. Widząc, na co się zanosi, Michał Krupa doskoczył do dowódcy... ale było już za późno. „Wołyniak" okazał się szybszy, strzelił sobie w otwarte usta. Jego agonia trwała kilka godzin. Po tym jak targnął się na swe życie, zrozpaczeni podkomendni wymaszerowali z Szegd, gdzie nazajutrz wkroczyły podążające ich śladem siły UB i KBW.

Po samobójczej śmierci „Wołyniaka" brat „Perełki" pozostał w partyzantce, natomiast Aleksander Pityński z żoną postanowili powrócić do normalnego życia, tym bardziej, że pewnej marcowej nocy 1947 roku przyszedł na świat ich synek Andrzej. Toteż kiedy komunistyczny rząd ogłosił wielką amnestię, wzywając żołnierzy polskiego podziemia do ujawnienia się, „Kula", mając na względzie dobro swej rodziny, postanowił zgłosić się do Urzędu Bezpieczeństwa. Wiedział dobrze, że i tak prędzej czy później władze ludowe się o niego upomną. Gdy cały i zdrowy powrócił z przesłuchania, „Perełka" odetchnęła, ale w głębi duszy wciąż obawiała się prowokacji. Intuicja jej nie zawiodła. Tydzień potem, na rynku Ulanowa Aleksander zaatakowany został przez ubeka, który wyciągając radziecki pistolet, krzyknął w jego stronę: „Ręce do góry, ty bandyto!". „Kula" niewiele się zastanawiając, doskoczył do napastnika, wyrwał mu broń z rąk i z całych sił uderzył nią w jego głowę. Ten padł nieprzytomny, a Olek rzucił się do ucieczki... Wprawdzie udało mu się zbiec przed pogonią, ale niebawem zdołano go skutecznie wywabić z kryjówki, strasząc represjami wobec jego najbliższych. Dawny partyzant „Wołyniaka" nie miał więc wyjścia i zgłosił się na posterunek MO w Ulanowie, tam skuto go i przewieziono do siedziby UB w Nisku, gdzie z rozkazu funkcjonariusza Romana Krawczyńskiego był bezlitośnie katowany, „bity pałkami i trzymany w lodowatej wodzie". Po sześciu miesiącach śledztwa przeniesiony został do więzienia na zamku w Rzeszowie, a w czasie transportu pijani ubecy zgotowali mu prawdziwe katusze, pozorując jego egzekucję. Mimo że po czterech miesiącach został wypuszczony na wolność, dramat rodziny Pityńskich trwał dalej. Niespodziewane rewizje, naloty i zatrzymania stały się jej codziennością, tym bardziej, że usilnie poszukiwano brata „Perełki", Michała Krupy, który wciąż jeszcze działał w partyzantce. Świadkiem i uczestnikiem tych dantejskich scen był mały Andrzej, którego w Polsce Ludowej traktowano z całą bezwzględnością jako „dziecko bandytów z NOW-AK, wyrzuconych na margines »komunistycznej cywilizacji«". Ciężko przeżywał brutalne rewizje, podczas których rwano podłogi, rozebrano nawet kaflowy piec. Jedną z takich akcji zapamiętał na zawsze. „W nocy o 4 godzinie nad ranem – wspominał – wyłamali drzwi, wpadli do mieszkania z pepeszami [...], wywlekli nas w piżamach na boso, na zaśnieżone podwórko. Cały dom był obstawiony przez UB, MO, ORMO [...]. Stałem z dziadziem boso w śniegu na środku podwórka, mama z cicha szlochała, po dziadzia milczącej twarzy płynęły łzy, a ja z bólu płakać nie mogłem, jak zobaczyłem mojego ojca tylko

eprasa.pl 475b32102c

w kalesonach, półnagi, bosy, ze skutymi do tyłu rękoma, z zaciśniętymi pięściami, bity przez sześciu UB-owskich zbirów pałkami, kolbami pepesz, po głowie, po całym ciele, krew bryzgała na wszystkie strony, białe kalesony były czerwone, i śnieg był już nie biały, ale czerwony. Księżyc był w pełni i widno było jak w dzień. Na koniec wrzucili sponiewieranego, całego we krwi tatę do milicyjnej suki i długo go nie widziałem. Potem rano zbierałem z dziadziem zakrzepłą krew mojego ojca ze śniegu do słoika i wtedy po raz ostatni w moim życiu płakałem".

▶ Słupy milowe w historii narodu

Małżeństwu Pityńskich, tak dzielnie walczących o Niepodległą, dane było doczekać czasów prawdziwej wolności. Za zasługi dla ojczyzny Aleksander i Stefania odznaczeni zostali Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem „Burza" i Medalem Wojska. Ponadto „Kula" otrzymał stopień porucznika Wojska Polskiego, a „Perełka" – podporucznika. Dziedzicem patriotycznych tradycji wyznawanych przez małżonków stał się ich syn Andrzej – „partyzanckie dziecko Żołnierzy Wyklętych". Jego przeznaczeniem było zostać znanym w świecie i cenionym artystą, którego sztuka żywi się miłością do Polski i wyrasta z ducha jej dramatycznych dziejów.

Władze komunistyczne czyhały i na tego chłopca, chcąc go upodlić i zniszczyć psychicznie. W tym celu w grudniu 1967 roku organy bezpieki i ORMO przygotowały specjalną prowokację w Ulanowie. Kilku podpitych ormowców rzuciło się na starego Pityńskiego, a inni dali znać Andrzejowi, że jego ojcu grozi niebezpieczeństwo. Chłopak od razu ruszył mu na ratunek, szybko rozprawił się z czterema napastnikami, ale do bójki włączyli się kolejni prowokatorzy. Miesiąc po tych wydarzeniach odbył się pokazowy proces z Andrzejem w roli oskarżonego. Na salę rozpraw siłą spędzano mieszkańców całego miasteczka, a Pityńskiego skutego kajdankami wprowadził uzbrojony milicjant. Nie skazano go wprawdzie na więzienie, ale na oczach wszystkich ten potomek żołnierzy wyklętych został napiętnowany przez władzę jako „bandyta" i „chuligan". Nie miał czego szukać w Ulanowie, wyruszył więc do Krakowa, by tam odkryć swe prawdziwe powołanie. Jego wielką miłością stało się rzeźbiarstwo, którego arkana zgłębiał pod okiem profesora Jerzego Bandury w Akademii Sztuk Pięknych. Potem swoich sił próbował w Stanach Zjednoczonych, gdzie jako artysta-rzeźbiarz realizował własne twórcze wizje, które przywrócić miały światu pamięć o polskich losach, o naszej wielkiej historii, często przekłamanej i przemilczanej. O swoim artystycznym posłannictwie mówił: „Pozostała mi walka o prawdę i honor polskiego narodu, a moją bronią jest moja sztuka". Jego niezwykłe, monumentalne rzeźby, takie jak „Partyzanci I" w Bostonie, „Mściciel" w Doylestown, „Katyń 1940" w Jersey City, „Armia Błękitna" w Warszawie, „Partyzanci II" w Hamilton, „Patriota" w Stalowej Woli – stanowią wcielenie ducha polskiego narodu, jego bohaterstwa, godności i tej wielkiej siły wewnętrznej, która pozwalała przetrwać i zwyciężyć. Pityński jest twórcą pierwszego w świecie pomnika poświęconego Żołnierzom Wyklętym – „Partyzanci I" (1979). Ten bostoński monument inspirowany był własnymi przeżyciami artysty, który jako jedenastoletni chłopiec, zimą 1958 roku, wymykał się z ojcem potajemnie do oddziału wuja Michała Krupy, by dostarczyć mu zaopatrzenie i lekarstwa. „Kiedy jechaliśmy strzemię przy strzemieniu [...] – wspominał – godzinami wpatrywałem się w tę poruszającą się masę końskich nóg, szyi, głów, sylwetek w siodłach z erkaemami sterczących luf zawieszonymi na ramionach, z granatami przy pasach, z bagnetami w cholewach kawaleryjskich butów, w wydłużone przez słońce sylwetki cieni jeźdźców, partyzantów, ostatnich polskich bohaterów. I wtedy poczułem się jednym z nich".

Te wysnute ze wspomnień dzieciństwa obrazy przekute zostały w wiecznie żywe spiżowe bryły. Dzieło Pityńskiego „Partyzanci I" przedstawia pięciu nieulękłych jeźdźców – „Wołyniaka", „Wierzbę", „Majkę", „Garbatego" i „Kulę" jako wiecznych bojowników o wolność. Widzimy ich ze spuszczonymi głowami, jakby bez nadziei na lepsze życie. „Jadą strzemię w strzemię ku swemu tragicznemu przeznaczeniu" – zgłębia istotę rzeźby Szymon Nowak – „niewidome ze zmęczenia konie łapią chrapami woń lasu i wyczuwają, jak wilki, kierunek drogi. Nad szykiem niezłomnych wojowników w kierunku nieba sterczą lufy karabinów, jak kopie średniowiecznych rycerzy albo maszty niezwyciężonych okrętów". Powstały z kolei w Hamilton pomnik Pityńskiego „Partyzanci II" tym różni się od pierwowzoru, że polscy jeźdźcy nie mają już spuszczonych głów, lecz „patrzą hardo i dumnie w oczy swej przyszłości, naznaczonej często śmiercią". Andrzej Pityński traktuje sztukę jako życiową misję służenia swojemu narodowi, bo jak wyznaje: „Pomniki monumentalne to słupy milowe w historii narodu, nie pozwalają innym systemom i filozofiom zniszczyć waloru i rdzenia kultury narodowej. Pomniki milczą, lecz uczą przez wieki i pokazują następnym pokoleniom, kim jesteśmy, skąd przyszliśmy i dokąd idziemy". ■

_____

Sz. Nowak, „Dziewczyny wyklęte", Warszawa 2015; „Ostatni Komendanci, ostatni żołnierze 1951–1963", wyd. 2. uzupełnione, Warszawa 2016.

eprasa.pl 475b32102c

Piotr Lisiewicz

O drugie »nie«!" – ten artykuł Zygmunta Nowakowskiego, opublikowany 6 lutego 1944 roku w londyńskich „Wiadomościach Polskich", zaliczyć należy do klasyki polskiej publicystyki, którą powinien znać każdy czytający Polak. To po jego publikacji władze brytyjskie wstrzymały „Wiadomościom Polskim, Politycznym i Literackim" (tak brzmiała ówczesna pełna nazwa pisma) przydział papieru, co było równoznaczne z zamknięciem pisma. Uznały bowiem, że ono – wielokrotnie oprotestowane przez sowiecką ambasadę – niebezpiecznie godzi w sojusz Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego.

Zygmunt Nowakowski pisał w swoim artykule o polskiej niezgodzie na zmianę granic w Europie Środkowo-Wschodniej, oznaczającej zagrabienie ziem kilku państw przez Związek Sowiecki. „Słońce zatrzymałoby się na linii Curzona" – padły historyczne słowa. Nowakowski stwierdzał proroczo, że byłoby to coś więcej niż tylko zmiana granic państw – przesunięcie granic demokracji, Europy i „początek wielkiego pochodu ciemności ze wschodu na zachód". To siła tych słów spowodowała, że Winston Churchill zdecydował o zamknięciu „Wiadomości". Ich wydawanie wznowione zostało w 1946 roku, czyli wtedy, kiedy było już po ptakach...

Zygmunt Nowakowski

O drugie „nie!"

Dzisiaj wszelkie próby nacisku, byśmy zgodzili się na jakąś linię Curzona–Ribbentropa–Mołotowa, oznaczają przesunięcie granic demokracji i Europy o setki mil na zachód, a w dalszej konsekwencji zagładę zupełną demokracji, viribus unitis, przez Rosję i Niemcy. Razem z demokracją skurczyłaby się Europa o blisko dwieście tysięcy kilometrów kwadratowych, należących do Polski, o terytoria trzech państw bałtyckich, może także o całą Finlandię. Słońce zatrzymałoby się na linii Curzona i ani jeden jego dobroczynny promień nie mógłby jej przekroczyć. Oczywiście, linia Curzona stanowiłaby początek wielkiego pochodu ciemności ze wschodu na zachód.

Słowo „nie!" z dn. 28 kwietnia 1939 r. było głośne i zdecydowane. W dniu tym nie wiedzieliśmy co prawda, że pomoc naszych sprzymierzeńców będzie na razie raczej teoretyczna oraz że ze wschodu spadnie zdradziecki cios, wiedzieliśmy jednak, że Niemcy są potęgą, przerastającą wielokrotnie nasze możliwości obronne. Szło im rzekomo tylko o kawałek Polski, ale było rzeczą wiadomą, że w grę wchodzi cała Polska, cała Europa, jeżeli nawet nie świat. I właśnie z naszej strony padło słowo „nie!". Było ono tragiczne w samem założeniu, ale było równocześnie wielkie.

▶ Kto poszedłby w ślady Hachy, przestałby żyć

Czy musieliśmy powiedzieć „nie!"? Na pewno. Dzisiaj trafiają się od czasu do czasu teoretyczne rozważania na temat, co by było, gdyby Polska uległa żądaniom niemieckim, wniosek zaś z tych rozważań mówi, że w każdym razie zniszczenie biologiczne naszego narodu przybrałoby formy znacznie mniejsze, że uratowany byłby w szczątkowej bodaj formie nasz stan posiadania, nasza kultura i inne wartości. Lecz, na przekór pewnej logice takiego wnioskowania, jest ono teorią pozbawioną wszelkiego realnego podłoża. „Nie!" było koniecznością, było imperatywem kategorycznym. Rząd polski, który ośmieliłby się pójść w ślady Hachy, nie byłby rządem ani przez jedną minutę. Przestałby żyć w okamgnieniu. Ministra, który ośmieliłby się powiedzieć „tak", rozszarpano by w sztuki. Ale i takie rozważanie jest wyłącznie teorią. Nie było i nie mogło być ministra polskiego, który by wziął na siebie ciężar odpowiedzialności za słowo „tak".

Europa i świat patrzyły wtedy na Polskę, tak samo jak na nią patrzą dzisiaj. I wtedy, i teraz od stanowiska Polski zależy przyszłość Europy. Jeśli prasa brytyjska uparła się i nasze wschodnie granice nazywa granicami z r. 1939, możemy zgodzić się na ten termin,

eprasa.pl 475b32102c

ale pod jednym warunkiem: że będziemy mówili o granicach nie tylko polskich, lecz o granicach demokracji z r. 1939. Albo że będziemy mówili o „dawnych granicach demokracji" na wschodzie Europy. W r. 1939 kończyły się one dokładnie na linii traktatu ryskiego. Dzisiaj wszelkie próby nacisku, byśmy zgodzili się na jakąś linię Curzona–Ribbentropa–Mołotowa, oznaczają przesunięcie granic demokracji i Europy o setki mil na zachód, a w dalszej konsekwencji zagładę zupełną demokracji, viribus unitis, przez Rosję i Niemcy. Razem z demokracją skurczyłaby się Europa o blisko dwieście tysięcy kilometrów kwadratowych, należących do Polski, o terytoria trzech państw bałtyckich, może także o całą Finlandię. Słońce zatrzymałoby się na linii Curzona i ani jeden jego dobroczynny promień nie mógłby jej przekroczyć.

▶ Początek wielkiego pochodu ciemności

Oczywiście, linia Curzona stanowiłaby początek wielkiego pochodu ciemności ze wschodu na zachód. Linia Curzona jest fikcją, powstałą w głowie dyletanta, ciemność, idąca ze wschodu, jest siłą rzeczywistą, złowrogą i taką, która gdy raz ruszy w pochód, nierychło się zatrzyma. Siła jest iloczynem z masy ciała, pomnożonej przez przyśpieszenie. Masa ciała w tym wypadku jest olbrzymia, przyśpieszenie, jakiego skutki obserwujemy na zanikaniu całych narodów w masie rosyjskiej, także jest niemałe. Obecnie ten sam proces stać się ma udziałem Europy Wschodniej, Środkowej, Bałkanów itd. itd. W grę wchodzi nie tylko Polska, ale wolność, ale demokracja, ale, po prostu i krótko powiedziawszy, ludzkość, która – wyzwolona z jarzma niemieckiego – będzie chciała odetchnąć pełnią swobody.

Sprawa polska nie jest sprawą, którą by można było przeskoczyć albo obejść. Leży ona na samym środku drogi. Jest kamieniem probierczym, o który zawadzi ta wojna i jej cele. Polska stała się dzisiaj jeszcze bardziej niż w chwili wybuchu wojny, punktem centralnym całego zagadnienia. Od naszego „tak" czy od naszego „nie" zależy niezmiernie wiele rzeczy, przede wszystkim dawne wschodnie granice demokracji, pokrywające się dokładnie z granicami traktatu ryskiego. O tym zdają się nie wiedzieć albo też wiedzieć nie chcą niektórzy nasi sprzymierzeńcy. To ich sprawa. Widząc np. na ekranie tzw. dywizję kościuszkowską, skłonni są oni wierzyć bez zmrużenia oka, że ci żołnierze „polscy" dobrowolnie i z zapałem walczą ramię w ramię z Rosją, by tejże Rosji pomóc w oderwaniu jednej połowy Polski, a w narzuceniu drugiej połowie rządów sowieckich. My w takie rzeczy nie wierzymy. Oraz nie wierzy w to Europa, dla której linia Curzona nie jest kanałem La Manche.

▶ Żadnego owijania w bawełnę!

Czuliśmy grozę, gdy w kwietniu 1939 r. padło słowo „nie", ale równocześnie czuliśmy tchnienie wielkości. My pierwsi powiedzieliśmy „nie". To samo tchnienie wielkości uderza nas dzisiaj swym skrzydłem. Rząd polski ma do odegrania ogromną rolę, wychodzącą poza ramy sprawy polskiej. Narody Europy spoglądają na Polskę, czekając z jej strony ponownego „nie". Od naszej postawy zależy więcej, niżby się nam, a szczególnie naszym sprzymierzeńcom zdawać mogło. Po raz drugi w ciągu niespełna pięciu lat jesteśmy czynnikiem o wadze ogromnej. Jeśli wytrzymamy nacisk, wygra na tym nie tylko sprawa polska. O tym wiedzą państwa bałtyckie i o tym wie Europa Południowo-Wschodnia. Na Węgrzech i w Finlandii, jak piszą neutralni korespondenci, do niedawna panowały nastroje, idące w kierunku poddania się bez zastrzeżeń sprzymierzonym, lecz postawa Rosji wobec Polski przytłumiła je, zwłaszcza gdy Rosja nie tylko odrzuciła propozycję mediacji amerykańskiej, ale zażądała zmiany rządu polskiego. Żądanie to musi większość krajów europejskich traktować jako zapowiedź skomunizowania Europy, na razie co najmniej Środkowo-Wschodniej.

Konflikt polsko-sowiecki obserwuje Turcja z wielką uwagą, jak obserwuje go czynnik, który do niedawna Polski nie dostrzegał, obecnie zaś musiał zająć pozytywne stanowisko wobec jej słusznych praw. „L'Osservatore Romano" z dn. 18 stycznia określa linię Curzona jako niesprawiedliwą, widząc w granicach ryskich jedyne rozsądne rozstrzygnięcie sąsiedzkich stosunków obu państw. Warto zwrócić uwagę na fakt, że Watykan występuje z tym zdaniem w czasie, gdy Moskwa urządziła komedię przywrócenia swobód religijnych. Kościół anglikański po jednej wycieczce biskupów do Rosji ochłódł szybko w zapałach, Rzym zaś z właściwą sobie przenikliwością dostrzegł ogólne, paneuropejskie konsekwencje linii Curzona.

Chwila na słowo „nie!" jest najbardziej właściwa i stosowna. Europa czeka na to słowo, które jednak musi być powiedziane dostatecznie głośno i wyraźnie. Musi ono brzmieć donośnie. Żadnych niedomówień, żadnego owijania w bawełnę! Musi ono być powiedziane tak samo, jak je powiedziano dn. 28 kwietnia 1939 r., gdy rząd polski podkreślił ścisły związek, jaki zachodzi między tym słowem a honorem narodu, mówiąc, że nie ma ceny, za którą można honor sprzedać. Pod tym względem sytuacja nasza nie zmieniła się i nie mogła zmienić, drugie zaś

eprasa.pl 475b32102c

„nie!" stanowi tylko logiczne i historyczne pendant pierwszego.

▶ Zaczęto racjonować nawet noworoczne frazesy...

Rzekomo groźnych skutków naszej odmowy nie potrzebujemy się obawiać. Jeśli idzie o ludzi w Kraju, los ich na wypadek nie propagandowego, lecz nawet prawdziwego przekroczenia granicy polskiej przez armię czerwoną, nie dozna najmniejszej zmiany. Choćby znalazł się jakiś rząd polski, który by hurtem przyjął rozkazy moskiewskie, stosunek Sowietów do tych Polaków, jakich jeszcze zastaną, będzie identycznie taki sam, jak w r. 1939, gdy odrzuciwszy propozycje niemieckie współudziału w ataku na Rosję, Polska stała się łupem i Niemiec, i Rosji, prześcigających się nawzajem w dążeniu do eksterminacji narodu polskiego, do zniszczenia wszelkich jego dóbr materialnych i duchowych. Argument, jakoby w drodze ustępstw terytorialnych można było uchronić inteligencję polską od zagłady, od zesłania, od Sybiru, Kazachstanu czy Semipałatyńska, jest pozbawiony wszelkiej podstawy. Czy inteligent, czy chłop, czy robotnik, czeka ich jednakowy los.

Czyli pod tym względem nie ryzykujemy nic, absolutnie nic, mówiąc „nie!". Identycznie wygląda sprawa, jeśli idzie o reakcję sprzymierzeńców. Usłyszawszy raz konkretne twarde i stanowcze „non possumus", prawdopodobnie będą niezadowoleni, ale zaczną nas szanować. To więcej znaczy niż pochwała, wyrażająca się w określeniu, że jesteśmy „statesmanlike", ponieważ okazujemy skłonność do ustępstw (które w rezultacie nikomu by nie przyniosły korzyści). Otóż, nie okazujemy najmniejszej skłonności do ustępstw, jeśli zaś dzięki temu powie o nas ktokolwiek, że nie jesteśmy „statesmanlike", nie pogniewamy się bynajmniej. Ale nie damy się zafukać, zakrzyczeć czy zastraszyć, zwłaszcza że trzeźwy bilans naszych wzajemnych stosunków musi wykazać jak dotychczas plusy po stronie Polski, minusy po stronie sojuszników. Pomoc sprzymierzonych, udzielana sprawie polskiej, była do pewnego czasu poważna, choć ograniczona wyłącznie do ram politycznych. Dziś nie mamy z ich strony i tej pomocy. Nawet dobre słowo, które przecież kosztuje stosunkowo tak niewiele, nawet frazesy noworoczne, zaczęto racjonować, jeśli idzie o Polskę.

▶ Bardzo wiele daliśmy do wspólnej puli

Nie mówię tu o cenie najwyższej, jaką płaci Polska, więc o cenie krwi polskiego lotnika, marynarza czy żołnierza, którego pierwsze oddziały już zdobyły pewne sukcesy i rozkazy pochwalne we Włoszech. Nie pierwszyzna to dla żołnierza polskiego iść z ziemi włoskiej do polskiej. Żołnierz nasz, ramię w ramię z armią brytyjską i amerykańską, pójdzie bić się, pójdzie do piekła, jednak musi wiedzieć, o co walczy. Jesteśmy pierwszymi i najwierniejszymi sprzymierzeńcami Wielkiej Brytanii, ale wierność, choćby najdalej idąca, nie może być identyczna ze ślepotą, lub, co gorsza, z głupotą.

Daliśmy, my – biedacy, bardzo wiele do wspólnej puli, daliśmy przede wszystkim kapitał moralny. Dziś, gdy straszliwe niebezpieczeństwo zagraża wolności, demokracji, kulturze zachodniej, my dodajemy jeszcze jedną, olbrzymią wartość: nasze „nie!".

Odpowiadamy tym słowem na wszystkie propozycje czy rozkazy, dotyczące całości Rzeczypospolitej albo związane z suwerennością państwa polskiego, i jesteśmy przekonani, że dobrze, po raz drugi w ciągu niespełna pięciu lat, zasłużymy się ludzkości. ■

CHWILA NA SŁOWO „NIE!" JEST NAJBARDZIEJ WŁAŚCIWA I STOSOWNA. MUSI ONO BYĆ POWIEDZIANE TAK SAMO, JAK JE POWIEDZIANO DN. 28 KWIETNIA 1939 R., GDY RZĄD POLSKI PODKREŚLIŁ ŚCISŁY ZWIĄZEK, JAKI ZACHODZI MIĘDZY TYM SŁOWEM A HONOREM NARODU, MÓWIĄC, ŻE NIE MA CENY, ZA KTÓRĄ MOŻNA HONOR SPRZEDAĆ.

_____

Przedruk za: „Wiadomości", Londyn, 24 lipca 1955, Rok 10, Nr 30 (486).
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 475b32102c

Natalia Ostrowska
dziennikarz TV Republika i Polskiego Radia 24, ekspert RG SWS

Nie chcemy taniego państwa

Sprawnie działające państwo powinno wyglądać jak dobrze prosperująca firma. A w każdej takiej firmie osoby odpowiedzialne za jej sukces są odpowiednio wynagradzane.

Podczas wyborów politycznych decydujemy tak naprawdę o losie naszych wspólnych interesów. Jako wyborcy stajemy w roli pracodawców – wybrane przez nas osoby mają jak najlepiej dbać o nas i nasz narodowy majatek. Powierzenie tak ważnej i odpowiedzialnej funkcji powinno wiązać się z odpowiednim wynagrodzeniem. Żeby państwo mogło się rozwijać, musi spełniać kryterium najwyższej jakości. A tę trzeba osiągnąć przez dobry wkład, czyli właściwie przygotowane osoby na odpowiednich stanowiskach. Specjalista w danej dziedzinie znający swoją wartość zażąda odpowiedniej opłaty. To powszechne i pozytywne zjawisko.

Premier i prezydent – to najważniejsze osoby w państwie, ich zarobki oscylują dzisiaj w granicach poniżej 20 tys. złotych. Dla przykładu pracownik branży budowlanej zarabia obecnie około 5 tys. złotych, czyli tylko czterokrotnie mniej. Absolutnie nie można ujmować wagi czyjejś pracy, ale ignorancją byłoby nie zauważyć, że prezydent i premier państwa to osoby odpowiedzialne za prawie całe otoczenie, w którym żyjemy. Kwota 20 tys. złotych jest dla wielu osób bardzo wysoka i często nieosiągalna. Ale spójrzmy na odpowiedzialność, jaka spoczywa na najważniejszych osobach w państwie. To ich działania wpływają pośrednio również na nasze miejsca pracy, zarobki i emerytury. A także szereg innych, kluczowych dla każdego obywatela decyzji. Czy w tym wypadku taka kwota nie wydaje się niewystarczająca?

Kolejnym paradoksem jest to, że minister odpowiedzialny i nadzorujący spółki Skarbu Państwa zarabia nawet dziesięciokrotnie mniej niż prezesi tych spółek. A przecież to prezesi spółek są mu podlegli! W każdej dobrze prosperującej firmie to szef zarabia więcej od podległych mu pracowników. Jest to więc kolejny przykład na to, że państwo nie funkcjonuje tu jak sprawne, dobrze zarządzane przedsiębiorstwo.

Receptą na taki stan rzeczy powinno być postawienie na jakość, a nie na ilość. Według GUS z roku na rok zwiększa się liczba urzędników. Niestety absolutnie nie idzie to w parze z jakością. Jaki jest więc sens mnożenia etatów, zamiast zatrudnienia mniej, ale jakościowo lepszych specjalistów, którym można by godziwiej zapłacić? Rozdrabnianie płac, aby zwiększyć ilość, nigdy nie będzie szło w parze z jakością.

Aby wprowadzać zmiany, należy jednak zacząć od uświadamiania społeczeństwa. Trzeba zrozumieć, że dobrze działające, sprawne państwo ma posiadać ludzi potrafiących dobrze zarządzać. A ci muszą być odpowiednio wynagradzani. Porównując zarobki przedstawicieli rządu RP i na przykład Niemiec, do portfela naszych polityków trafia około trzech razy mniej pieniędzy. Podobną sytuację zauważymy, porównując nasze i naszych sąsiadów wynagrodzenia – my zarabiamy po prostu mniej. Z kolei pensje premiera Rumunii i Bułgarii są około 2,5 razy niższe niż naszych polityków. Wynagrodzenia obywateli przywołanych państw również nie wyglądają zachęcająco. Czy chcemy takiego „taniego państwa"? Rynek pracownika, z którym mamy obecnie do czynienia, sprawia, że małymi krokami doganiamy zachodnich sąsiadów. Musimy jednak pamiętać o tym, że powolne bogacenie się będzie odczuwalne na każdej płaszczyźnie. Jest to niezbędny element do budowania bogatego państwa.

Oczywiście wielu ludzi powie: przecież do polityki nie idzie się dla pieniędzy. Ale w takim wypadku moglibyśmy w ogóle nie płacić politykom, a do polityki przyjmować tylko osoby bardzo zamożne. System taki mógłby zadziałać, ale tylko wtedy, gdybyśmy byli bardzo bogatym państwem, które dysponowałoby odpowiednią ilością takich osób. Póki tak nie jest – po prostu nie stać nas na bycie tanim państwem. ■

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 475b32102c

Krzysztof Karnkowski

PRL PO REBRANDINGU

„1983" to thriller political-fiction, historia alternatywna rozgrywająca się w Polsce w... 2003 roku. W kraju rządzi partia komunistyczna, która po serii terrorystycznych zamachów, jakie miały miejsce 20 lat wcześniej, zbudowała ogólnonarodową zgodę na państwotwórczym micie wielkiej tragedii i pamięci ofiar, z błogosławieństwem Kościoła, które przekonało sceptyczny wcześniej naród, wierzący bardziej w Boga niż w partię. Analogie do Smoleńska są tu oczywiste, tandetne i naciągane.

FOT. KRZYSZTOF WIKTOR/NETFLIX

Netflix należy dziś z pewnością do najbardziej rozpoznawalnych światowych marek. Istniejąca od 1997 roku wypożyczalnia wideo, która poszła z duchem czasu i stopniowo przeniosła się do Sieci, zmieniła się w popularnego dostarczyciela i producenta filmów i seriali najpierw w Stanach, później praktycznie na całym świecie. Od 2016 roku również w Polsce. Choć niektórzy, nie bez mocnych podstaw, zarzucają wielu produkcjom Netfliksa mocne zideologizowanie, oczywiście w duchu poprawności politycznej, nie zmienia to faktu, że na ogół dostajemy dobrą jakość, ciekawe pomysły, liczne seriale firmowane tą marką stają się zaś popkulturowym fenomenem, jak choćby „House of cards", „Czarne lustro" czy „Stranger things". Wkraczając coraz śmielej na kolejne rynki, nadawca inwestuje również w rodzimych twórców, sięgając po wyprodukowane na miejscu filmy i seriale, przede wszystkim w krajach europejskich i w Azji.

Oliwy do ognia

Gdy Netflix jesienią 2017 roku zapowiedział produkcję pierwszego polskiego serialu, apetyty z pewnością były duże. Niestety pierwszy dzwonek ostrzegawczy zabrzmiał praktycznie równo z samą wiadomością. Osobą odpowiedzialną za projekt uczyniono bowiem Agnieszkę Holland, która mając swój udział w produkcji kilku popularnych w Stanach seriali, u nas kojarzy się ostatnio głównie z niefortunnymi wypowiedziami na tematy polityczne i zaangażowaniem w medialne wsparcie dla opozycji. Stąd też od razu pojawiły się obawy, że zapowiedziany serial będzie przede wszystkim dziełem propagandowym, w którym pod pretekstem przedstawienia alternatywnej historii Polski gruntownej krytyce poddana zostanie rzeczywistość kraju po wyborach w 2015 roku. W pewnym sensie tak się właśnie stało, choć na szczęście nie jest to jedyna część składowa „1983", jak zatytułowano pierwszy polski serial Netfliksa.

Na ekranach „1983" zagościło kilkanaście miesięcy po pierwszych zapowiedziach, spotykając się od razu z bardzo chłodnym odbiorem. Oliwy do ognia dolała sama Holland, obrażając krytyków jako rzekomych tępych fanów gier komputerowych. Co ważne, krytyka serialu nie odbywała się najczęściej z klucza politycznego, jak można by się spodziewać. Fatalne dialogi, przetłumaczone z angielskiego, pogodziły w kwestii sceptycyzmu praktycznie wszystkich. Ponoć serial lepiej wypada oglądany z angielskimi napisami. Wszystko przez to, że autorem scenariusza jest... Amerykanin. Ta międzynarodowa współpraca okazała się dla serialu brzemienna w skutki. Drewniane dialogi chwilami uniemożliwiają aktorom dobrą grę. Skutkuje to tym, że w kilku scenach trudno się zorientować, czy mamy do czynienia po prostu ze słabym poziomem gry aktorskiej, czy też autorzy chcieli nam coś przekazać, a nie wyszło. Weźmy na przykład rozmowę w opuszczonym ośrodku nad jeziorem. Jako widz nie jestem w stanie odgadnąć, czy kwestie aktorki były po prostu sztuczne, jak jej gra, czy też chodziło o to, by ukazać ją jako wariatkę. Podobnie z babcią głównego młodzieżowego bohatera. Stara wariatka czy tylko dobra aktorka (Ewa Błaszczyk) obciążona źle skonstruowanymi, raniącymi uszy sztucznością wypowiedziami? I tak dzieje się praktycznie z każdym, kto pojawia się na ekranie. Zauważono też sporo nieścisłości i zwykłej naiwności, która czyni serial nieskutecznym w warstwie propagandowej, której jednak nie sposób nie zauważyć.

Foto-story

„1983" to thriller political-fiction, historia alternatywna rozgrywająca się w Polsce w... 2003 roku. W kraju rządzi partia komunistyczna, która po serii terrorystycznych zamachów, jakie miały miejsce 20 lat wcześniej, zbudowała ogólnonarodową zgodę na państwotwórczym micie wielkiej tragedii i pamięci ofiar, z błogosławieństwem Kościoła, które przekonało sceptyczny wcześniej naród, wierzący bardziej w Boga niż w partię. Analogie do Smoleńska są tu oczywiste, tandetne i naciągane. W tej rzeczywistości funkcjonuje naiwny Kajetan (Maciej Musiał), sierota, wychowany przez partię, dziecko-symbol tragedii, znane wszystkim Polakom ze zdjęcia z trumną rodziców na łamach „Trybuny Ludu". Kajetan spotyka się z Karoliną (Zofia Wichłacz), córką partyjnego dygnitarza (Andrzej Chyra). Poznajemy go w dniu, w którym kończy studia prawnicze. Wieczorem świętuje ten fakt u swojego profesora, który w prezencie daje mu tajemnicze zdjęcie. Ginie kilka minut po rozstaniu ze swoim ulubionym studentem, ten zaś rusza tropem fotografii, na której znajdują się ważne figury dzisiejszej rzeczywistości, a obok nich kilka osób, które zginęły w tajemniczych okolicznościach. W rozwikłaniu tajemnicy pomagać będzie mu zgorzkniały policjant, komisarz Anatol Janów (Robert Więckiewicz), w tle pojawi się oczywiście bezwzględna bezpieka, wywiady kilku państw i tajna, zbrojna grupa młodych opozycjonistów, nazywająca się Lekką Brygadą. Fotografia okaże się kluczem do zrozumienia rzeczywistości 20 lat historii tej serialowej wersji Polski, kłamstw i zbrodni, na jakich ją zbudowano, oraz sytuacji samego Kajetana i jego przyszłego teścia.

Dużo szkła, mało duszy

Opozycja przypomina buntowników z amerykańskiej serii dla młodzieży, zwłaszcza gdy w otoczeniu nowoczesnej techniki próbuje prowadzić walkę z tajnej

eprasa.pl 475b32102c

kwatery w podziemiach zrujnowanego stadionu Skry. Bliżej im do Kramka niż Przemyka. Właściwie trudno ich lubić – wiemy o nich mało. Wyjątkiem jest przywódczyni, Effi, która jest bezwzględna i raczej niesympatyczna. To nie jest Katniss Everdeen z „Igrzysk śmierci". „Lekka Brygada" to dziwaczny miks dawnej opozycji – ni to punków (których jest w tle sporo, ale nie pcha to opowieści naprzód, może poza sceną żenującego koncertu punkowego, na którym słyszymy protest song z refrenem „Co za syf, co za syf, to, co widzę, nie podoba się mi", będącym też niezłym podsumowaniem tego wątku), ni to hipsterów. Młodzi buntownicy są też zaskakująco słabi pod względem ikonografii i haseł.

Pokazana w serialu dystopijna Polska roku 2003, przede wszystkim Warszawa, to ciekawe miejsce. Zdjęcia kręcono tu i teraz, i niespecjalnie próbuje się to ukryć. Bezpieka ma eleganckie, nowoczesne biura, tak samo jak milicja, i to nawet w „dzielnicy wschodniej", gdzie praca jest przecież zesłaniem dla głównego bohatera. Bardziej niż rok 1983 scenografia przypomina więc „Igrzyska śmierci", postamerykańskie Panem i jego stolicę, Kapitol. Dużo szkła, mało duszy. Instytucje totalitarnego państwa są po rebrandingu, mają nowoczesne logotypy, tylko metody działania pozostają te same. Po Warszawie jeździ metro, które pokazywane jest z perspektywy drugiej, nowocześniejszej wizualnie linii. Polska ma bombę atomową i „Traszkę", nowoczesną technologię będącą czymś pomiędzy Nokią a Facebookiem. Polak więc potrafi, narracja, że tylko liberalizm był drogą do modernizacji, otrzymuje bolesny cios. Stolica w sześćdziesiątym prawie roku komunizmu to to samo miasto, które widzimy w „Ślepnąc od świateł". Czasem dosłownie, bo powtarzają się ulice, a nawet wnętrza.

Bezpieka i milicja siedzą w modernistycznych i nowoczesnych wnętrzach, dzieciaki z opozycji bawią się w modnych klubach, archaiczni są za to żołnierze. Wojsko, które prowadzi tu własną, nie do końca jasną grę, przedstawiane jest jako siła patriotyczna, próbująca samodzielnych działań. Czy to echa przesądu lansowanego po cichu przez propagandę PRL, której ostatnim akordem są patrioci z rozmaitych „patriotycznych" stowarzyszeń betonu LWP? Czy wręcz przeciwnie, amerykański scenarzysta w ten sposób chciał jakoś odnieść się do postaci Ryszarda Kuklińskiego? Nie sposób jednoznacznie osądzić. Co jednak interesujące, a w żaden sposób niewyjaśnione, generałowie – w odróżnieniu od przedstawicieli innych służb mundurowych – są szalenie archaiczni. Zarówno ich stroje, jak i wnętrza, w których prowadzą swój spisek, są jak wyjęte z filmowych opowieści rozgrywających się dobre sto lat wcześniej, w czasach walk wyzwoleńczych narodów gnębionych przez słabnące chwilowo imperia. Układankę dopełniają przedstawiciele wywiadów (USA i Izraela) i Wietnamczycy. Tych w Warszawie jest pełno i właściwie nie wiadomo, czy jeszcze pomagają na swój sposób obu stronom konfliktu, czy już tak naprawdę wszystkim rządzą. Na pewno o wszystkim wiedzą, lecz ich motywacje, łącznie z intencjami, chcąc nie chcąc charakterystycznego „Wujka", lidera tej społeczności i handlarza bronią, są niejasne. Ich obecność wydaje się służyć subtelnej propagandzie proimigranckiej, Wietnamczycy chwalą gościnność Polaków i ich chrześcijańskie miłosierdzie, wtapiają się w polskie tło i asymilują. I karmią we Wschodniej Dzielnicy, wyglądającej jak typowa biedniejsza azjatycka dzielnica w każdym dużym mieście na świecie.

OPRÓCZ WARSTWY PROPAGANDOWEJ I DOŚĆ NAIWNEGO PRZEDSTAWIENIA POLSKIEJ ANTYUTOPII OCZAMI AMERYKANINA, JEST JEDNAK DOBRA SENSACYJNA STRONA SERIALU.

Oprócz warstwy propagandowej i tego dość naiwnego przedstawienia polskiej antyutopii oczami Amerykanina, jest jednak również sensacyjna strona serialu. Intryga, a częściowo również wizerunek bohaterów, zwłaszcza w dalszych odcinkach, oparte są na patentach znanych, sprawdzonych i pewnych. Tak więc zostaje nam historia opowiedziana całkiem sprawnie i wciągająca na tyle, by obejrzeć wszystkie odcinki i czekać na kolejne sezony, do których autorzy zostawili sobie bardzo wiele furtek. I choć „1983" przegrywa porównanie z produkcjami konkurencji, nie jest to rzecz tak zła, jak wynikałoby z pierwszej reakcji polskiego Internetu. Szkoda tylko, że może poza Więckiewiczem, którego postać też przecież służy, choć niechętnie, systemowi, nie ma tu za bardzo kogo polubić. Myślę też, że gdyby amerykańskiemu scenarzyście do pary dodano kogoś z polskich pisarzy, niezłych przecież w tworzeniu historii alternatywnych (pierwszy do głowy przychodzi mi Łukasz Orbitowski), wyszłoby to wszystkim na zdrowie. Może sukces serialu opartego na współczesnej polskiej powieści Jakuba Żulczyka „Ślepnąc od świateł" ośmieli innych producentów do takich zabiegów? ■

eprasa.pl 475b32102c

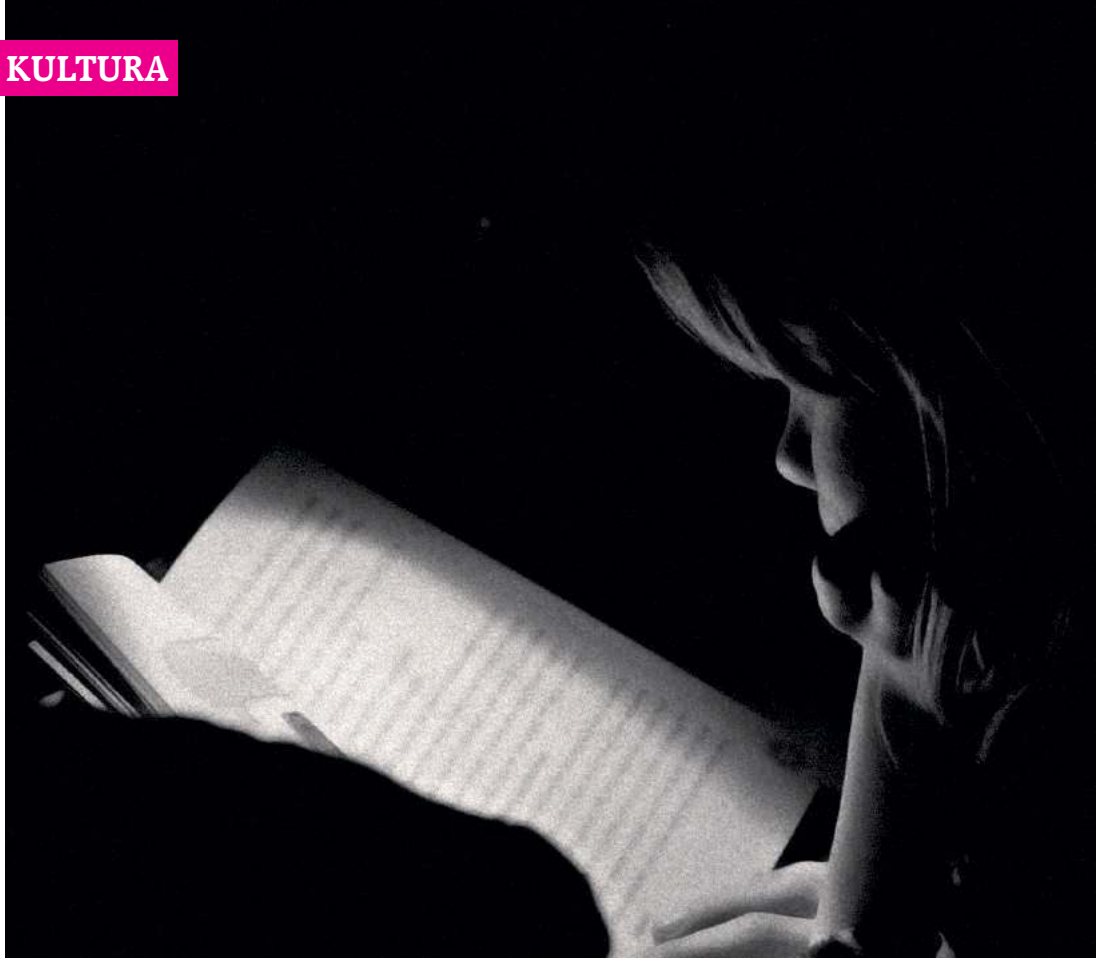

Sylwia Krasnodębska

Zgwałcona dziecięca wrażliwość

Nakładem wydawnictwa Dwie Siostry ukazała się książka dla dzieci „Odpowiedz mi! Dzieci pytają o intymne sprawy". Jednak pozycja sprowadzająca miłość do seksu i posługująca się wulgarnym językiem jest – wbrew intencjom autorek – żywym przykładem tego, jak o tych delikatnych sprawach z dziećmi nie rozmawiać. No i niejedynym przykładem takiego przekroczenia granic w wytworach popkultury adresowanych do najmłodszych.

eprasa.pl 475b32102c

Autorki „Odpowiedz mi!" Katharina von der Gathen i Anke Kuhl napisały wcześniej książkę „Intymne życie zwierząt". Czytając tę pierwszą, można odnieść niepokojące wrażenie, iż tytuły obu pozycji bez większego problemu dałoby się ze sobą zamienić.

„Gdy kobieta woli przerwać ciążę..."

Książka to 99 odpowiedzi na pytania o ludzkie ciało i seks. Wyabstrahowane od uczuć i emocji skupiają się na fizjologicznych procesach i technicznych opisach. Gdy pojawia się pytanie o to, skąd wiadomo, że jest się już dorosłym, nie ma słowa choćby o poczuciu odpowiedzialności i rozwoju emocjonalnym. Popęd seksualny porównany jest do ochoty na lody czy zabawę. „Seks może być bardzo rozmaity. Czasem łaskocze w całym ciele. Gdy partnerzy głaszczą się nawzajem i delikatnie całują, jest łagodny i spokojny. Innym razem przypomina jazdę kolejką górską albo bijatykę, której towarzyszą dzikie wrzaski. Można go przeżywać bardzo intensywnie. I za każdym razem jest trochę inaczej" – to jedyna odpowiedź na pytanie o to, jaki jest seks. Dlaczego w rozwinięciu tej definicji nie ma miejsca na uczucia, miłość, dojrzałość? Dzieci dowiadują się również, że homoseksualna para może mieć dziecko. „Lesbijki proszą czasem znajomych mężczyzn, by dali im nasienie, [...] a geje mogą poprosić jakąś kobietę, by urodziła dla nich dziecko". Opis cyberseksu jest również czysto techniczny: „niektórzy się przy tym masturbują. A więc chodzi o to, że ludzie nie spotykają się osobiście, aby uprawiać seks, lecz robią to, siedząc przed swoimi komputerami". W zestawie jest też pytanie o to, kto to jest dziwka. O aborcji przeczytamy: „czasem jednak kobieta woli przerwać ciążę, to znaczy dokonać aborcji. W wielu krajach można to w pierwszych tygodniach ciąży zrobić w gabinecie lekarskim". Ciekawe, że książka tak odważnie i technicznie traktująca sprawy seksu i sprowadzająca je głównie do czynności fizycznych, posługuje się enigmatycznymi określeniami „przerwać ciążę" czy „aborcja". I *de facto* w ogóle pojęcia aborcja nie wyjaśnia.

Kto kogo molestuje

Książka „Odpowiedz mi!" jest przeznaczona dla dzieci od 10. roku życia. „Zdajemy sobie sprawę, że odbiór „Odpowiedz mi!" może być tak różny, tak jak różna jest wrażliwość czytelników w odniesieniu do tej tematyki. Uważamy jednak, że książki takie jak ta są po prostu potrzebne" – czytamy we wstępie książki wydawnictwa Dwie Siostry. Pytania o to, czy dziesięciolatek powinien czytać o tym, że ludzie masturbują się przed komputerem albo że cyberseks jest zwyczajnym zjawiskiem, pozostają bez odpowiedzi.

W „Odpowiedz mi!" opis wytrysku skonstruowany jest w sposób bliski uprzedmiotowieniu chłopców. Warto być czujnym. W dobie ostrzegania dzieci przed ryzykownymi zachowaniami innych i uczenia ich radzenia sobie z próbami molestowania, może się okazać, że treści książek, które rzekomo mają w tym pomóc, mogą jako pierwsze naruszyć godność dziecka.

O tym, jak rozmawiać z dziećmi o seksie, by nie wyrządzić im krzywdy, a zaopatrzyć w niezbędną wiedzę, pisał choćby doktor psychologii Szymon Grzelak w książce „Dziki ojciec": „To, co dobre, piękne, naturalne, powinno stanowić fundament – to, co, trudne, złe, nieuporządkowane, jest wyjaśniane w drugiej kolejności i w odniesieniu do dobrego fundamentu. W wychowaniu dziecka w okresie dojrzewania zasada ta ma zastosowanie ze względu na fakt, że kształtowanie się dojrzałej tożsamości płciowej jest możliwe tylko wokół tego, co dobre, piękne, naturalne". Grzelak podkreśla, by rozmawiać o seksie pozytywnie i z troską. A najwłaściwszą chwilą na rozpoczęcie takich rozmów jest moment, w którym dziecko samo zacznie pytać.

Animowana pornografia

Okazuje się, że niewinne kreskówki dla dzieci mogą zawierać treści pornograficzne. Facebookowe strony, które śledzą dziecięce produkcje, prezentując dwuznaczne kadry, cieszą się ogromną popularnością. Internauci prześcigają się w odkryciach. Znaleźć można sceny z „Małej syrenki", gdzie jeden z bohaterów ma erekcję, internauci doszukali się napisu „sex" na niebie w jednym z kadrów „Króla lwa", a żółw Ninja chwyta jedną z bohaterek za pierś. Screen goni screen. Trudno nie odnieść wrażenia, że nie wszyscy zaangażowani w temat śledzenia tego typu przekroczeń w bajkach prowadzą swoje poszukiwania w trosce o dzieci. Nie zmienia to jednak faktu, że liczba bajek przedstawiających kształtne bohaterki w bardzo kusych ubraniach jest zatrważająca. Studio Walta Disneya nieraz musiało tłumaczyć się z rysunków, które powinny być dzieciom zakazane. I z pewnością nie jest to nowa moda. Warto wspomnieć choćby słynną, nagrodzoną Oscarami animację „Kto wrobił królika Rogera" z 1988 roku. Jedną z bohaterek filmu była bardzo ponętna Jessica Rabbit. Animowana postać o obfitych kształtach zachowywała się w wielu scenach bardzo prowokująco. W pewnym momencie twórcy pokazali bohaterkę rozchylającą uda i prezentującą intymne części ciała. Wybuchł skandal. Studio Walta Disneya odpowiedziało wtedy: „Trzeba być naprawdę znudzonym, żeby wyłapać w filmie takie rzeczy. My nigdy nie byliśmy świadomi nagości naszej bohaterki, a cała sprawa to głupi żart animatorów, którego nie udało nam się wyłapać przed premierą filmu". ■

FOT. FLICKR

eprasa.pl 475b32102c

Marek Kalinowski

Podróż w czasie

Kto pamięta niezwykłe, akustyczne koncerty Erica Claptona i Nirvany? Gwiazda polskiej sceny alternatywnej Monika Brodka dołączyła do grona największych, wydając najnowszą płytę w serii MTV Unplugged.

Pomysł, na który wpadła amerykańska stacja MTV pod koniec lat 80., był zarazem prosty i genialny. Polegał na nagraniu serii akustycznych, kameralnych koncertów, w których wzięły udział największe gwiazdy sceny poprockowej. Przedsięwzięcie spotkało się z ogromnym zainteresowaniem fanów, a albumy z serii rozchodziły się w wielomilionowych nakładach. Koncerty MTV Unplugged swoją świetność i prestiż mają już jednak dawno za sobą. Te, które przeszły do historii i które warto zapamiętać, w większości odbyły się w latach 90., jak choćby poruszający koncert Erica Claptona czy ostatni występ Alice in Chains z charyzmatycznym wokalistą Laynem Staleyem. Dzisiaj rolę wielkiej muzycznej stacji przejęły dziesiątki platform internetowych, które z różnymi modyfikacjami kontynuują tradycję rozpoczętą przez MTV.

Brodka, MTV UNPLUGGED, Kayax

Koncert Moniki Brodki, który właśnie ukazuje się pod szyldem MTV Unplugged, jest więc bardziej sentymentalną podróżą w czasie niż wyrazem szczególnego splendoru. Nie zmienia to faktu, że mamy do czynienia z jedną z najbardziej utalentowanych wokalistek na polskiej scenie popowej.

Wydawałoby się, że jeśli koncert zagrany zostanie w wersji akustycznej, muzyka Brodki zabrzmi prościej, bardziej intymnie. Stało się jednak inaczej. Przekombinowane, bogate aranżacje sprawiły, że na dalszym planie ukrył się niezwykły głos wokalistki. Dzieje się tak zarówno w „Funeral", „Horses", jak i w otwierającym album „Can't Wait For a War". Nie ujmuje też promująca koncert „Varsovie". Ta znakomita, porywająca od pierwszych chwil piosenka z minialbumu „Lax", na koncercie wlecze się przez pierwszą minutę, nie odzyskując już do końca mocy oryginału.

Zdecydowanie lepiej wypadły zaśpiewane w języku polskim piosenki z rewelacyjnej płyty „Granda". Świetnie brzmi krótka, bo zaledwie minutowa wersja utworu „W pięciu smakach", jak i zaśpiewana wspólnie z Krzysztofem Zalewskim „Syberia". Nie jest to zresztą jedyny duet na płycie. W piosence „Santa Muerte" pojawia się także hojnie ostatnio nagradzany za płytę „Małomiasteczkowy" Dawid Podsiadło. W spotkaniu z Moniką Brodką wypada jednak słabo.

Prawdziwa perełka albumu, która chwyta za serce, nie pochodzi wcale z twórczości Moniki Brodki, a jest nią cover „Heart-Shaped Box" z repertuaru Nirvany. W kontekście koncertu MTV Unplugged wybór jest zrozumiały. To właśnie akustyczny występ z 1993 roku tej niezwykłej trójki z Seattle chyba najbardziej pozostał w pamięci ze wszystkich koncertów powstałych w ramach serii. Wydana już po śmierci lidera Nirvany płyta z zapisem występu została sprzedana w ponad 16 mln egzemplarzy i otrzymała nagrodę Grammy za najlepszy album muzyki alternatywnej.

Koncert Brodki już od grudnia dostępny jest w serwisach streamingowych. Od stycznia można zaś nabyć wersję płytową, w tym na pięknie wydanym winylu. Na platformach cyfrowych warto też odszukać zapis wideokoncertu, nie tylko ze względu na muzykę, lecz także scenografię przygotowaną przez architektkę i artystkę Aleksandrę Wasilkowską, której prace gościły na Biennale Architektury w Wenecji, w Muzeum Sztuki Nowoczesnej czy w warszawskiej Zachęcie. ■

eprasa.pl 475b32102c

Marcin Wolski

Patroni naszych ulic

Walka polityczna przybiera różne kształty. W Warszawie główny atak skierował się przeciwko prezydentowi poległemu pod Smoleńskiem, przy czym na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej skasowano również innych czcigodnych patronów dekomunizowanych ulic, wychodząc z założenia, że lepszy komunistyczny watażka niż bohaterka „Solidarności" lub też stalinowski urzędas niż bard polskiej pokojowej rewolucji. Sytuacja jest nienowa – od podobnych problemów wolni są Amerykanie, którzy konsekwentnie numerują aleje i ulice, a nie sposób spierać się o liczebniki. U nas podobny pomysł przyjął się jedynie w Aninie, który dorobił się XII ulic o nazwie Pono dla papieża Polaka), drugim jest wymóg pięciu lat od śmierci przed zgłoszeniem kandydatury. Stosunkowo najłatwiej osiągać konsensus, posiłkując się artystami (choć ci nowsi też budzą niemałe kontrowersje). Mam nadzieję, że czas będzie łagodził animozje, z politykami bywa gorzej. Jeśli idzie o postacie z dawniejszej przeszłości, wyjąwszy ewidentnych zdrajców, renegatów i politycznych nieudaczników (choć i tu Polacy są łagodni – ma swą ulicę i gen. Zajączek, i królewicz Jakub Sobieski), można mówić o zachowanym parytecie – miasto czci zarówno Piłsudskiego, jak i Dmowskiego czy Witosa. Im bliżej, tym trudniej. W dodatku jak mierzyć zasługi? Narutowicz, znakomity inżynier, był przypadkowym parodniowym prezydentem, który został

Kontrowersje co do patronów ulic łagodzi fakt, że przyjęto zasadę, by nie nadawać nazw osób żyjących (wyjątek uczyniono dla papieża Polaka), drugim jest wymóg pięciu lat od śmierci przed zgłoszeniem kandydatury.

przeczna, ale chyba nikt nie poszedł w jego ślady. Początkowo patronami ulic bywali wyłącznie święci i królowie, choć rychło i to zaczęło budzić kontrowersje. I tak w Paryżu plac Ludwika XV zdołał być w swej karierze placem Rewolucji (stracono tam Ludwika XVI i Marię Antoninę), później placem Zgody, potem Ludwika XVI, następnie znowu Zgody... Na brak zmian nie narzekał również nasz plac Saski, przemianowany w 1928 roku jeszcze za życia Marszałka na plac Piłsudskiego, potem na Adolf Hitler Platz, po wojnie na krótko wróciła nazwa Saski, a później przez cały okres PRL stał się placem Zwycięstwa (jakiego – na szczęście nie uszczegółowiono), dzięki czemu uniknął jako swego patrona Józefa Stalina. Ten arcyludobójca przypadł w udziale Alejom Ujazdowskim i placowi Defilad. W wolnej Polsce wrócił na swoje Józef Piłsudski i miejmy nadzieję, że tak już zostanie ku zgryzocie narodowców.

Kontrowersje co do patronów łagodzi fakt, że przyjęto zasadę, by nie nadawać nazw osób żyjących (wyjątek uczyniono zamordowany – a przecież nikt nie podważa faktu, że ma swój plac. Jedna z głównych alej w Warszawie nosi nazwę Żwirki i Wigury, których na tle innych pionierów polskiego lotnictwa (choćby Scipio del Campo) lub setki bohaterów powietrznych walk II wojny światowej wyróżnia jedynie tragiczna śmierć w czasach pokoju. I też nie budzi to wątpliwości. Podobnie jak Sokrat Starynkiewicz, carski czynownik na posadzie prezydenta Warszawy, mimo swej narodowości ceniony i lubiany przez warszawiaków i niezwykle dla stolicy zasłużony. Nikt nigdy nie próbował go lustrować! W tym kontekście warto zauważyć, że uznawany za „kontrowersyjnego" prezydent Lech Kaczyński „łapie się" na każdą z wyżej wymienionych kategorii. Jako zasłużony prezydent miasta, jako tragicznie poległy przywódca państwa, w dodatku wybrany nie przez doraźną koalicję sejmowa, a ogół przez obywateli.

Ale jak dyskutować z ludźmi zaślepionymi nienawiścią? Można tylko się pocieszać, że prawda jak wino z czasem staje się coraz mocniejsza. ■

eprasa.pl 475b32102c

W grudniu 1788 roku, po blisko półrocznym oblężeniu, carska armia zdobyła czarnomorską fortecę Oczaków. Nieco ponad trzy lata później Turcja musiała podpisać pokój. Imperium Rosyjskie na dobre usadowiło się nad Morzem Czarnym. Stąd już niedługo ruszyły długie kolumny wojsk na Bałkany. Wojny rosyjsko-tureckie toczyć się miały jeszcze przez sto lat. Przyniosły one niepodległość wielu bałkańskim ludom, ale carowie nigdy nie zrealizowali starego marzenia: nie zdołali zdobyć Stambułu. Sen o Carogrodzie to tak naprawdę twarda geopolityka.

Antoni Rybczyński

Sen o Carogrodzie

eprasa.pl 475b321026

FOT. GRZEGORZ MICHAŁOWSKI/PAP

eprasa.pl 475b32102c

Rosja to od stuleci typowe kontynentalne mocarstwo. Oba morskie „okna na świat" (Bałtyk, Morze Czarne) wrogom Moskwy nie jest trudno zamknąć. Nic dziwnego, że od wieków priorytetem polityki rosyjskiej na południu jest uzyskanie jeśli nie kontroli, to swobody żeglugi przez Bosfor. Na nic dominacja na Morzu Czarnym i na jego wybrzeżach, jeśli nie można stąd ruszyć dalej: na Morze Śródziemne i do Lewantu. Dziś wydaje się, że Rosja jest w tym regionie świata najsilniejsza od czasu upadku Związku Sowieckiego. Wygląda też na to, że osiągnęła wspomniany cel.

Od upadku do rewanżu

W 1991 roku zdarzyła się katastrofa (zwłaszcza dla takich jak Władimir Putin). Wraz z upadkiem ZSRS Rosja została niemal zupełnie odepchnięta od Morza Czarnego. To, co w XVIII i XIX wieku uzyskali tutaj kolejni carowie, hojnie szafując krwią swych żołnierzy, Moskwa straciła w parę miesięcy, wraz z ogłoszeniem niepodległości przez Ukrainę i Gruzję. A już wcześniej sowiecką/rosyjską kuratelę zrzuciły dwa inne kraje czarnomorskie – Rumunia i Bułgaria. Rosja utrzymała tylko odcinek wschodniego wybrzeża, między Anapą a Soczi. Żeby wypłynąć z Morza Azowskiego, trzeba było się już liczyć z ukraińską obecnością w Cieśninie Kerczeńskiej. Później sytuacja tylko się pogarszała. Rumunia i Bułgaria wstąpiły do NATO, znacząco wydłużając linię brzegową Morza Czarnego należącą do Sojuszu (Turcja!). Aspiracje do natowskiego członkostwa coraz śmielej zaczęły też wyrażać – po „kolorowych rewolucjach" w tych państwach – Ukraina i Gruzja. W złym scenariuszu Morze Czarne mogło się zmienić w „natowskie jezioro", a Rosja musiałaby wtedy na dobre pożegnać się z myślą o odzyskaniu dominacji w tym regionie. A bez tego nie ma możliwości odgrywania liczącej się roli na Bałkanach. O ambicjach bliskowschodnich nie wspominając.

Punktem zwrotnym w postsowieckiej historii regionu czarnomorskiego były wydarzenia 2008 roku. Ale nie byłoby tego zwrotu, korzystnego dla Rosji, gdyby nie swego rodzaju przyczółki, jakie Moskwa zostawiła tutaj jeszcze w okresie rozpadu Związku Sowieckiego. W kaukaskiej części regionu były to separatystyczne regiony Abchazji i Osetii Południowej, które zbuntowały się przeciwko rządowi niepodległej Gruzji i przy militarnym wsparciu rosyjskim uzyskały *de facto* niezależność od Tbilisi. Szczególnie ważna okazała się Abchazja, region rozciągający się wzdłuż czarnomorskiego wybrzeża, z portowym Suchumi i ważną bazą morską w Oczamczirze. Z kolei ponad tysiąc kilometrów na zachód od Kaukazu, w Mołdawii, Rosjanie postarali się o kolejny tzw. zamrożony konflikt. Chodzi o Naddniestrze, które zbrojnie zbuntowało się przeciwko niepodległemu rządowi w Kiszyniowie – oczywiście z rosyjską pomocą. Naszpikowany bronią i z rosyjskim kontyngentem wojskowym region – jak się później miało okazać – stał się przydatny nie tylko do szachowania Mołdawii. Ale dużo wcześniej Moskwa wykorzystała swe przyczółki w Gruzji.

JEŚLI ROSJA UMOCNI SIĘ JESZCZE BARDZIEJ W REGIONIE CZARNOMORSKIM I BARDZIEJ WESPRZE (POLITYCZNIE, EKONOMICZNIE, MILITARNIE) LOKALNYCH SOJUSZNIKÓW W RODZAJU SERBÓW CZY OPOZYCJI W MACEDONII I CZARNOGÓRZE, ZACHODNI SCENARIUSZ O STABILIZACJI TEGO – TRADYCYJNIE GORĄCEGO W EUROPIE REGIONU – MOŻE BYĆ ZAGROŻONY.

W sierpniu 2008 roku osetyjscy separatyści sprowokowali uderzenie gruzińskie na Cchinwali. Rosja tylko na to czekała. Doszło do tzw. wojny pięciodniowej. Gruzja militarnie przegrała z kretesem i tylko interwencja Zachodu (kluczowa misja do Tbilisi ze śp. prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele) zapobiegła kompletnej katastrofie. Jednak Abchazja i Osetia Południowa ogłosiły niepodległość – Moskwa ją uznała i na dodatek naszpikowała oba regiony swoim wojskiem. Oba te regiony stały się *de facto* przedłużeniem rosyjskiego terytorium, a wszystko to umocniło wpływy Moskwy nad Morzem Czarnym. Zahamowano dążenie Gruzji do NATO i zablokowano wiele projektów energetycznych łączących Azerbejdżan i generalnie Kaukaz z Zachodem. W operacji przeciwko Gruzji wykorzystano okręty Floty Czarnomorskiej stacjonującej na Krymie – bez informowania o tym i bez zgody władz Ukrainy. To była zapowiedź tego, co w ramach brutalnej polityki faktów dokonanych Rosjanie mieli zrobić potem na Krymie.

eprasa.pl 475b32102c

Rekonkwista

„Rewolucja godności" w Kijowie i upadek uległego Rosji reżimu Wiktora Janukowycza były dla Rosji katastrofą. Radykalnie prozachodnie poglądy nowej ekipy rządzącej i powrót hasła „Ukraina w NATO" zagroziły rosyjskim planom czarnomorskim. Pod znakiem zapytania stanęła obecność wojska i służb Rosji na strategicznie ważnym Krymie. Na to nie można było pozwolić. Plany były gotowe. Wykorzystując aktywa rozbudowane na półwyspie jeszcze za czasów Janukowycza oraz fakt, że za jego rządów niemal zupełnie rozbrojono armię i zniszczono kontrwywiad, Rosja błyskawicznie zajęła Krym, a potem szybko formalnie go przyłączyła. Na nic zdały się protesty Kijowa i opinii międzynarodowej. Zdobycie półwyspu, do którego Rosjanie zawsze zgłaszali pretensje, radykalnie zmieniło sytuację militarną na Morzu Czarnym. Oczywiście na korzyść Rosji.

Po pierwsze, zabezpieczono kwestie baz Floty Czarnomorskiej. O ile wcześniej brano pod uwagę rozbudowę bazy w Noworosyjsku i faktycznego przeniesienia tam dowództwa i trzonu floty, to aneksja Krymu zwiększyła tylko rolę Sewastopola. Do tego Rosjanie uzyskali na półwyspie całą infrastrukturę (poligony, lotniska, bazy, przystanie), z której wcześniej tylko częściowo mogli korzystać i to przy zgodzie ukraińskiej. Aneksja Krymu oznaczała przesunięcie punktu ciężkości militarnej obecności Rosji na zachód. Zainstalowanie na półwyspie systemów rakietowych obrony powietrznej (m.in. S-400 i Pancyr) i brzegowej (antyokrętowe systemy Bał i Bastion) pozwoliło objąć zasięgiem ognia niemal całą centralną część akwenu. Wcześniej rosyjska dominacja w powietrzu i na wodzie ograniczała się jedynie do wschodniej części Morza Czarnego. Rozbudowa lotnisk umożliwia stacjonowanie nowych typów samolotów i znacząco zwiększa zasięg rosyjskiego lotnictwa na kierunku południowym i zachodnim. Co więcej Rosjanie potwierdzili, że w 2019 roku na Krymie zainstalowany zostanie potężna stacja radarowa wczesnego ostrzegania Woroneż-M. Ten typ radaru jest w stanie namierzać wystrzelenia pocisków balistycznych oraz lot pocisków manewrujących w zasięgu 3500 km. Oddziały piechoty morskiej i specnazu na Krymie dają zaś możliwość szybkiego przerzucenia ich w razie konfliktu czy to na Bałkany, czy na Ukrainę. W ten sposób Rosja stała się dominującym graczem wojskowym w regionie. Jak ważne było zajęcie Krymu i przekształcenie go w „lądowy lotniskowiec", pokazuje przebieg interwencji zbrojnej Rosji w Syrii. Moskwa mogła sobie pozwolić logistycznie na takie przedsięwzięcie jesienią 2015 roku, bo ponad rok wcześniej zdobyła Krym. Przez porty półwyspu płyną do Syrii okręty wojenne i transportowe (tzw. Syryjski Ekspres).

Udusić Ukrainę

Skoro Rosja zyskała, stracić musiała – przede wszystkim, ale nie tylko – Ukraina. Kijów przede wszystkim stracił w 2014 roku większość swojej floty wojennej – mnóstwo okrętów bez walki przeszło w ręce rosyjskie. Ukraińcy stracili też porty i lotniska krymskie. W efekcie kraj, który wcześniej ze względu na długą linię brzegową, posiadanie Krymu i sporej liczby okrętów odziedziczonych z czasów sowieckich był liczącym się graczem na Morzu Czarnym, dziś jest faktycznie odepchnięty od morza. Dla Rosjan jest to ważne również dlatego, że wcześniej, w razie konfliktu, musieli się liczyć z tym, że zostaną zablokowani we wschodniej części akwenu, gdyby doszło do jakiejś formy współpracy krajów NATO (głównie Turcji) z Ukrainą. Skoro w Kijowie w 2014 roku do władzy doszli politycy chcący wejścia do Sojuszu, Moskwa nie mogła sobie pozwolić na pozostawienie Krymu w rękach ukraińskich. Utrata półwyspu poważnie skomplikowała zarazem położenie pozostałych ukraińskich portów. Dostęp do tzw. hubu portowego (Odessa, Chersoń, Mikołajów) Rosjanie mogą zamknąć bardzo łatwo. W 2014 roku wraz z aneksją Krymu zajęli szereg ukraińskich platform wiertniczych na Morzu Czarnym, pozostał wąski szlak morski pomiędzy nimi do Odessy i pozostałych portów ukraińskich po zachodniej stronie Krymu. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja ukraińskich portów nad Morzem Azowskim – Mariupola i Berdiańska. Port mariupolski to główna brama dla eksportu ukraińskiej produkcji metalurgicznej, okno na świat przemysłowego Donbasu (mimo faktycznej okupacji jednej trzeciej jego obszaru przez Rosję wciąż pod kontrolą Kijowa pozostają dziesiątki kopalń i zakładów). Po zajęciu Krymu i części Donbasu było jasne, że z czasem Rosjanie będą powoli zamykali azowski akwen dla żeglugi do ukraińskich portów i z nich. Ten proces przyspieszył wraz z uruchomieniem mostu przez Cieśninę Kerczeńską. Wtedy Rosja zaczęła przerzucać w ten rejon dużą liczbę okrętów, a gdy Ukraińcy próbowali na to zareagować zwiększeniem swych sił na Morzu Azowskim (plus plan budowy bazy wojennej w Berdiańsku), doszło do incydentu w pobliżu Cieśniny Kerczeńskiej (25 listopada 2018 roku). Rosjanie zablokowali dostęp dwóm ukraińskim kutrom i holownikowi, a następnie je ostrzelali i zajęli. Po czym nastąpiła wielodniowa blokada dostępu do Morza Azowskiego.

To zapowiedź kolejnego kroku rosyjskiego: przekształcenia Morza Azowskiego w wewnętrzne morze rosyjskie. Po ekonomicznym podduszaniu portów ukraińskich może nastąpić nawet operacja wojskowa, której celem będzie zajęcie Mariupola i Berdiańska wraz z całym pasem lądu ciągnącym się od linii frontu w Donbasie do Krymu. W ten sposób Rosja zrealizowałaby dawny cel: lądowe połączenie z Krymem (co oczywiście przełoży się na jeszcze głębsze utrwalenie obecności rosyjskiej na półwyspie i w tej części Morza Czar-

eprasa.pl 475b32102c

nego). Ale też chodzi tutaj o trwałe zabezpieczenie strategicznego szlaku wodnego, drogi, którą wypływają na otwarte morza jednostki Flotylli Kaspijskiej. Przez długie lata na Zachodzie lekceważono Flotyllę Kaspijską, uznając ją za typową straż wybrzeża, zamkniętą na Morzu Kaspijskim. Uwagę zaczęto na nią zwracać (warto pamiętać, że jest to piąta duża samodzielna formacja w rosyjskiej marynarce wojennej, obok znanych wszystkim Flot Bałtyckiej, Czarnomorskiej, Północnej i Pacyfiku) w 2015 roku, kiedy kilka z jej okrętów wystrzeliło pociski manewrujące Kalibr w cele w Syrii. W tym roku część jednostek Flotylli Kaspijskiej zasiliło rosyjskie zgrupowanie na Morzu Azowskim. Z Morza Kaspijskiego płyną one Wołgą, a potem kanałem Wołga–Don, wreszcie Donem spływają do Morza Azowskiego, a potem przez Cieśninę Kerczeńską wypływają na Morze Czarne. Następnie przez Bosfor na Morze Śródziemne. Z pewnych pozycji na Morzu Kaspijskim Rosjanie mogą Kalibrami ostrzeliwać cele na Bliskim Wschodzie (jak zrobili kilka lat temu z celami w Syrii). Ale żeby sięgnąć dalej na zachód, okręty te muszą wypłynąć na Morze Czarne, a jeszcze lepiej – Śródziemne. Wspierana przez NATO ukraińska baza w Berdiańsku zagrażałaby strategicznie ważnemu szlakowi żeglugi rosyjskich okrętów wojennych.

Dyplomacja i gaz

Oczywiście Rosja nie uzyskałaby w regionie czarnomorskim tak mocnej pozycji, jaką ma obecnie, gdyby wszystko sprowadzało się tylko do działań militarnych i zwycięskich wojen najpierw z Gruzją, a potem Ukrainą. Mamy tu bowiem do czynienia także z ekspansją polityczno-ekonomiczną w pozostałych krajach regionu. Choćby w Mołdawii, która co prawda nie leży bezpośrednio nad Morzem Czarnym, lecz może odgrywać istotną rolę w rosyjskiej strategii, leżąc na bezpośrednim zapleczu, wciśnięta między Ukrainę a Rumunię. Grając kartą Naddniestrza, Moskwa od lat usiłowała ostatecznie wciągnąć Mołdawię do swego obozu. Wydaje się, że dziś jest tak bliska tego celu jak nigdy wcześniej – wystarczy spojrzeć na skrajnie prorosyjską i antyzachodnią politykę prezydenta Igora Dodona. Prorosyjska Mołdawia to nie tylko zagrożenie dla tyłów Ukrainy, lecz także potencjalny pomost dla ekspansji rosyjskiej w głąb Bałkanów i zagrożenie dla zdecydowanie prozachodniej Rumunii. Rumunia to dziś najpewniejszy członek NATO nad Morzem Czarnym, ostatnia poważna przeszkoda dla rosyjskiej ekspansji. Jednak jej możliwości, przy bliskości naszpikowanego wojskiem Krymu, dominacji Floty Czarnomorskiej na morzu i dość wąskiego dostępu do morza, mogą być ograniczone. Rosjanie nie kryją, że wzięli na cel amerykańskie obiekty wojskowe w Rumunii (m.in. elementy tarczy antyrakietowej). Mniejszym problemem z punktu widzenia Kremla jest Bułgaria. Choć także członek NATO i UE, tradycyjnie przyjazna Rosji (historia!) dziś próbuje lawirować. Choćby w kwestii konfliktu na Morzu Azowskim.

No i w końcu pozostaje Turcja. Największy obok Rosji gracz w regionie. W czasach zimnej wojny ten kraj członkowski NATO, i tradycyjny rywal Moskwy, zagrażał południowej flance Związku Sowieckiego. Biorąc zaś pod uwagę to, że Rumunia i Bułgaria należały do bloku wschodniego, Morze Czarne było podzielone na strefę sowiecką i strefę natowską. No i przede wszystkim Turcy panują nad Bosforem. Stara reguła rosyjskiej geopolityki mówi, że wroga Turcja to poważne ograniczenie możliwości na kierunku południowym. Szczęśliwie dla Putina w Ankarze zaszły w ostatnich latach głębokie polityczne zmiany – Recep Tayyip Erdoğan zbudował powoli niemalże współczesny sułtanat. Tyle że o ile w XVIII i XIX wieku sułtani zawsze walczyli z Rosją, a często wspierał ich Zachód, to teraz sytuacja się odwraca. Relacje Ankary z Zachodem uległy poważnemu ochłodzeniu, z Rosją zaś wręcz przeciwnie. Po gorącym kryzysie turecko-rosyjskim wywołanym zestrzeleniem rosyjskiego samolotu nad Syrią doszło do gwałtownej zmiany wektora polityki zagranicznej Erdoğana. Mając coraz bardziej napięte stosunki z sojusznikami z NATO, kierując się przede wszystkim celami polityki w Syrii, Turcja zbliżyła się do Rosji w stopniu jeszcze w historii niespotykanym. W sprawie Syrii funkcjonuje „tercet astański", czyli Rosja–Turcja–Iran, Turcy kupują od Rosjan nowoczesne uzbrojenie i to przy ogromnych wątpliwościach związanych z tym, że przecież wciąż należą do NATO (sprawa S-400), ale są też kwestie gospodarcze. Rosja na kierunku czarnomorskim wykorzystuje – w stopniu chyba nawet większym niż na Bałtyku – swoje „gazowe dywizje". Najpierw połączyła się z Turcją rurociągiem Blue Stream, teraz buduje Turkish Stream. Nęci również tanim gazem kraje bałkańskie. Rozbudowa tej gazowej sieci, w naturalny sposób utrudniającej niezależne od Rosji energetyczne połączenia Europy z Kaukazem i Azją Centralną, uzupełnia i wzmacnia wpływy polityczne i militarne. Nietrudno sobie wyobrazić ciąg dalszy tego współczesnego snu o Carogrodzie. Całkowite zdominowanie Ukrainy i Kaukazu, pragmatyczny sojusz z Turcją, wypchnięcie NATO z basenu Morza Czarnego. A wtedy Morze Śródziemne i Bliski Wschód stają otworem. Wszak z Grecją też można jeszcze bardziej poprawić już i tak dobre relacje. A dalej jest Syria Asada, przyjazny Egipt Sisiego, Libia Haftara. No i Bałkany. To tam toczy się dziś wielka batalia Wschodu z Zachodem. Jeśli Rosja umocni się jeszcze bardziej w regionie czarnomorskim i bardziej wesprze (politycznie, ekonomicznie, militarnie) lokalnych sojuszników w rodzaju Serbów czy opozycji w Macedonii i Czarnogórze, zachodni scenariusz o stabilizacji tego – tradycyjnie gorącego w Europie regionu – może być zagrożony. ■

eprasa.pl 475b32102c

WOLNE MEDIA - WOLNA POLSKA!

STOP CENZURZE W INTERNECIE

Celem działania naszej Fundacji jest walka o wolną Polskę poprzez wspieranie niezależnych mediów.
Dzięki pomocy ludzi, dla których ważna jest Polska - niezależni dziennikarze mogą pisać prawdę.

DANE DO PRZELEWU W POLSCE
FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA, ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Bank Pekao SA, Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
TYTUŁEM: DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA

DANE DO PRZELEWU Z ZAGRANICY
FUNDACJA NIEZALEZNE MEDIA,
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa, POLAND
Bank Pekao SA, ul.Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa
NUMER KONTA - PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
SWIFT CODE – PKOP PL PW
TYTUŁEM: AS A DONATION FOR „FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA"

Wspomóż naszą Fundację nawet skromnym datkiem

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

eprasa.pl 475b32102c

Kac. To pierwsze słowo, jakie przyszło mi na myśl w sobotę, 8 grudnia 2018 roku po przekroczeniu progu hamburskich hal targowych. Tych samych, które od piątku gościły kilka tysięcy uczestników 31. Zjazdu Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU). Zrezygnowane twarze sympatyków Friedricha Merza, umiarkowany optymizm liberałów, fani Annegret Kramp-Karrenbauer (AKK), zwyciężczyni wczorajszych igrzysk, jacyś dziwnie przygaszeni, snujący się między salą plenarną a partyjnymi stoiskami.

Rewolucji nie będzie. CDU w oparach stagnacji

eprasa.pl 475b32102c

fot. PHILIPP GUELLAND/PAP/EPA

Olga Doleśniak-Harczuk

Zniknęły gdzieś trzy roześmiane hostessy w błękitnych garsonkach linii PAN AM, które z wdziękiem rozdawały chadekom zimne napoje, nie widać też nieszczęśnika przebranego za pluszowy znak STOPU z napisem „Soli" [podatek solidarnościowy], koniec z piernikowymi sercami zdobnymi w logo CDU z niebieskiego lukru, drugi i ostatni dzień historycznego zjazdu chadeków rozmył się w marazmie, zawieszony pół na pół między sierotami po Merzu a wystraszonymi dziećmi „nowej Mutti".

Latte, sałatka ziemniaczana i samotność Ursuli

Chadecka kantyna na drugie śniadanie zamiast tak jak w piątek kanapek i rogalików serwuje dziś kiełbaski z sałatką ziemniaczaną, ale po wczorajszych tłumach stłoczonych w sekcji przekąsek i dań ciepłych nie ma ani śladu. Centrum prasowe wyludniło się, zajęte co czwarte stanowisko, jeszcze wczoraj nie można było tu wetknąć szpilki, każdy bronił swego miejsca z zacięciem molosa. – Coś ciekawego? – rzucam na powitanie niemieckiemu koledze po fachu. Uśmiech i przewracanie oczami, znaczy się bez fajerwerków. – Same ciekawe rzeczy, wyobraź sobie na przykład, że na stanowisku z gwatemalską kawą robią podobno niezłe latte, idziemy? – Idziemy.

W hali roznosi się dźwięk z kilkunastu sporych ekranów, transmisja z sali plenarnej oddalonej teraz od nas o około 120 metrów. W chwili gdy dopijamy kawę, wyraźnie zmęczona szefowa niemieckiego MON-u, Ursula von der Leyen, kończy przemówienie o niemieckiej armii i jej wielu wyzwaniach, przed jakimi stoi. W broszurce informacyjnej partii, jednej z wielu rozłożonych dziś na stolikach przed salą plenarną, można przeczytać: „CDU to partia Bundeswehry. Ochrona naszego państwa to główny warunek zapewnienia pokoju, wolności i dobrobytu Niemiec. Chcemy wzmocnić naszą Bundeswehrę". Tyle deklaracje. Pytanie, czy Bundeswehra będzie wzmacniana z pomocą Ursuli von der Leyen, czy już bez jej udziału. Wątpliwości są uzasadnione. Kiedy w piątek delegaci już po wyborze Annegret Kramp-Karrenbauer na następczynię Angeli Merkel głosowali za utrzymaniem na stanowiskach dotychczasowych wiceprzewodniczących CDU, do których należy również urzędująca minister obrony, von der Leyen otrzymała najgorszy wynik. Zaledwie 57,47 proc. głosów. Dla porównania – Volker Bouffier, premier Hesji, dostał

eprasa.pl 4f5b32102c

90,04 proc. głosów; rządząca resortem rolnictwa Julia Klöckner – 86 proc.; ostrzący sobie podobno już zęby na Kanzleramt Armin Laschert zebrał 76 proc.; nieco lepiej od von der Leyen koledzy z CDU potraktowali Thomasa Strobla, szefa partii w Badenii-Wittenberdze, na którego oddano 59 proc. głosów. Von der Leyen, polityk ponoć tak ambitna i twarda dla samej siebie, że w pracoholicznym trybie życia nawet jedzenie ogranicza do kilku listków sałaty i kawy, nie ma ostatnio dobrej passy. Bundeswehra jest w kiepskiej kondycji, a MON-em zajmie się parlamentarna komisja śledcza w Bundestagu, która ma wyjaśnić nieprawidłowości w wydawaniu zleceń dla zewnętrznych firm eksperckich. Według raportu Federalnej Izby Obrachunkowej w latach 2015–2016 wydano na ten cel co najmniej 200 mln euro. Teraz von der Leyen będzie się musiała wytłumaczyć z niegospodarności, a nawet nepotyzmu. Zarzuty formułowane przez opozycję mogą ją pogrążyć i wysadzić z fotela, w Berlinie pieszczotliwie nazywanym „katapultowym". O trudności utrzymania się w tym niepewnym siedzisku mógłby zaśpiewać rzewną piosenkę zarówno Thomas de Maizière, jak i Karl-Theodor zu Guttenberg. Na czas urzędowania obu poprzedników Ursuli przypadła seria kryzysów w armii, von der Leyen nie jest więc wyjątkowo pechowa, taki resort. Ale jest coś jeszcze. Von der Leyen od początku naraziła się przede wszystkim wojskowym, jej plan „zrobienia porządków w armii" zirytował ludzi Bundeswehry, a rozpaczliwe zabieganie o zwiększenie budżetu na wydatki obronne wymieszane z dziwnymi układami z zewnętrznymi, drogimi doradcami nie przyniosło jej splendoru. Po pierwsze Niemcy to dzieci postwojennej reedukacji w duchu pacyfizmu, Bundeswehra w oczach wielu z nich to siedlisko brunatnych resentymentów (sama armia raczej czuje się jak chłopiec do bicia); po drugie wszelkie wydatki na obronność źle się kojarzą, a jeszcze gorzej kojarzą się środki marnotrawione na firmy konsultingowe. Pani minister ma w tej partii słabe karty.

I pomyśleć, że jeszcze dwa lata temu ambitna Ursula, matka siedmiorga dzieci, godząca hiperperfekcyjnie domowe obowiązki z karierą, była wymieniana jako pewna kandydatka do objęcia Kanzleramtu po Angeli Merkel. Teraz doznaje zawodu we własnym mateczniku i będzie musiała stawić się przed komisją. Jedna z gazet napisała o niej w połowie grudnia „samotna wojowniczka", faktycznie, von der Leyen nie może dziś liczyć na chadecki fanklub. Najwierniejsza z wiernych sama na polu walki. Przerwa dobiegła końca, czas na spacer.

Konik trojański w sercu CDU

Na sali plenarnej jest stosunkowo spokojnie. Piątkowe emocje ustąpiły miejsca sprawozdaniom, wnioskom, podsumowaniom. Zamiast elektryzujących przemówień Angeli Merkel, Friedricha Merza, Annegret Kramp-Karrenbauer i Jensa Spahna można wysłuchać nowego szefa frakcji CDU/CSU w Bundestagu Ralfa Brinkhausa (tak, tego samego, który zastąpił Volkera Kaudera), kandydata Europejskiej Partii Ludowej na stanowisko szefa KE, Manfreda Webera i minister von der Leyen. Na agendzie znalazł się ponadto kontrowersyjny Pakt dla migracji ONZ, który liberalne skrzydło CDU zachwala jako rozsądne rozwiązanie problemu uchodźczego, a który dzień wcześniej na tej samej sali chadek starszej daty – Eugen Abler –nazwał „koniem trojańskim legalizującym nielegalną imigrację".

Abler zresztą miał dużo więcej do powiedzenia. Podał na przykład dane, z których wynika, że od lat 70. XX wieku w Niemczech dokonano od 7 do 8 mln aborcji, co jego zdaniem było przedpieklem do fatalnej sytuacji demograficznej państwa, wpłynęło na jego kondycję i morale. – Gdyby nasze matki dokonały aborcji, nie byłoby nas dzisiaj tutaj. Nie zabijaj! To jest barbarzyństwo, każde życie jest darem Boga, a my zabijamy dziś potencjalnych księży, lekarzy... Apeluję, byśmy nie szli dalej drogą samozniszczenia, żądam ochrony życia – mówił do delegatów. Jego argumenty odbijały się od zebranych jak od szyby pancernej. Abler nie dał zbić się z tropu i spokojnie kontynuował, skrytykował Angelę Merkel za przesterowanie CDU z toru konserwatywnego na liberalno-lewicowy, co nie tylko jego zdaniem zresztą uskrzydliło Alternatywę dla Niemiec (AfD). – Gender, adopcja dla wszystkich, małżeństwo dla wszystkich, przez takie i inne posunięcia Merkel przyczyniła się do wzrostu poparcia dla AfD. Ponad milion wyborców CDU przeszło do AfD, postuluję, by literka C na powrót stała się kompasem partii, nowoczesność i konserwatyzm nie są ze sobą sprzeczne, potrzebujemy dziś nowego otwarcia na małżeństwo, rodzinę, poszanowanie praw Boskich i patriotyzm – dodał. Ciekawe, ilu takich Ablerów jest w CDU, ilu z nich cieszy się na tyle mocnym autorytetem, by zagiąć choć trochę ten partyjny, już prawnie postmerkelowy wektor w prawą stronę. Pewnych trendów nie da się powstrzymać, a do korekty kursu potrzeba czegoś więcej niż mocnej przemowy konserwatysty starej daty. Chadecy rozpuścili swoje wartości w zielono-socjaldemokratycznym kwasie. Partia, która z równym zapałem broni, co zwalcza konser-

eprasa.pl 475b32102c

watywne wartości, partia rozerwana na pół nie ma szans na odnowę w duchu zaproponowanym przez Ablera czy Merza. Literka C natomiast z powodzeniem mogłaby zostać zastąpiona przez literkę V – od słowa Vielfalt (różnorodność). CDU, w której znalazła się płaszczyzna zarówno dla obrońców praw homoseksualistów (LSU), jak i obrońców praw życia (CDL), partia, której frakcje ścierają się o kształt przyszłej Europy, o politykę imigracyjną, energetyczną, praktycznie o wszystko, o co tylko można się spierać, powinna uczciwie i bez marzycielstwa przyjrzeć się sobie w lustrze i przestać udawać przewidywalną. Jeden z chadeków spotkanych na zjeździe stwierdził w pewnym momencie: „Transformacja energetyczna złamie nam kark". Zapytany o to, czy spodziewa się po AKK chociażby korekty kursu, odwrotu od kopiowania lewicowych pomysłów na rządzenie, powiedział, że wcale by się nie zdziwił, gdyby CDU jeszcze weszła w koalicję z Die Linke. Najpierw na poziomie landtagów, a potem... kto wie. Mariaż postkomunistów z czarnymi, coś, co nie mieściło się w głowie ani wyborcom jednej, ani drugiej partii, byłoby przekroczeniem ostatniej czerwonej... czerwono-czarnej linii. Pytanie, czy wyborca to kupi, nawet sprytnie opakowane w Realpolitik.

Mops Coco przegrywa z AKK

Stoiska z gazetami przed wejściem do sali wieszczą nową erę w CDU. „Bild" na pierwszej stronie publikuje zdjęcie serdecznie spoglądających na siebie Annegret Kramp-Karrenbauer i Merkel. Jeszcze wczoraj tabloid żył skandalem, do jakiego doszło w jednej z klinik weterynaryjnych, gdzie przez przypadek zamiast znieczulić przed zabiegiem, uśpiono 10-letnią suczkę rasy mops, Coco. Tematem numer dwa była afera z zakusami zielonej polityk z Düsseldorfu, która postulowała zlikwidowanie lub zresocjalizowanie osoby Knechta Ruprechta, srogiego pomocnika Świętego Mikołaja, który rozdaje niegrzecznym dzieciom rózgi. Polityk tłumaczyła, że nieprzejednany Ruprecht nie poszedł z duchem czasu, że dzisiejsze dzieci nie są przyzwyczajone, by im czymkolwiek grożono, a już z całą pewnością nie jakąś archaiczną rózgą. A teraz na pierwszej stronie „Bilda" widać AKK i Merkel, ale obok fragmenty listów od czytelników zbulwersowanych i sprawą Coco, i Knechta Ruprechta. Tak czy inaczej polityka wygrała z problemami trawiącymi dziś niemieckie społeczeństwo.

„Süddeutsche Zeitung" (SZ) na jedynce dała wielki napis: „Nowa" i zdjęcie triumfującej Annegret Kramp-Karrenbauer, w tle widać bijącą brawa Angelę Merkel. Zdaniem Niko Frieda z „SZ", pojedynek między AKK a Friedrichem Merzem był jednocześnie pojedynkiem między Angelą Merkel a Wolfgangiem Schäuble, rodzajem wojny zastępczej. Fried ma rację, ale nie odkrył Ameryki. Schäuble od czasu upadku Helmuta Kohla towarzyszy Merkel. Czyni to dyskretnie, bardziej niż miłością do A.M. powodowany własnym pragmatyzmem i świadomością długofalowego interesu politycznego. Ten wieloletni doradca Kohla i jeden z najinteligentniejszych polityków niemieckich przeszedł do obozu Merkel po skandalu z Czarnymi Kasami CDU. Wszedł w nowy układ, liżąc rany po odpryskach afery, która i jego mogła kosztować karierę. Z byłym kanclerzem toczył już wcześniej spór, historia ich relacji stanowi do dziś jedną z najciekawszych w niemieckiej polityce i doczekała się wielu nawiązań w biografiach obu twardzieli chadecji. A później przyszedł Zjazd A.D. 2018 i wielkie rozczarowanie. Porażka Friedricha Merza, czyli protegowanego Schäublego, w starciu z namaszczoną przez Merkel Annegret Kramp-Karrenbauer jest równoznaczna z pogrzebaniem ambicji szefa Bundestagu. Ambicji na odnowę oblicza CDU, na wpuszczenie do partyjnego, coraz mniej wydolnego krwiobiegu świeżej krwi. Ponieważ na Merzu by się nie zakończyło, za nim przyszliby inni, zapewne młodsi od niego, zdolni, skłonni do pracy na rzecz odbudowania z ruin chadeckiego konstruktu, który chadecki pozostaje już tylko z nazwy. Nie udało się.

I po co ten pośpiech, ZDF-ie?

Kiedy w piątek podawano wyniki pierwszej tury głosowania, wtedy, gdy już było wiadomo, że Jens Spahn odpadł i jego głosy rozłożą się na pozostałych kandydatów, po biurze prasowym przeszedł pomruk „Merz już wygrał". Byli tego pewni Szwedzi z telewizji, duńska korespondentka, z którą pracowałam komputer w komputer, dziennikarze niemieccy i rosyjscy, w kwestii tego, kto wygra tę batalię, nie było między nami podziałów. Korespondenci drugiego kanału niemieckiej telewizji publicznej ZDF do tego stopnia dali się ponieść ogólnej atmosferze pewności, że na komunikatorze Twitter obwieścili wygraną Merza, zadając przy tym rezolutne pytania: „Co teraz, panie Merz? Jak się panu uda współpraca z kanclerz Merkel?". I nagle otrzeźwienie, które przyszło z wynikami drugiej tury. Annegret Kramp-Karrenbauer zwycięża, ma 35 głosów przewagi nad nadzieją chadeckich konserwatystów. Wynik rysuje się: 482 do 517. Szok. Wszyscy dzielnie zabierają się do swoich depesz, potem kolejka po kawę, jeszcze tu posiedzimy. ZDF nazajutrz będzie się gęsto tłumaczyć ze swo-

eprasa.pl 475b32102c

jej wpadki. „Mieliśmy takie teksty w odniesieniu do wszystkich kandydatów, ale poszedł ten...". W takich chwilach człowiek się cieszy, że nie ma konta na Twitterze.

Matka Annegret broni *status quo*

Stoisko kobiet zaangażowanych w Unię Kobiet (Frauen Union) jest utrzymane w granatowo-niebieskiej tonacji, w koszyczkach wpinki z logo FU, trzy członkinie odpowiadają na pytania. – Dlaczego Annegret Kramp-Karrenbauer, a nie Friedrich Merz? – pytam czysto retorycznie jedną z obecnych na stoisku pań jeszcze przed piątkowym głosowaniem. – Ponieważ jest kobietą, ma dużo do powiedzenia i spore doświadczenie w sprawach socjalnych. Annegret zadba o stabilność CDU, ma świetne podejście do ludzi – odpowiada działaczka. – A co różni AKK od Merkel? Mówi się o niej jako o nieco nowszej wersji pani kanclerz... – dopytuję. – Angela Merkel to umysł ścisły, jest bardzo zasadnicza. AKK wyróżnia się serdecznością – pada argument. Działaczka jest przekonana, że AKK wygra. Wracam po głosowaniu, pytam jak wrażenia. – Jesteśmy bardzo zadowolone, to dobry start, ale było trochę nerwów – opowiada pani z FU. Kilkanaście metrów dalej członkowie konserwatywnej frakcji Unii Wartości (Werte Union) zachęcają do wstąpienia w ich szeregi, na stoliku kilka ulotek imitujących podwójny paszport niemiecko-turecki, wnioski o członkostwo, wizytówki. – Mamy mało materiałów, ponieważ nie udało nam się na czas wszystkiego wydrukować, ale jak pani wejdzie na stronę, to tam jest wszystko. Same ciekawe informacje. O tym jak powinno wyglądać CDU – opowiada jeden z członków WU. Obok stoisko obrońców życia, w folderze zdjęcie działaczy z Jensem Spahnem i Paulem Ziemiakiem (od 7 grudnia sekretarz generalny CDU) zrobione na zjeździe CDU w Nordrhein-Westfallen, w czerwcu 2018 roku. – Walczymy o prawo do życia, tutaj jest wpinka z małymi stópkami, proszę koniecznie wziąć. Mamy też długopisy z naszym nadrukiem, proszę się wpisać na listę, przyślemy więcej materiałów – opowiada pani obsługująca stoisko CDL. To tacy ludzie jak ona są zapleczem konserwatystów, ale jest ich wciąż zbyt niewielu. Za rogiem kolejne stoisko, tym razem LSU, „Lesbijki i geje w Unii", mają mnóstwo długopisów z tęczowymi kuleczkami i naklejki z tęczową flagą z napisem „Jesteśmy Rodziną". Za kilka dni na ich stronie internetowej obok życzeń adwentowych pojawi się informacja o tym, że „Annegret Kramp-Karrenbauer od lat współdziała z LSU i wspiera dążenia tej grupy". Będą też podziękowania dla Angeli Merkel, szczególnie ciepłe za to, że z jej inicjatywy doszło w Bundestagu do uchwalenia ustawy „małżeństwo dla wszystkich". Na stronie czytamy ponadto, że LSU ma jeszcze wiele do zrobienia, musi walczyć o prawa transseksualistów, z dyskryminacją i wieloma innymi sprawami. Takimi, którymi najwidoczniej zdaniem LSU powinna się zajmować partia mająca w nazwie literkę C.

To był ciekawy zjazd. Matkę zastąpiła mini-Matka, konserwatysta Merz boleśnie się przekonał, że jego CDU już dawno nie istnieje, Julia Klöckner, żegnając Merkel, wspomniała, że „pani kanclerz tak dobrze gotuje, że nie potrzebuje w kuchni termomiksa", zwolennicy Merza rozczarowani wynikiem głosowania już drżą o wyniki jesiennych wyborów do landtagów w Turyngii, Saksonii i Brandenburgii, pesymiści prognozują, że AfD sprawi chadekom lanie, jakiego długo nie zapomną.

Grudniowy Hamburg pożegnał gości zjazdu kilkoma stopniami na plusie i tradycyjnymi jarmarkami bożonarodzeniowymi. Jarmarkami otoczonymi z każdej strony betonowymi zaporami, tragicznym wspomnieniu po ataku islamskiego terrorysty na Breitscheidplatz w Berlinie, gdzie zginął również nasz rodak. Terroryzm nie był tematem 31. Zjazdu CDU. Unikano go jak ognia. Jens Spahn próbował mówić o bezpieczeństwie, ale zbyt nieśmiało. Zresztą i tak się nie przebił. AKK na takie tematy się nie wypowiada. Chce zgody. Ponad wszystko i mimo wszystko. A w partii wrze. Mutti 2 czeka jeszcze niejedna bitwa, by nic się nie zmieniło.

Na koniec krótki przystanek w Berlinie. Rozmowa z przedstawicielami średnich przedsiębiorców. Minorowe nastroje. Liczono tu na Merza. Przedsiębiorcy narzekają, że coraz trudniej prowadzić biznes, że polityka imigracyjna rządu to katastrofa dla budżetu państwa. Anne, właścicielka ekskluzywnego butiku, wzrusza ramionami. – Może ja przesadzam, może nie będzie tak źle, ale i tak jestem rozczarowana, nie tak miało być. AKK to kontynuacja. Czego? Jak to określił jeden z publicystów niemieckich „Odważnego Tylko tak dalej". ■

Chciałabym serdecznie podziękować Konsulatowi Generalnemu RP w Hamburgu za zorganizowanie 5 grudnia 2018 roku wraz ze Stowarzyszeniem St. Nikolai Kirche panelu dotyczącego przezwyciężenia komunizmu w Polsce i w Niemczech i zaproszenie mnie do rozmowy na ten temat z deputowanym do Bundestagu, panem Arnoldem Vaatzem (CDU). Dziękuję też wszystkim Polakom, którzy przyszli na tę dyskusję, a w sposób szczególny członkom klubu „Gazety Polskiej" w Hamburgu za okazane wsparcie i serdeczność. Jesteście Państwo żywym przykładem na to, jak pięknie można dbać o polskość na obczyźnie.

eprasa.pl 475b32102c

Ryszard Czarnecki

Kolacja w Wantzenau

Strasburg. Dzień po zamachu. Dzielnica Wantzenau oddalona od centrum miasta ze dwadzieścia minut drogi samochodem. Kolacja prezydium Zgromadzenia Parlamentarnego EURONEST, czyli Unia Europejska–Partnerstwo Wschodnie. Z naszej, europejskiej strony, Niemka z grupy „Zielonych", trzeba przyznać bardzo sceptyczna wobec Rosji, co odróżnia ją od większości polityków w jej kraju, i ja, a więc reprezentanci największej nacji w Unii oraz największej nacji w „nowej Unii".

Nie ma Azerów, z którymi wczoraj obchodziłem stulecie powstania niepodległego i demokratycznego Azerbejdżanu zmiecionego potem przez Sowiety. Z byłym szefem parlamentu Mołdawii Marianem Lupu (pełnił też obowiązki głowy państwa) rozmawiałem wczoraj i widziałem, jak szeptał z zaprzyjaźnioną Rumunką. Czy mówili o projekcie „wielkiej Rumunii"? Zaczepnie pytam o to koleżankę z Bukaresztu, a ta się nagle rozmarza...

Ale na kolacji w Wantzenau po stronie naszych wschodnich partnerów prym wiodą przedstawiciele państw, które podpisały układ stowarzyszeniowy z UE: Ukrainy i Gruzji. Co prawda Kiszyniów też podpisał, ale niedawno wybory prezydenckie wygrali tam prorosyjscy komuniści i spektakularnie włączyli bieg wsteczny w mołdawskim samochodzie, który wydawało się, że spokojnie zmierza do UE.

Niestety EURONEST składający się z sześciu państw podzielił się na trzy grupy. W pierwszej są ci, którzy podpisali cyrograf z Brukselą i w jakiejś perspektywie, pewnie raczej odległej, chcą wejść do politycznej Europy. W drugiej są ci, którzy podpisali układ z Rosją w postaci umowy o współpracy celnej. To nasz sąsiad Białoruś i najstarsze chrześcijańskie państwo świata – Armenia. Trzecią grupę stanowi samotny Azerbejdżan, najbogatszy kraj Kaukazu Południowego, który zrażony do Zachodu za bezceremonialne ingerowanie w jego wewnętrzne sprawy wszem i wobec pokazuje i bogactwo, i neutralność.

Na kolacji każdy mówi o swoim. Wpływowa parlamentarzystka z Gruzji, szefowa Komisji Integracji Europejskiej Tamar Chulordawa o wyborach prezydenckich w jej kraju. Ledwo wygrał przedstawiciel obozu władzy, czyli Gruzińskiego Marzenia. To przeciwnicy Saakaszwilego, którzy wbrew obawom nie przerzucili wajchy i sprawili, że Gruzja dalej jest na zachodnim kursie. Do tego stopnia, że zbliża się do NATO, co u Rosjan budzi wściekłość. To dobrze, ale jam markotny, bo przecież pamiętam, jak na szczycie NATO w Bukareszcie, 10 lat temu prezydent Lech Kaczyński delikatnie wspierany przez Amerykanów chciał przedstawienia „mapy drogowej" dla Tbilisi w kontekście Paktu Północnoatlantyckiego. Wtedy zablokował to NATO-wski „trójkąt bermudzki", czyli Berlin–Paryż–Rzym, w swej krótkowzroczności nie przewidując, że ten hamulec zaciśnięty przez trójprzymierze (sic!) Niemiec, Włoch i Francji ośmieli Rosję do agresji na Gruzję niespełna cztery miesiące później! A więc Gruzinka mówi o innej Gruzince, która właśnie co została pierwszą kobietą prezydentem w długiej historii tego kraju, a drugiego chrześcijańskiego państwa na świecie. Na co siedzący po mojej lewej stronie Ukrainiec, przez prawie 10 lat minister spraw zagranicznych tego kraju, Borys Tarasiuk, zaufany człowiek Julii Tymoszenko, mówi o wyborach w jego ojczyźnie. Prezydenckich – już za parę miesięcy. Każdy dudek swój chwali czubek i Borys uważa, że tym razem „piękna Julia", która przegrała wyścig prezydencki z Janukowyczem w 2010 roku, pokona obecnego prezydenta Petro Poroszenkę. Niemka nie mówi o wyborach w CDU, choć w zasadzie mogłaby powiedzieć, że po najbliższych wyborach do Bundestagu bardzo możliwe, że po raz pierwszy w historii Republiki Federalnej powstanie koalicja „Schwarz–Gruen", czyli CDU-CSU i „Zieloni" właśnie. Za to ukraiński sąsiad pyta mnie o wybory w Polsce. Prezentuję nieurzędowy optymizm, ale podkreślam, że w moim kraju mamy aż cztery wybory w ciągu półtora roku. Z kolei moja ukraińska sąsiadka z prawej z zazdrością mówi o Polsce, ale też o tym, że Ukraińcy, którzy wyjeżdżają za pracą na Zachód, do ojczyzny wracają tylko na wakacje. „Kto zarobi na nasze emerytury?" – pyta matka trójki dzieci, której opowiadam o asymilacji dziesiątków tysięcy jej rodaków (z rodzinami) w Polsce. I tylko gdy Ukrainiec, bądź co bądź były szef dyplomacji, życzy mi powodzenia, popisując się znajomością języków – po arabsku, siedzący obok niego Hiszpan wzdryga się i mówi, że teraz i tutaj lepiej tego nie czynić... ■

eprasa.pl 475b32102c

Hanna Shen

Amerykańsko-chińskie potyczki

Ostry atak na politykę Chin – m.in. na Nowy Jedwabny Szlak – na szczycie APEC w listopadzie ubiegłego roku nie zapowiadał, że Donaldowi Trumpowi i Xi Jinpingowi na szczycie G-20 w Buenos Aires uda się osiągnąć rozejm. A jednak w Argentynie wynegocjowano 90-dniowe porozumienie. Krótki spokój, a może raczej pozorny spokój, o czym świadczy kolejna bitwa amerykańsko-chińska o Huawei.

eprasa.pl 475b32

fot. ROMAN PILIPEY/PAP/EPA

Przemówienie wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a na odbywającym się w połowie listopada w Papui-Nowej Gwinei szczycie Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC) było ostrą krytyką Chin. Pence oskarżył Pekin o nieuczciwe praktyki handlowe i ostrzegł, iż „USA nie zmienią swojego kursu, jeśli nie zrobią tego Chiny".

Chińskie projekty zagrożeniem dla suwerenności

Wiceprezydent USA mówił, iż ChRL udziela kredytów mniejszym państwom w celu uzależnienia ich od władz w Pekinie, a Nowy Jedwabny Szlak (lub tzw. Pas i Szlak) przedstawił jako inicjatywę chińskich komunistów służącą pozbawieniu suwerenności krajów, które w niej uczestniczą. „Nie akceptujcie kredytów, które mogą zagrozić waszej suwerenności. Brońcie własnych interesów, zachowujcie swoją niepodległość. Róbcie jak USA: pierwszy zawsze wasz kraj" – apelował Mike Pence do politycznych przywódców obecnych na szczycie APEC.

Jednocześnie amerykański przywódca zapewniał, że oferta Stanów Zjednoczonych jest lepsza niż chińska, bo „USA wyciągają swoją dłoń w geście pokoju oraz partnerstwa" i szukają „współpracy, a nie kontroli". „Nie oferujemy ograniczających pasów lub jednostronnych szlaków" – podkreślił amerykański polityk, jeszcze raz krytykując Nowy Jedwabny Szlak. Mike Pence odniósł się także do sporu o Morze Południowochińskie, do którego pretensje roszczą sobie m.in. Chiny, i oświadczył, że amerykańskie wojsko będzie „wciąż latało oraz pływało wszędzie tam, gdzie pozwala na to prawo międzynarodowe". Wiceprezydent USA zapowiedział też utworzenie Indo-Pacific Transparency Initiative, programu z amerykańskim wsparciem ponad 400 mln dolarów, który ma pomóc w zwalczaniu korupcji i wzmocnieniu suwerenności państw w regionie. Inicjatywa ta odbierana jest jako jedna z tych mających być przeciwwagą dla Nowego Jedwabnego Szlaku.

Dodatkowo na szczycie APEC Amerykanie ogłosili budowę wspólnie z Australią i Papuą-Nową Gwineą bazy wojskowej na wyspie Manus. I ten projekt także odbierany jest jako wymierzony w Chiny. Jest to próba ograniczenia wpływów Pekinu na Pacyfiku. Ogłoszenie projektu budowy bazy nastąpiło niedługo po tym, jak pojawiły się informacje, że Chiny zaproponowały innemu państwu w Oceanii, Republice Vanuatu, budowę tam swojej bazy wojskowej.

Przemówienie Pence'a na APEC było szczególnie obserwowane, bo odbywało się przed spotkaniem prezydenta Trumpa z chińskim przywódcą Xi Jinpingiem na szczycie G-20 w Buenos Aires. Miało ono sugerować, czy

epraso.pl-475b32102c

w trwającym już starciu handlowym – wojna na cła Waszyngtonu i Pekinu – będzie można oczekiwać porozumienia między liderami obu państw. Ostry ton wypowiedzi wiceprezydenta USA i amerykańskie inicjatywy wymierzone w Pekin, a przedstawione na APEC, nie dawały zbyt dużo nadziei na przełom w Argentynie.

Chiński cesarz potrzebuje porozumienia

A przełomu potrzebował szczególnie prezydent Xi Jinping, który jest mocno krytykowany w samych Chinach za prowadzoną politykę. Cenzura i kara za krytykę komunistycznych władz ChRL powodują, że głosy sprzeciwu w Państwie Środka, odkąd Xi doszedł do władzy, są coraz słabiej słyszalne. A jednak w ostatnich miesiącach słów krytyki prezydentowi ChRL nie szczędzono. Xu Zhangrun, profesor prawa na Uniwersytecie Tsinghua w Pekinie, podjął wielkie ryzyko, gdy w połowie zeszłego roku ostro zaatakował politykę Xi w artykule, jaki ukazał się na stronie pekińskiego think tanku Unirule Institute of Economics. „Ludzie w całym kraju, w tym cała biurokratyczna elita, ponownie czują się zagubieni, niepewni co do kierunku, w jakim zmierza kraj, i co do własnego bezpieczeństwa, a rosnący niepokój przeradza się już w panikę w całym społeczeństwie" – pisał Xu Zhangrun.

Krytyka Xi przyszła także ze strony politycznego establishmentu w Pekinie. Tajwańskie media pisały, iż przed szczytem G-20 Zhu Rongji, premier ChRL w latach 1998–2003, podczas jednego z publicznych wystąpień stwierdził, że „przestrzeganie zasad Światowej Organizacji Handlu (WTO) jest dobre dla chińskich reform i polityki otwarcia", a tymczasem podczas swoich rządów Xi Jinping odstąpił od zasady otwartego rynku i to m.in. spowodowało zaostrzenie konfliktu z USA. Konfliktu, którego najbardziej spektakularnym elementem stała się wojna celna rozpoczęta przez Donalda Trumpa. Ta bitwa według monachijskiego instytutu EconPol Europe spełniła swoje podstawowe zadanie – zmniejszył się import z Państwa Środka, a tym samym deficyt handlowy USA z Chinami o 17 proc. Koszty poniosły głównie firmy z Chin. Wartość ceł nałożonych przez USA na towary z Chin sięgnęła 22,5 mld dolarów, przy czym 18,9 mld dolarów zapłaciły chińskie firmy.

Dodatkowo coraz więcej firm chińskich i zagranicznych produkujących w ChRL zaczęło uciekać z Państwa Środka do innych krajów, na przykład do Azji Południowo-Wschodniej.

Rozejm na 90 dni

W obliczu rosnącej krytyki w kraju i pogarszającej się sytuacji gospodarczej Xi Jinping, lecąc na szczyt G-20 w Buenos Aires, wiedział, że nie może sobie pozwolić na eskalację konfliktu z Trumpem. Strona chińska jeszcze w ostatniej chwili próbowała starych sztuczek – aby mieć jak największy wpływ na wynik negocjacji z USA, usiłowała od rozmów w Argentynie odsunąć jednego z członków delegacji amerykańskiej Petera Navarro, doradcę Donalda Trumpa do spraw handlu, znanego z ostrego podejścia do Chin. Rzeczywiście Navarro nie znalazł się na liście obecnych w Buenos Aires, o czym w ostatnim momencie miał się dowiedzieć Trump. Według Guo Wenguia, chińskiego miliardera starającego się o azyl w USA i dobrze znającego metody działania władzy w Pekinie, amerykański prezydent USA miał wpaść w furię i wysłał samolot po Navarro. Doradca Trumpa ostatecznie przybył z amerykańską delegacją do Argentyny.

Po spotkaniu Xi–Trump 1 grudnia na szczycie G-20 informacje o jego rezultatach jako pierwsze podały media ChRL. Z triumfem doniesiono, że zawarto porozumienie i że wojna celna zostaje wstrzymana. Minęło kilka godzin, zanim Amerykanie podali pełniejsze i prawdziwsze informacje – owszem Chiny i USA zgodziły się na wstrzymanie podwyższenia ceł (podwyżka miała wejść w życie 1 stycznia 2019 roku), ale na okres 90 dni. W czasie rozejmu miały być prowadzone dalsze negocjacje, których celem byłoby zawarcie ostatecznego porozumienia pomiędzy Pekinem a Waszyngtonem. Klęska negocjacji oznaczać miała powrót „starego", czyli podwyżkę ceł i nowe cła.

Prezydent Xi zgodził się również ponownie rozważyć zablokowaną wcześniej przez Pekin decyzję o przejęciu producenta półprzewodników NXP przez amerykańskiego wytwórcę procesorów Qualcomm. Chiński przywódca obiecał też umieścić jeden z produkowanych w Chinach opioidów – fentanyl – na krajowej liście leków regulowanych, co oznaczałoby, że osoby, które sprzedają fentanyl do USA, będą podlegać w Państwie Środka maksymalnej karze. 16 sierpnia ubiegłego roku Donald Trump na spotkaniu gabinetu stwierdził, że nielegalne opioidy wytwarzane w Chinach i wysyłane do Stanów Zjednoczonych są „niemal formą działań wojennych".

Już po powrocie delegacji USA z Argentyny Peter Navarro w wypowiedzi dla National Public Radio (NRC) wskazał, co spowodowało, że Trump zdecydował się na „zawieszenie broni" z Pekinem. Najważniejszą kwestią dla Amerykanów była kradzież własności intelektualnej i wymuszony transfer technologii. W trakcie rozmów w Buenos Aires Chińczycy mieli przedstawić konkretne rozwiązania dotyczące 142 amerykańskich żądań w tym temacie, m.in. poprzez wprowadzenie pewnych zapisów w prawie ChRL. Widząc większą wolę ze strony Pekinu w sprawie rozwiązania kwestii kradzieży własności intelektualnej, ad-

eprasa.pl 475b32102c

ministracja Trumpa zdecydowała się dać Chińczykom – jak to opisał Navarro – „90 dni na zrobienie tego, co powinni byli zrobić przez ostatnie 20 lat".

Zawieszenie broni, a potyczki trwają

Mamy więc zawieszenie broni. Przez trzy miesiące toczyć się będą negocjacje, ale Trump nie odpuszcza Chińczykom. 1 grudnia, a więc tego samego dnia, gdy prezydent USA siedział przy stole w Buenos Aires z Xi Jinpingiem, zatrzymana została w Kanadzie na prośbę USA dyrektor finansowa Huawei Meng Wanzhou. Jest ona także córką Rena Zhengfeia, założyciela Huawei, firmy, która chce odgrywać dominującą pozycję w światowej telekomunikacji, a która jest jednocześnie mocno kontrolowana przez Chińską Armię Ludowo-Wyzwoleńczą i oskarżana o prowadzenie działalności szpiegowskiej na rzecz Pekinu.

ment Group. Wśród 113 amerykańskich spółek wymienionych w portfelu inwestycyjnym Danhua, większość pochodzi z tzw. powstających sektorów, na przykład biotechnologia i sztuczna inteligencja, które administracja USA określa jako „strategiczne priorytety chińskiego rządu". Zhang był też dyrektorem konsultantem w Lenovo, chińskiej firmie informatycznej, na którą Amerykańska Federalna Komisja Handlu nałożyła w 2017 roku karę 3,5 mln dolarów za zainstalowanie oprogramowania szpiegującego użytkowników.

Zhang Shoucheng miał popełnić samobójstwo, bo cierpiał na depresję. Jak zauważają chińscy internauci, na tę chorobę często umierają chińscy szpiedzy. Wielu ekspertów do spraw wywiadu ostrzega, że naukowcy chińscy pracujący na Zachodzie prowadzą działalność szpiegowską dla komunistycznych władz ChRL. I to między innymi poprzez taką działalność wiele technologii wytworzonych na Zachodzie trafiło

ADMINISTRACJA TRUMPA NA DUŻO WIĘKSZĄ SKALĘ NIŻ POPRZEDNIE RZĄDY PROWADZI DZIAŁANIA MAJĄCE POWSTRZYMAĆ CHIŃSKĄ AGENTURĘ W USA.

Meng ostatecznie została zwolniona za wysoką kaucją (10 mln dolarów kanadyjskich), ale nie może opuścić Kanady i czeka na decyzję sądu w sprawie ekstradycji do USA. Amerykański sąd oskarża Meng Wanzhou o wprowadzenie w błąd międzynarodowych banków podczas transakcji z Iranem, co mogło doprowadzić do złamania sankcji nałożonych na ten kraj przez USA. Pani Meng grozi w USA kilka 30-letnich wyroków więzienia.

Niemal w tym samym czasie, gdy kanadyjski sąd ogłaszał decyzję o wypuszczeniu Meng za poręczeniem majątkowym, Trump w wypowiedzi dla Reutersa zasugerował, że zainterweniuje w sprawie dyrektor finansowej Huawei, jeśli to będzie służyło bezpieczeństwu narodowemu USA lub pomoże osiągnąć umowę handlową z Chinami.

Gdy 1 grudnia Trump rozmawiał z Xi i rozpoczynała się potyczka o Huawei, to także tego dnia miało miejsce inne wydarzenie, które nie przykuło uwagi czołowych mediów – śmierć Zhang Shouchenga, 55-letniego chińskiego fizyka specjalizującego się w fizyce materii skondensowanej i wykładającego na Stanford University, gdzie m.in. opracował program sztucznej inteligencji (AI), Atom 2Vec. Zhang od lat wymieniany był jako kandydat do Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki. Naukowiec założył także firmę venture capital Danhua Capital, której jednym z głównych dostarczycieli kapitału była chińska państwowa firma Zhongguancun Develop-

do Państwa Środka i pozwoliło na rozwój dziś już gigantów chińskiej gospodarki, firm takich jak Huawei czy ZTE. Według wspomnianego już wcześniej Guo Wenguia sprawą Zhang Shouchenga od jakiegoś czasu zajmowało się FBI.

Śmierć Zhang Shouchenga nie jest jedynym w ostatnich tygodniach przypadkiem „wyciszenia" osoby, która mogła dużo powiedzieć o działalności szpiegowskiej Pekinu na terenie USA. Pod koniec listopada ubiegłego roku w chińskiej dzielnicy w Los Angeles zastrzelony został Xie Yinning, założyciel i wydawca propekińskiej, chińskojęzycznej gazety „Qiao Bao" w USA. „Qiao Bao" współpracował z „Global Times", dziennikiem KPCh. Xie Yinning przed przyjazdem do USA w 1990 roku pracował dla China News Service, państwowej agencji prasowej w ChRL, i z pewnością posiadał dużą wiedzę na temat tego, jak budowała się agentura ChRL w Stanach Zjednoczonych.

Wiadomo, że administracja Trumpa na dużo większą skalę niż poprzednie rządy prowadzi działania mające powstrzymać chińską agenturę w USA. W tym samym czasie na terenie Stanów Zjednoczonych umierają osoby, które mogły w tej szpiegowskiej działalności brać udział lub dużo o niej wiedzieć. A wszystko to jeszcze rozgrywa się w czasie rozejmu chińsko-amerykańskiego ogłoszonego na szczycie G-20 i raczej świadczy o tym, że 90-dniowe zawieszenie broni będzie pełne potyczek. ■

eprasa.pl 475b32102c

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Gdy robi się zbyt idealnie...

Daleko, na egzotycznych Karaibach, 8,5 tysiąca kilometrów na południowy-zachód od Polski leży pewna wyspa. Z białymi plażami i turkusową wodą. Ze słońcem i bezchmurnym niebem. I z czymś jeszcze...

eprasa.pl 475b321b2c

eprasa.pl·475b32102c

Poza kilkoma wyjątkami próżno szukać tu ludzi opalających się na własnych ręcznikach. Aruba jest raczej dla ludzi bardzo bogatych

Opalają się na hotelowym leżaku. Chłopak i dziewczyna. Na oko są niewiele po trzydziestce. Od pewnego czasu nieustannie chichoczą. Najwyraźniej coś ich przed chwilą bardzo rozbawiło. Albo raczej ktoś. Przeglądają zdjęcia na komórce. Coś sobie przy tym pokazując. By po chwili znów głośno się zaśmiać, zakrywając buzie. Chyba udało im się sfotografować tajemniczy obiekt żartów. Co pewien czas niedyskretnie rzucają okiem na cel. Czy czasem jeszcze ich nie spostrzegł, nie zorientował się. Po chwili na nowo parskają śmiechem, przerzucając palcem po komórkowym ekranie dotykowym.

Na pierwszy rzut oka widać, że to bogaci ludzie. Złote łańcuszki, drogie zegarki. Markowy elegancki kapelusz na głowie kobiety. Obok nich na białym stoliczku stylowe szklaneczki z kolorowymi drinkami. Z obowiązkową palemką każdy.

Po chwili spokoju dziewczyna znowu szturcha partnera. Oto znowu idzie ich cel. Zupełnie nie zwracając na nich uwagi. Trzydziestoletni mężczyzna. Podniósł się właśnie z ręcznika, aby schłodzić się z morzu. Jak okiem sięgnąć to w tej chwili jedyna osoba, która opala się z własnym ręcznikiem na plaży. Cała reszta to klienci okolicznych hoteli wynajmujący wygodne leżaczki z parasolkami. Jak choćby właśnie ta para. Są na terenie hotelu. Tamten człowiek musiał kawałek odejść, aby móc położyć się na własnym ręczniku. Na kawałku plaży nienależącej już do hotelu. Przy natkanych jeden przy drugim hotelach takich odcinków nie ma tu za wiele. Ludzie muszą więc szukać.

A ludzi na Arubie generalnie za dużo nie ma. Większość to bogaci Amerykanie i Niemcy. Oni mają gdzie leżeć. Człowiek z własnym ręcznikiem poszukujący „plaży niczyjej" to tutaj zdecydowana mniejszość. A jednak się trafił.

Mężczyzna idzie do morza w samych tylko slipkach. Standardowych. Takich, jakie nosi większość populacji męskiej w naszym kraju, gdy tylko wybiera się na basen. Podobnego rodzaju slipek jednak tutaj nikt już nie nosi. To przeżytek. Zapomniana moda lat 90. Dziś idący na plażę panowie obowiązkowo zakładają szorty. Typowe dla australijskich surferów. W końcu trend do czegoś zobowiązuje. Ten mężczyzna najwyraźniej o tym nie wie. I przez to mocno się wyróżnia. Co bardzo rozbawiło wspomnianą parę. Znów robią mu zdjęcie, uroczo przy tym chichocząc.

Uciszają się tylko, gdy mężczyzna wraca z morza. Przechodząc niedaleko ich leżaka. Znów zupełnie nie zwracając na nich uwagi. Kładąc się po chwili ponownie na rozłożonym kilkadziesiąt metrów dalej czerwonym ręczniku. Obok swojej koleżanki. Ta się w tym czasie nie kąpała. Została pilnować ich rzeczy.

eprasa.pl 475b32102c

Aura w Saint Nicolaas, czyli w tzw. Chocolate City. Jakże odmienna od reszty wyspy

– Widziałeś to? – pyta mnie Magda.

– Ale co? – dopytuję, nie mając zupełnie pojęcia, o co chodzi.

– Tych dwoje tam – Magda gestem ręki wskazuje na parę młodych ludzi leżących na hotelowym odcinku plaży. – Od pięciu minut robią ci zdjęcia.

– Serio? – uśmiecham się. – A dlaczego?

– Chyba chodzi o twoje slipki. Zwróć uwagę. Troszkę się tu wyróżniasz...

– Ha-ha! Serio? – śmieję się, wycierać włosy ręcznikiem. – Tak przynajmniej więcej się opalę. I w wodzie nie wyglądam jak napompowana meduza.

– Nie denerwuj się. To nie ich wina. My faktycznie troszkę tu nie pasujemy – tonuje mój buńczuczny nastrój koleżanka. – Ilu tu widziałeś dziś ludzi z własnym ręcznikiem?

– No... – myślę na głos. – A choćby tam. Po drodze. Ta duża rodzinka.

– No właśnie – przytakuje Magda, szczęśliwa, że to powiedziałem, bo tylko potwierdziłem w ten sposób jej teorię. – Wielodzietna rodzinka, która przyjechała na plażę nie prywatnym Lexusem, lecz publicznym autobusem. A teraz szuka cienia pod jedyną na plaży palmą. Poza nimi jednak nie widzieliśmy nikogo.

– Faktycznie. Coś w tym jest...

„One Happy Island"

– Dzień dobry. Chciałbym poprosić tę pizzę... – wskazuję młodemu dotąd bezczynnie stojącemu za ladą ekspedientowi. Jestem w maciupeńkiej pizzerii w niewielkiej wiosce Noord. Zwabił mnie tutaj dręczący mnie już od kilku godzin głód. No i ta ulotka, która wpadła mi w ręce. Z ofertą margherity za 8 dolarów.

– Margherita, si? – władający tak angielskim, jak i hiszpańskim (co tutaj wśród mieszkańców wyspy jest raczej przyjętą normą: Kreole są dwu- lub trzyjęzyczni) kasjer szuka w moich oczach potwierdzenia.

– Tak, tę za 8 dolarów.

– Sir... – mam wrażenie, że chłopak jest nieco skonfundowany.

– Tak?

– To cena za pojedynczy kawałek. Cała pizza kosztuje 30 dolarów [czyli około 130 zł!].

Jak już wspomniałem, od kilku dni jestem na Arubie. Bez wątpienia jednej z najdroższych wysp świata. Zarówno dla turystów, jak i dla rodzimych mieszkańców. Jednak mimo wszystko tych pierwszych z każdym rokiem jest na Arubie coraz więcej. Przybywają głównie ze Stanów. Mają naprawdę blisko. Zaledwie 2,5 godziny lotu samolotem z Miami. Kuszą ich foldery agencji podróży afiszujące na swoich okładkach słynne zdjęcie z charakterystycznym dla wyspy

eprasa.pl 475b32102c

Po jednej stronie wyspy plażowicze podziwiają wschód słońca, by po drugiej oglądać potem jego zachód

drzewkiem divi-divi. Niskopiennym, samotnym, pochylonym tak dalece, że wręcz położonym na piaszczystej plaży. To idyllicznie romantyczne drzewko stanowi wizytówkę Aruby. Oczywiście tuż obok białych, iście karaibskich plaż. Takich z widokówek, jakie marzą się nam, gdy myślimy o urlopie na wyśnionych Karaibach.

Aruba. Jedna z wysp tzw. Małych Antyli. Archipelagu wysp na Morzu Karaibskim. Małe Antyle tym różnią się od Wielkich, że część z nich jest położona w paśmie zawietrznym. W odróżnieniu chociażby od Haiti, Aruby nigdy nie dosięgną huraganowe wiatry znad Atlantyku. Chroni je przed nimi pasmo tzw. Wysp Nawietrznych. To o nie rozbijają się największe fale oceanu. To na nie natykają się tragiczne w skutkach cyklony. Aruba zaś pozostaje w zacisznym zakątku południowo-zachodniej części Morza Karaibskiego. Jakby nieco na uboczu. Schowana również przed wielkimi chmurami burzowymi. Przez co na Arubie przez większość roku potrafi nie spaść ani jedna kropla deszczu. Co nie umyka, rzecz jasna, uwadze biur podróży, nazywającym Arubę „One Happy Island" („Pewną Wyspą Szczęścia"). Wyspą bez deszczu, bez huraganowych fal i bez zimnych pór roku. Za to z grzejącym cały rok słońcem, zawsze ciepłą wodą i typowymi karaibskimi plażami. To musi kusić. I faktycznie kusi.

Woda za darmo

Wspomniana liczba pokus sprawia jednak, że pobyt na wyspie może dla przeciętnego Europejczyka oznaczać małe bankructwo. Ceny na Arubie są horrendalne. Wysokie jak słupki rtęci na tutejszych termometrach. Ot, przyjrzyjmy się choćby cenom noclegów nieopodal pobliskiej Palm Beach. Za noc w apartamencie wielkiego, sięgającego błękitnego nieba hotelu w okresie sylwestrowym zapłacić trzeba około 1000 dolarów. I proszę mi wierzyć, chętnych nie brakuje. Wprost przeciwnie. Podobnie rzecz się ma na plaży. Skoro kogoś stać na przyjazd na Arubę, to wydanie 30 dolarów za korzystanie przez kilka godzin ze słomkowego leżaka z usytuowanym obok parasolem nie będzie większym problemem.

Rzeczywiście, dziś, gdy mam świadomość, jak dalece ekonomicznie odstaję od pozostałych plażowiczów, rozkładając na piachu swój mocno zmechacony podróżami ręcznik, czuję się dość nieswojo. To silniejsze ode mnie. Wokoło mnie wszyscy na wykupionych leżakach. Wylegujący się w najnowszych kolekcjach strojów kąpielowych. Z kolorowymi drinkami w rękach. Nie, nawet nie będę pytał o ceny. Bo i po co? Wystarczyła mi ta wizyta w pizzerii. Albo najzwyklejsze zakupy, gdy bezradnym wzrokiem ślizgałem się po wystawionych w sklepowych lodówkach szynkach i serach. Za 8 pla-

eprasa.pl 475b32102c

Północno-wschodnie wybrzeże wyspy to srogie klify i malownicze zatoki

sterków właściciel życzył sobie prawie 10 dolarów. Już wiedziałem, że na Arubie trzeba będzie zacisnąć pasa. I to dość mocno.

Czasem tylko przyjdzie do głowy bezradne pytanie: po co ja tu przyjeżdżałem? Zamęczę się przecież. Pójdę chyba ostudzić się do morza. Woda przynajmniej jest za darmo. Dla wszystkich. Bez wyjątku.

Interior

Na Arubie jest jednak to coś. Fakt, że wyspa jawi się w oczach turystów przede wszystkim jako słoneczny raj, sprawia, że mało który wyprawia się na eksplorację jej interioru. A wnętrze wyspy posiada kilka smaczków...

– Dobrze, że Staś pożyczył nam to auto... – po dłuższej chwili jazdy przez pustkowie Magda przerywa milczenie.

– Oj tak... Na piechotkę raczej byśmy tu nie dotarli... – podchwytuję.

– Albo w najlepszym razie za kilka tygodni – uśmiecha się koleżanka.

Chyba wreszcie zaczyna łapać dystans. To dobrze. Do tej pory bowiem w milczeniu obserwowała to, co za oknem. A tam rzeczywiście pustynia, pustynia, pustynia. Suche badyle jako krzaki, spalona słońcem ziemia i daleko w tle wąski błękitny paseczek. To Morze Karaibskie. Wjechaliśmy na północne rubieże Aruby. Ciekawe, że od kilkudziesięciu minut nie minęliśmy żadnego samochodu. Piaszczysta droga staje się coraz węższa. Naturalną jej granicę wytyczają rosnące coraz gęściej kaktusy. Dopiero po pewnym czasie widać dziwną wypukłość. Na dość płaskiej wyspie to musi zastanawiać.

Jesteśmy już na tyle blisko, że widać nieco wyraźniej kształty. Obłe kamienie. Jakby ułożone przez jakiegoś olbrzyma. Jeden na drugim. Domyślam się, że tutejsi już od dawien dawna snują legendy, co dana formacja może przedstawiać. Ten najbliższy to pewnie będzie wielbłąd. A tam dalej pysk rekina. Jak przystało na wyspę ze wszech stron otoczoną ciepłymi wodami Morza Koralowego.

Dojechaliśmy. To skalna formacja Ayo. Nie ma o niej za wiele w przewodnikach. I pewnie dlatego jesteśmy tutaj zupełnie sami. Ależ cisza. Szum pędzącego znad morza wiatru świdruje między obłymi skałami, przypominającymi wielkie gałki lodów. Pora wejść głębiej.

Atak

Po Ayo prowadzi dyskretna ścieżka. Z początku wytyczona przez leżące po obu jej stronach kamyczki. Z czasem znika. Trzeba już sobie radzić samemu. A opcji jest naprawdę wiele. Można pójść prosto przez wąski wąwóz między głazami. Ale i odbić w prawo, wchodząc nieco wyżej. Wybieram tę drugą opcję.

eprasa.pl 475b32102c

Indiańscy wodzowie, którzy jako pierwsi przywędrowali na wyspę, zostali pochowani obok niewielkiej kaplicy na wzgórzu nieopodal Noord

– Stamtąd musi być świetny widok na całą okolicę! – tłumaczę się patrzącej na mnie troskliwie Magdzie.

– Uważaj, proszę cię... Tu mogą być węże!

Węży może i nie widać. Ale za to wygrzewających się jaszczurek całe mnóstwo. I niestety coś jeszcze... Żeby wejść wyżej na kolejną skałę, muszę przejść obok gniazda dzikich pszczół. Widzę, jak powolutku zaczynają mnie osaczać. Próbuję tonować ruchy. Zresztą, w razie ataku i tak nie będę miał większych szans. W jednej ręce aparat, przewieszona przez ramię kamera... Może być ciężko. Idę dalej. Jeszcze wyżej.

Rzeczywiście. Z góry widać lepiej. Również fragmenty rafy koralowej na skale. A więc niegdyś było tu morze. I dopiero z czasem wielka woda oddała lądowi, co mu należne. Przez chwilę czuję się jak prawdziwy traper. Zdobywca. Jestem tutaj na górze zupełnie sam. Archeolodzy są zdania, że formacja Aya służyła pierwotnym mieszkańcom wyspy, ludowi Arawaka, jako miejsce do meteorologicznych obserwacji. To stąd najlepiej było widać nadciągające nad wyspę chmury burzowe.

Póki co na niebie jednak czysty błękit. Padać raczej nie będzie.

– Auuuć! – z cudnej kontemplacji wybudza mnie nagłe ostre ukłucie.

– Co się stało?! – schowana pośród skał na dole Magda nie może widzieć, co się dzieje.

– Pszczoły! Rozpoczęły atak! – krzyczę, czym prędzej kierując się ku zejściu ze skały.

Robi się naprawdę niebezpiecznie. Każde kolejne ukąszenie to nowa fala dziwnej gorączki przeszywającej całe ciało. Pszczoły ewidentnie poczuły się zagrożone. Latają wokół mnie niczym bombowce, szykując się do ataku. Od tego, jak szybko zniknę, zależy to, jak bardzo napuchnie mi ciało. „Prędzej!" – poganiam niezdarne ciało, szukające po omacku kolejnych chwytów prowadzących ze skały w dół. Wchodzić było jednak znacznie łatwiej.

Jestem już na dole. Obok Magdy. Jest zła, że jej nie posłuchałem. Pewnie ma rację. Pszczoły na szczęście zostały przy swoim gnieździe. Dopiero z tej perspektywy widzę, że w ścianach skał gniazd jest znacznie więcej.

eprasa.pl 475b32102c

Chyba będzie lepiej, jak stąd czym prędzej czmychniemy. Już mnie wcale nie dziwi, że nikogo tu nie ma.

Film na ulicy

Podobnie jak nie znajdziemy za wielu ludzi w Saint Nicolaas, niewielkim miasteczku ulokowanym przy południowo-zachodnim wybrzeżu wyspy. Leniwym, cichszym, w południe, zdawałoby się, że wręcz wymarłym.

– Tam lepiej nie jechać – przestrzegał nas przed wizytą w tym miejscu znajomy misjonarz. – Nazywamy to miasteczko „Chocolate City".

– Robią tam dobrą czekoladę? – pytam prowokująco, dobrze wiedząc, od czego tak naprawdę bierze się popularny przydomek Saint Nicolaas.

– Nie. Od mieszkańców. Sam rozumiesz... – dodaje z przekąsem. – Miasteczko zamieszkują w znacznej mierze imigranci. Część przybywa tu z Wenezueli. Część jeszcze dalej. Niektórzy to potomkowie czarnych z Afryki. Nie lubią pracować. Żyją z zasiłków.

– Całe miasteczko żyje z zasiłków? – dopytuję, nie dowierzając przedstawionej przed chwilą teorii.

– Mają jeszcze kilka barów. Ale to raczej przykrywka.

– Pod co?

– Po pierwsze, pod handel narkotykami. A po drugie... – tutaj misjonarz zawiesza głoś. – Na Arubie wszyscy wiedzą, że jak szukasz dziewczyny na noc, to najszybciej znajdziesz ją w „Chocolate City".

Faktycznie. Wszystko się zgadza. W miasteczku znajdujemy jeden barakowy sklepik. Jest jeszcze jeden fast-food. Posterunek policji. Kilka zdezelowanych domów. Poza tym dwa duże domy zabaw. Z wiadomymi banerami przy wejściu. Mającymi zachęcić męskich klientów. I dziwna aura w powietrzu. Przyznam, że troszkę nieswojo spacerować po takim miejscu. Można odnieść wrażenie, że cały czas ktoś cię tu obserwuje.

– Ej, ty! – słyszę od czarnoskórego mężczyzny przechodzącego pomiędzy zaparkowanymi samochodami. – Bo zaraz ja ci zrobię zdjęcie.

Facet najwidoczniej zauważył, że go filmuję. Wyjmuje więc swój telefon z kieszeni i imituje nagrywanie mnie. Jest w tym wszystkim nawet dość zabawny. Na szczęście. Mimo wszystko jednak wolę wrócić do samochodu. I zapalić silnik.

Komar, wąż i spokój

– Uważaj na komary – pałaszujący śniadanie Staszek nagle zmienia temat. – Niektóre mają chikungunya.

– To ta słynna choroba, co to ostatnimi czasy pojawiła się u wybrzeży Ameryki Południowej? – dopytuję.

– Tak. Wiotczeją ci mięśnie, wysiadają stawy. Niebezpieczne badziewie.

– I do was też to dotarło?

– Niestety. Nie tak dawno ogłosili pierwszy przypadek w szpitalu.

– A czy każdy komar może być nosicielem chikungunya?

– Nie, nie. Ponoć przenoszą je tylko te z charakterystycznie umalowanymi nogami. Na biało-czarne pasy.

– Takie jak ten? – pokazuję Staszkowi zabitego przed paroma chwilami owada.

– O rety! Skąd go masz?

– Latał w moim pokoju. To ten?

– Tak...

Nie tak dawno przed naszym przyjazdem jeden ze znajomych Staszka znów musiał zabić boa dusiciela. Zagnieździł się u niego w ogrodzie. Mieszkańcy Aruby coraz częściej mówią o „pladze". Węże zostały przesiedlone na Arubę z Wenezueli. Miały wytrzebić nadmiar gryzoni panoszących się coraz odważniej w ogródkach ludzi. Gryzoni dziś już nie ma. Zostały wielkie węże. Oczywiście o tego typu przygodach w folderach biura turystycznego raczej nie przeczytamy. Zresztą, chyba słusznie. Szansa, że boa dopełznie do któregoś z hoteli, jest bliska zeru. A z przybywających na Arubę turystów naprawdę mało który decyduje się na inne zakwaterowanie niż nadmorski kilkugwiazdkowy moloch. Tam przynajmniej będą bezpieczni.

Nudna uczesana perfekcja

Mnie jednak troszkę szkoda, że o takich wężach boa, komarach przenoszących chikungunya czy czarnoskórych prostytutkach z Saint Nicolaas nie przeczytamy za wiele, gdy będziemy pakować się na wakacje na Arubie. I nie chodzi mi bynajmniej, aby w jakikolwiek sposób szkodzić marce „One Happy Island". Raczej o to, by uczynić ją wreszcie nieco ciekawszą. Najeżoną, nieidealną. Wreszcie zaś: niesterylną. Żeby Aruba wreszcie przestała przypominać jeden z setek kurortów na wybrzeżu Morza Karaibskiego. Bo ta wyspa naprawdę ma niezwykły charakter. I jeszcze potężniejszy potencjał. Wcale nieograniczający się do zrobienia zdjęcia słynnym drzewkom divi-divi czy leżenia plackiem na rajskiej plaży pod wejściem do jednego z luksusowych hoteli.

Coś na ten temat mieliby pewnie do opowiedzenia tutejsi potomkowie Indian. Tych samych, których dwaj przedstawiciele – wodzowie, którzy jako pierwsi przywędrowali na wyspę – leżą dziś między kamieniami obok niewielkiej kaplicy na wzgórzu nieopodal Noord. Tych, którzy tak bardzo pokochali to miejsce, że nie chcieli już stąd nigdy wyjeżdżać.

Podejrzewam, że wcale nie z powodu piaszczystych plaż i bezwietrznej pogody na wyspie. Bo tak naprawdę ile można żyć w perfekcji? W końcu musi się znudzić. ■

eprasa.pl 475b32102c

Olga Doleśniak-Harczuk

Czy Joe Black też tak lubi motyle?

W 1998 roku Brad Pitt jako uroczo niepokojący Joe Black, ziemskie wcielenie śmierci w filmie pod tym samym tytułem, w jednej z ostatnich scen rozprawia się z oszustem o imieniu Drew, udając urzędnika kontroli skarbowej. Podatki i śmierć to podobno dwie najpewniejsze sprawy w życiu. To zdanie Joe powtarzał z nieukrywaną satysfakcją, patrząc, jak Drew myli się w zeznaniach. Szkoda, że Związek Niemieckich Podatników, którego członkowie podczas 31. Zjazdu CDU w Hamburgu rozdawali „Czarną księgę marnotrawstwa środków publicznych 2018/19" , nie pomyślał, by wciągnąć Pitta alias Blacka w swoją kampanię demaskującą trwonienie pieniędzy podatnika na absurdalne inwestycje. To by była dopiero nowa jakość w promowaniu wiedzy o urzędniczych patologiach.

eprasa.pl 475b32102c

Nie samą Annegret Kramp-Karrenbauer i Angelą Merkel żył chadecki zjazd. Poza emocjami wywołanymi wyborem nowego lidera CDU znalazło się i pole dla tych pozornie od wyborów oddalonych. Nowe technologie, cyfryzacja, transformacja energetyczna, problemy i wyzwania dla Mittelstandu, czyli średnich przedsiębiorstw, kwestia zniesienia podatku solidarnościowego i wiele innych tematów ze styku wielkiej polityki i gospodarki pochłaniało tysiące ludzi, którzy przez dwa grudniowe dni zamiast pić grzane wino na jarmarku świątecznym w St. Pauli (ten był zdecydowanie największy), postanowili wgryźć się w niemiecką bieżączkę, doświadczyć jej z bardzo bliska. Jak to przy okazji takich imprez bywa, różne grupy lobbingowe, stowarzyszenia i frakcje dwoiły się i troiły, by przyciągnąć do swoich stoisk jak największą rzeszę zainteresowanych. Na jednych stoiskach można było uzyskać swój cyfrowy portret, na innych nieprzyzwoite ilości żelowych misiów, jeszcze inne – jak stoisko Fundacji Konrada Adenauera – kusiły poważnymi lekturami à la archiwalne numery magazynu „Die Politische Meinung". Do dyspozycji gości były m.in. wydania poświęcone ojcom „niemieckich cudów": zjednoczenia – czyli Helmuta Kohla i gospodarczego – Ludwiga Erharda, ponadto historii i tego, czy wyciągamy z niej wnioski, oraz przestępczości w Niemczech. Wszystko nadzwyczaj pouczające i zastanawiające, ale o tym innym razem. W gąszczu ofert i licznych pokus stoiskowych, gdzieś na odcinku między sklepikiem z gadżetami CDU a punktem informacyjnym, na stoliku piętrzyły się stosy czarnej księgi... Blisko 200 stron wiedzy o tym, jak w Niemczech potrafi się marnotrawić pieniądze podatnika. Taki trochę niemiecki „Miś" z kosztownymi, słomianymi interesami. Brzydki Miś, bo czarny i o konsystencji wybitnie nieżelkowej, ale za to z jakim ciekawym wnętrzem.

▶ Motyli los

Przeplatka aurinia to motyl z rodziny rusałkowatych. Ćwierć wieku temu kraj związkowy Szlezwik-Holsztyn ze smutkiem odnotował, że motyl na terenie landu wymarł i nie lata już pod holsztyńskim niebem. Postanowiono tej tragedii zaradzić. W 2013 roku władze landu wykarczowały 18 hektarów lasów iglastych i przygotowały odpowiednio torfowiska na dom dla 100 tys. larw motyla i 1,3 tys. już latających osobników. „Czarna księga" wspomina, że pilotowała projekt od początku i krytycznie mu się przyglądała, a dziś po latach może powiedzieć tylko tyle, że bardzo się cieszy z faktu, iż w pięciu z siedmiu zaimprowizowanych siedlisk złoty motyl się odrodził, szkoda tylko tych 3,3 mln euro, które zainwestowano w akcję „Motyl". Z drugiej strony połowa środków pochodziła z kasy unijnej, czyli wspólnej. Więc w sumie niczyjej. I ten fakt też odnotowano.

▶ Czasem trzeba zmienić tapety

Jednak o tym, jak kosztowny może się okazać taki niby prosty remont, przekonało się Muzeum Tapet w Kassel, przybytek, który od 1923 roku jest dumą wszystkich niemieckich fanów wzornictwa mieszkaniowego. Problem tylko w tym, że od początku XX wieku tapet przybyło i nastała paląca konieczność znalezienia im nowego, godnego, większego domu. Na szczęście nie trzeba było w tym celu karczować lasu, lecz cegła też kosztuje. W przypadku nowych przestrzeni muzealnych koszt realizacji projektu wyceniono w 2010 roku na 11,5 mln euro. Siedem lat później koncepcja uległa przewartościowaniu, a wraz z nią koszt planowanej budowy. Już nie 11,5 mln euro, ale 24,4 mln euro zakontraktowano na poczet tapetowego projektu, który rocznie przyciąga do Kassel całe 50 tys. odwiedzających. Swoją drogą już chyba wiadomo, skąd Muzeum Historii Hamburga miało oryginalne tapety z lat 70. XX wieku, którymi wyłożono zainscenizowany pokój „typowego niemieckiego mieszkania z epoki". Urocze wnętrze.

▶ W poszukiwaniu wegańskiego hamburgera

Marcel Proust poszukiwał straconego czasu, w XXI wieku ludzie mają bardziej pragmatyczne podejście do poszukiwań. W mieście Osnabrück na przykład wiele osób usilnie pragnie zjeść wegańskie danie, ale ponieważ Internet w Niemczech jest reglamentowany, a zdolność komunikacji międzyludzkiej kuleje, Rada Miasta nie miała wyboru i musi już po raz trzeci wydać „Przewodnik po wegańskich restauracjach". Koszt śmieszny w porównaniu z akcją „Motyl" i tapetowym szaleństwem, bo jedyne 5 tys. euro i w dodatku radni spierają się jeszcze, czy przewodnik wydać, czy może lepiej nie. Związek Niemieckiego Podatnika radzi, by radni wybrali drugi wariant. Nie wiem, jak poradzą sobie bez tego trzeciego wydania osnabruccy weganie, ale być może traumę z tytułu nieposiadania materiałów pomocniczych da się wymazać jakimś projektem terapeutycznym. Oby. Trauma zatruwa życie bardziej niż krwisty stek i tatar. „Czarna księga" w pełni zasłużyła na swoją mroczną nazwę, a to dopiero początek... ■

eprasa.pl 475b32102c

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Japonia–Huawei

Na apel Waszyngtonu skierowany do swoich sojuszników, by ograniczyć korzystanie ze sprzętu i technologii chińskiej firmy Huawei ze względu na zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, pozytywnie odpowiedziały m.in. Australia, Nowa Zelandia i Wielka Brytania. 10 grudnia zeszłego roku także Japonia postanowiła wykluczyć Huawei oraz innego giganta telekomunikacyjnego z ChRL – ZTE – z realizacji zamówień publicznych. Rzecznik japońskiego rządu Yoshihide Suga poinformował, że nowe przepisy nie są wymierzone w żadne konkretne firmy. Jednak agencja Kyodo podaje, iż w praktyce uniemożliwią one realizację zamówień publicznych właśnie dwóm największym chińskim producentom sprzętu telekomunikacyjnego, tj. Huawei i ZTE. „To niezwykle istotne, by nie zaopatrywać się w sprzęt, w który wbudowane są złośliwe funkcje, w tym umożliwiające kradzież czy niszczenie informacji" – powiedział Suga na konferencji prasowej dotyczącej nowych regulacji, które mają wejść w życie w kwietniu przyszłego roku.

Firma Huawei została założona w 1987 roku przez Rena Zhengfeia, byłego oficera i inżyniera Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, który jednak nie miał wystarczającego kapitału na uruchomienie tak dużego biznesowego przedsięwzięcia. Zdaniem ekspertów Komunistyczna Partia Chin wpompowała miliardy dolarów w Huawei, a chińska agencja szpiegowska ma swoją siedzibę w głównym biurze firmy.

W lutym 2018 roku na przesłuchaniu przed komisją wywiadu Senatu USA szefowie amerykańskich tajnych służb stwierdzili, że amerykańscy obywatele ze względów bezpieczeństwa nie powinni używać produktów Huawei i ZTE. Według szefa FBI Chrisa Wraya „władze są głęboko zaniepokojone rykiem, jakim jest udostępnienie firmom współpracującym z zagranicznymi rządami dostępu do naszej infrastruktury teleinformatycznej. Miałyby one wtedy możliwość modyfikowania lub kradzieży informacji oraz prowadzenia operacji szpiegowskich". Eksperci uważają, że Huawei jest całkowicie kontrolowane przez komunistyczne władze ChRL.

Tajwan–Chiny–USA

Na konferencji odbywającej się 10 i 11 grudnia w Pekinie na temat relacji USA–Chiny i sytuacji na Morzu Południowochińskim zorganizowanej przez rząd i armię ChRL pułkownik chińskich sił powietrznych Dai Xu wezwał rząd Państwa Środka do przyjęcia bardziej agresywnego stanowiska w kwestii dochodzenia swoich roszczeń. „Jeśli amerykański okręt wojenny ponownie wtargnie na chińskie wody, proponuję wysłać dwa okręty wojenne: jeden, aby go zatrzymać, drugi, by go staranował" – stwierdził chiński oficer. Zasugerował też, że w przypadku „kolejnych amerykańskich prowokacji" na Morzu Południowochińskim, Pekin powinien dokonać aneksji Tajwanu. Wojskowy apelował, by armia ChRL była „gotowa do przejęcia wyspy".

W ostatnich miesiącach rośnie napięcie w regionie Morza Południowochińskiego. 28 listopada okręty amerykańskiej Marynarki Wojennej po raz trzeci w zeszłym roku przepłynęły Cieśniną Tajwańską, oddzielającą Tajwan od Chin kontynentalnych.

„Tranzyt okrętów przez Cieśninę Tajwańską ukazuje oddanie USA sprawie wolnego i otwartego Indo-Pacyfiku. [...] Amerykańska marynarka będzie w dalszym ciągu żeglować i działać wszędzie, gdzie zezwala na to prawo międzynarodowe" – stwierdza komunikat floty USA na Pacyfiku. Dodano, że w operacji uczestniczyły niszczyciel USS „Stockdale" oraz okręt zaopatrzeniowy „Pecos".

eprasa.pl 475b32102c

Ministerstwo Obrony Tajwanu określiło operację jako normalny tranzyt przez wody międzynarodowe i zaznaczyło, że wojska tajwańskie monitorowały rejs amerykańskich jednostek.

Komunistyczne władze ChRL uważają rządzony demokratycznie Tajwan za zbuntowaną prowincję i nigdy nie wykluczyły możliwości użycia siły, by przejąć nad nim kontrolę.

Pekin stoi także na stanowisku, że wody Morza Południowochińskiego od zawsze należały do chińskiej strefy wpływów. Władze komunistyczne powołują się na źródła historyczne i dane archeologiczne mówiące o tym, że już przed naszą erą rybacy chińscy dokonywali połowów w tym regionie. W 2015 roku na Międzynarodowej Konferencji Bezpieczeństwa i Obrony w Londynie, odbywającej się w ramach targów przemysłu wojskowego Defence Security and Equipment International 2015, chiński wiceadmirał Yuan Yubai, dowódca Floty Północnej, stwierdził, że „Morze Południowochińskie jest, jak sama nazwa wskazuje, obszarem, który należy do Chin".

Korea Północna

W grudniu ubiegłego roku stacja CNN przedstawiła zdjęcia satelitarne uzyskane z Instytutu Spraw Międzynarodowych Middlebury w Monterey, które pokazują nieznaną dotychczas północnokoreańską bazę rakietową w górzystym centrum kraju. Obok niej znajduje się znana już Amerykanom baza balistyczna w Yeongjeo-dong, która nadal jest rozbudowywana. „Zdjęcia satelitarne pokazują, że baza Yeongjeo-dong pozostaje aktywna. Co więcej, w ciągu ostatniego roku Korea Północna znacząco rozbudowała pobliskie instalacje, które wyglądają na nową bazę rakietową" – stwierdza raport Instytutu Spraw Międzynarodowych Middlebury.

Zdjęcia satelitarne pokazują także, że KRLD budowała od 2017 roku duży podziemny kompleks, w którym w sierpniu 2018 roku wciąż trwały prace. Jeden z twórców raportu Jeffrey Lewis w wypowiedzi dla CNN stwierdził, że „budowa wcześniej niezidentyfikowanego ośrodka była kontynuowana nawet po szczycie w Singapurze", na którym w czerwcu ubiegłego roku doszło do spotkania Donalda Trumpa z Kim Dzong Unem. „Cokolwiek Kim mówi o swoim pragnieniu denuklearyzacji, Korea Północna kontynuuje produkcję i rozmieszczanie rakiet z głowicami atomowymi" – uważa Lewis.

Informacje przedstawione przez CNN ukazują się w czasie wyraźnego spowolnienia w negocjacjach dotyczących denuklearyzacji Korei Północnej, a jednocześnie Waszyngton i Pjongjang prowadzą rozmowy na temat organizacji drugiego spotkania Trumpa z Kimem. 2 grudnia ubiegłego roku prezydent USA Donald Trump oświadczył, że drugi szczyt z północnokoreańskim przywódcą Kim Dzong Unem prawdopodobnie odbędzie się w styczniu lub lutym 2019 roku.

Nowy Jedwabny Szlak

Według analizy pt. „Jak Azja przestała kochać inicjatywę Nowego Jedwabnego Szlaku", jaka ukazała się na portalu Bloomberg, coraz więcej azjatyckich państw odkrywa, że obietnice dotyczące budowy czołowego programu Xi Jinpinga są „zbyt piękne, aby mogły być prawdziwe". W całym regionie narasta sprzeciw wobec chińskich inwestycji i wpływów. Artykuł odwołuje się m.in. do przykładu Malediwów, gdzie we wrześniu ubiegłego roku propekińska Postępowa Partia Malediwów została pokonana przez antychińską Malediwską Partię Demokratyczną. Nowy prezydent Malediwów Ibrahim Mohamed Solih nazywa inicjatywę Nowego Jedwabnego Szlaku „wielkim oszustwem" i „pułapką zadłużenia", z której należy się wydostać. Nowy rząd chce iść w ślady Malezji i renegocjować albo anulować umowy zawarte z Pekinem. Premier Malezji Mahathira Mahomet opisał chiński projekt jako formę „nowego kolonializmu", którą należy odrzucić. Przywódca Malezji w czasie wizyty w Pekinie w sierpniu ubiegłego roku poinformował, że jego kraj zrezygnował z wielomiliardowych projektów inwestycyjnych finansowanych przez Chiny.

Niedawno władze innego azjatyckiego państwa, Bangladeszu, umieściły na czarnej liście z powodu korupcji China Harbor Engineering Company, jedną z najbardziej aktywnych w regionie firm budowlanych, realizujących projekty w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku. To niezadowolenie z chińskich inwestycji widać także wśród zagorzałych dotąd sojuszników Pekinu w Azji. Pod koniec listopada ubiegłego roku doszło do ataku na konsulat Chin w Karaczi, największym mieście Pakistanu. Do jego przeprowadzenia przyznali się bojownicy z separatystycznej Armii Wyzwolenia Beludżystanu sprzeciwiający się chińskiej eksploatacji lokalnych zasobów. Także w Sri Lance narasta gniew wobec wpływów gospodarczych Chin, które widziane są jako zagrożenie dla suwerenności kraju. Zaniepokojona jest też Birma, która wstrzymała się z finansowanym przez Chińczyków projektem portowym w Kyaukpyu do czasu, aż Chińczycy zgodzili się zmniejszyć w nim udziały o 80 proc. Inicjatywie Nowego Jedwabnego Szlaku sprzeciwiają się również Stany Zjednoczone i namawiają kraje w Azji do rezygnacji z inwestycji. Inicjatywa ta została określona przez wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a jako „dyplomatyczna pułapka", która nadmiernie uzależnia kredytobiorców od Pekinu. ■

eprasa.pl 475b32102c

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Dlaczego Rosja przegrywa po kerczeńskiej „bitwie”

Stawianie tylko na siłę w stosunkach ze znacząco słabszym w kwestii potencjału militarnego krajem-oponentem w dzisiejszych czasach nie działa – pisze znany rosyjski niezależny analityk spraw wojskowych Aleksandr Goltz. Tekst pochodzi z 3 grudnia 2018 roku. Ukazał się na stronie Openmedia.io mającą być z założenia platformą, na której swoje opinie i analizy publikują dziennikarze głównie biznesowych mediów, w tym tak znanych tytułów jak „Wiedomosti", RBK, „Kommiersant" i „Forbes".

fot. MAXIM SHEMETOV/ POOL/PAP/EPA

Aleksandr Goltz

Wojennomorska bójka zorganizowana przez rosyjskich morskich pograniczników w Cieśninie Kerczeńskiej zakończyła się – moim zdaniem – ukraińskim zwycięstwem [ostrzał i zajęcie trzech ukraińskich okrętów oraz aresztowanie ich załóg 25 listopada 2018 roku – przyp. red.]. W tych dniach Kijów przekształcił się w ważnego gracza na międzynarodowej arenie, o czym marzyć nie mógł jeszcze kilka dni wcześniej. Z powodu starcia, które Władimir Putin uznał za mały „pograniczny incydent", prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump odwołał rozmowy z rosyjskim prezydentem. A przecież w Moskwie liczono, że podczas tego spotkania odbędzie się poważny dialog o zamiarach wyjścia Waszyngtonu z Traktatu o likwidacji rakiet pośredniego zasięgu i utrzymywaniu strategicznej stabilności (INF), czyli o kwestiach, od rozstrzygnięcia których bezpośrednio zależy globalne bezpieczeństwo. Na Kremlu zaczęto z przyzwyczajenia żartować, że odmowa Trumpa da Putinowi więcej czasu na inne spotkania. Jednakże biorąc pod uwagę, iż większość wiodących zachodnich państw wyraziła poparcie dla Ukrainy, pojawiły się wątpliwości, czy Putin byłby wciąż tak interesujący w charakterze rozmówcy dla zachodnich kolegów podczas spotkania przywódców G-20 w Argentynie. Ministrowie spraw zagranicznych krajów „wielkiej siódemki" oświadczyli: „Wzywamy Rosję do uwolnienia zatrzymanych załóg i okrętów oraz powstrzymania się od czynienia przeszkód dla ich zgodnego z prawem przechodzenia przez Cieśninę Kerczeńską".

Dysproporcja sił

Nasuwa się taka konstatacja: znajdując się w dosyć złym ze strategicznego punktu widzenia położeniu Kijów znalazł słuszną linię postępowania. Faktem jest, że Rosja ma wojskową przewagę. Przy wschodniej granicy Ukrainy rozwinięte są zgrupowania 20 Armii Zachodniego Okręgu Wojskowego Rosji. To przede wszystkim 144 Dywizja Zmotoryzowana, 3 Dywizja Zmotoryzowana oraz 1 Brygada Pancerna. Na południowo-wschodnim odcinku granicy mamy 150 Dywizję Zmotoryzowaną 8 Armii Południowego Okręgu Wojskowego. A to i tak jedynie pierwszy rzut. W razie konieczności te dywizje mogą być wzmocnione 1 Armią Pancerną i zgrupowaniami Wojsk Powietrzno-Desantowych. Po stronie ukraińskiej jest co prawda nawet dwadzieścia ogólnowojskowych brygad, ale stopień ich gotowości bojowej, mówiąc delikatnie, budzi wątpliwości. Zgrupowania te są związane konfliktem w Donbasie i wyposażone w stary sowiecki sprzęt. Na dodatek Rosja ma wielokrotną przewagę, jeśli chodzi o lotnictwo wojskowe.

eprasa.pl 4f5b32102c

W regionie czarnomorsko-azowskim położenie Ukrainy jest jeszcze gorsze. Zwiększanie potencjału wojennego na Krymie stało się jednym z najważniejszych priorytetów polityki Kremla po 2014 roku. Zbudowane w tych latach okręty wojenne wysyłane były w pierwszej kolejności do Floty Czarnomorskiej. Właśnie tutaj skierowano najnowsze fregaty „Admirał Makarow", „Admirał Grigorowicz" i „Admirał Essen" oraz sześć okrętów podwodnych o napędzie dieslowsko-elektrycznym. Wszystkie są uzbrojone w nowoczesne rakiety manewrujące Kalibr o zasięgu powyżej 2000 km. Obecnie Flota Czarnomorska – choć jeszcze nie osiągnęła swych rozmiarów z czasów sowieckich – stanowi potężne wojennomorskie zgrupowanie. Nadzwyczaj zmilitaryzowany jest sam Półwysep Krymski. Na jego terytorium sformowano 22 Korpus Armijny, w skład którego wchodzą jednostki ogólnowojskowe i artyleryjskie. Do tego należy dodać brygadę piechoty morskiej i batalion desantowo-szturmowy. Na Krymie rozmieszczona została też dywizja obrony przeciwlotniczej, uzbrojona w najnowsze systemy rakietowe S-400 i Pancyr, a także dywizja lotnictwa. Ukraińska marynarka wojenna to dziś jedyna fregata „Hetman Sahajdaczny", jeden okręt desantowy i 13 kutrów, plus pewna ilość jednostek wspomagających. Duża część ukraińskich okrętów pozostała na Krymie. Jeśli chodzi o nowe, to można tu mówić tylko o kutrach klasy Gurza-M, które uczestniczyły zresztą w incydencie w Cieśninie Kerczeńskiej. Jeśli chodzi o kraje NATO, to wyraźnie zamierzają one ograniczyć swoje wsparcie dla Ukrainy do regularnej obecności swych okrętów na Morzu Czarnym i demonstracyjnych rejsów. W takich warunkach wielokrotne oświadczenia ukraińskich polityków o zamiarze odbicia Krymu siłą to tylko pusta retoryka. Przy tak widocznej wielokrotnej przewadze wojennej taktyka Kremla sprowadza się do w pełni tradycyjnego dla polityki XIX wieku wprowadzeniu prawa silniejszego. I zakładać trzeba, że przy braku możliwości zmiany *status quo* Zachód, a za nim Kijów, będą zmuszone wcześniej czy później uznać przyłączenie Krymu do Rosji. Przy tym Ukraina powinna pogodzić się z tym, że Morze Azowskie *de facto* staje się rosyjskie i korzystać z niego może ona, podporządkowawszy się prawom Federacji Rosyjskiej. Przy tym, jak pokazuje międzynarodowa praktyka, podobne terytorialne konflikty ciągną się całymi dziesięcioleciami (wspomnijmy problemy Cypru) lub nawet stuleciami (jak hiszpańsko-brytyjski spór o przynależność Gibraltaru).

▶ Jak zachował się Kreml?

Takie scenariusze w żaden sposób nie odpowiadają Ukrainie. Sięgnęła ona zatem po oręż, jakim jest jedynie słuszne w tej sytuacji podejście: w każdym sprzyjającym wypadku przypominać światu o nielegalnej aneksji Krymu, o tym, że Kijów nie uznaje i nigdy nie uzna objęcia półwyspu wewnętrznym rosyjskim prawodawstwem. Przy czym przypominać należy nie słowami, lecz czynami. To okazało się w pełni skuteczne, jeśli wziąć pod uwagę, że praktycznie nikt na świecie nie uznał aneksji półwyspu. Właściwie to z tego wziął się powód dla konfliktu w Cieśninie Kerczeńskiej. W tym momencie, gdy dwa kutry i holownik ukraińskiej marynarki wojennej obrały kurs na przejście przez Cieśninę Kerczeńską, Moskwa znalazła się w absolutnie przegranym położeniu, w sytuacji zugzwangu. Gdyby przepuszczono ukraińskie okręty wojenne, jak to zrobiono we wrześniu (kiedy dla bezpieczeństwa przejścia przez cieśninę ukraińskim jednostkom zapewniono rosyjskich pilotów), to byłoby w pełni jasne, że strona ukraińska znów wykorzysta to w celach propagandowych. Wtedy dowódcy ukraińskiej marynarki wojennej przedstawiliby przepłynięcie przez cieśninę jako demonstrację swojej siły wojennomorskiej. Drugi wariant: nie przepuszczać, opierając się już nie na międzynarodowym, lecz na wewnętrznym rosyjskim prawodawstwie. Na przykład wprowadzić czasowy zakaz przepływania przez cieśninę bez przekonującego wyjaśnienia przyczyn, co też notabene zrobiono. A potem zorganizować abordaż z taranowaniem i ostrzałem ostrą amunicją. Po to, aby następnie uwięzić załogi ni to jako jeńców wojennych, ni to „cywilnych" sprawców naruszenia granicy. Jeśli ktoś w Kijowie taką właśnie reakcję strony rosyjskiej przewidział wcześniej, to z pewnością się nie pomylił. W rezultacie całemu światu przypomniano, że Rosja jest agresorem. Jej działania w Cieśninie Kerczeńskiej zostały przedstawione jako preludium do nowej napaści na Ukrainę. Nie wydaje mi się, żeby taką wersję można było logicznie uzasadnić. Przecież w takim wypadku wypadałoby zgodzić się z tym, że planujący wtargnięcie rosyjski sztab generalny polega w swoich wojennych planach na tym, czy Kijów da swoim okrętom rozkaz przejścia przez Cieśninę Kerczeńską.

Tym niemniej na Ukrainie wprowadzony został stan wojenny. Państwa zachodnie ogłosiły zamiar przedłużenia starych sankcji, a może być wprowadzenia nowych. Wszystkie wysiłki Moskwy mające na celu wyjście z izolacji okazały się przekreślone. Jak widzimy, stawianie wyłącznie na siłę w stosunkach z wielokrotnie słabszą w kontekście wojskowym Ukrainą zakończyło się fiaskiem. Nawet jeśli przyznać, że ze strony Kijowa miała miejsce jakaś prowokacja, o czym w ślad za Putinem krzyczy ojczysta propaganda, to oznacza to, iż ta prowokacja wspaniale się udała. ■

———
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 475b32102c

Tomasz Sakiewicz

Europa w zadyszce

Europa może mieć wielką przyszłość, ale o to „jutro" trzeba zadbać. Unia dostała dzisiaj zadyszki i musi z tego wyciągnąć wnioski.

Dosyć szybko ogłoszono początek końca Unii Europejskiej. Wyjście Wielkiej Brytanii z UE, wstrząsy we Francji, krach polityki imigracyjnej sprawiają wrażenie schyłku naszego kontynentu. Coś rzeczywiście pękło i pewnie czekają nas duże zmiany. Jak na razie nie widać, aby główne państwa Unii się na nie szykowały. To jednak nie znaczy, że ich nie będzie. Będą albo kontrolowane, albo żywiołowe. Parodia polityki w wykonaniu formalnie najważniejszych urzędników UE pokazuje, w jakim punkcie znalazła się ta skądinąd bardzo młoda organizacja. Trzeba na sprawę spojrzeć jednak dużo szerzej. Unia tak naprawdę dopiero powstała, jej poprzedniczka – EWG – nie była tym samym. Na co innego kładła nacisk i co innego przyniosło jej sukces. Unia Europejska istnieje krócej niż jedno pokolenie. To zbyt mało czasu, by przesądzać o szansach na przetrwanie czy nawet oceniać jej realny dorobek. Dosyć zabawnie wygląda wymaganie patriotyzmu od organizacji, która dla wielu z nas jest młodsza od naszych dzieci. To zaczadzenie płytką ideologią. To nie znaczy, że wspólna organizacja europejska nie ma sensu. Ma, i to ogromny. Przede wszystkim wielkim sukcesem jest otwarcie granic. Wolny przepływ towarów, usług i ludzi dał milionom obywateli swobodę wyboru swojego życia i względny dobrobyt. Trochę słabiej wypadają – choć mimo wszystko na plus – inwestycje infrastrukturalne. Liczy się nacisk na budowę połączeń transportowych. Do dobrych inicjatyw można zaliczyć też wspomaganie biedniejszych regionów. Jednak kolejne pomysły należy uznać za porażki. Unijna polityka rolna wspiera realną dyskryminację krajów słabiej rozwiniętych. Solidarność unijna nie istnieje, a praworządność stała się narzędziem uprawiania polityki imperialnej przez najsilniejszych.

Czy wobec tego należy dążyć do likwidacji UE? Oczywiście że nie. Albo się sama zlikwiduje, albo zreformuje. Trzeba naciskać na reformy i dostosowanie Unii do naszych potrzeb. A czego my chcemy? Wolności. Wolności, którą sobie cenimy najbardziej. Jeżeli Unia zredukuje się do tego poziomu, to pewnie czeka ją długa przyszłość. Po co mamy płacić unijną składkę i brać pieniądze dla naszych rolników? Wystarczy, że tą samą kwotą sami dofinansujemy nasze rolnictwo, na przykład znosząc podatki na wszelkie produkty związane z tym sektorem. Czyż nie lepiej wspierać pracujących, niż dotować leni? To żadna abstrakcja. Absurdy unijne muszą się skończyć, inaczej Unia Europejska zostanie zmarginalizowana przez zewnętrzne potęgi. Europa może mieć wielką przyszłość, ale o to „jutro" trzeba zadbać. Unia dostała dzisiaj zadyszki i musi z tego wyciągnąć wnioski. Trzeba nowego spojrzenia, wolnego od ideologicznych dogmatów. To powinien być polski wkład. ■

SOLIDARNOŚĆ UNIJNA NIE ISTNIEJE, A PRAWORZĄDNOŚĆ STAŁA SIĘ NARZĘDZIEM UPRAWIANIA POLITYKI IMPERIALNEJ PRZEZ NAJSILNIEJSZYCH. CZY WOBEC TEGO NALEŻY DĄŻYĆ DO LIKWIDACJI UE? OCZYWIŚCIE ŻE NIE.

eprasa.pl 475b32102c

niezależna

eprasa.pl 475b32102c